KORWIN-MIKKE W OSTRYM WYWIADZIE

Kaczyński jest genialnym taktykiem i żadnym strategiem

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 4/257 22–28 STYCZNIA 2018

Ziemkiewicz: Jak Bruksela próbuje przechytrzyć PiS

JARED KUSHNER, ZIĘĆ TRUMPA – Z POLSKI DO BIAŁEGO DOMU

Łysiak burzy pomniki sołdatów Armii Czerwonej

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 100 tys. egzemplarzy

Danuta Holecka w rozmowie z „Do Rzeczy”:

Dzięki TVP widzimy dziś więcej

Z dziennikarką prowadzącą „Wiadomości” – o Bogu, dobrej zmianie i lawinie hejtu

eprasa.pl 13042f9ed2

niepodległa | POLAND THE CENTENARY OF REGAINING INDEPENDENCE

POLISH AMERICAN LEADERSHIP SUMMIT

POLAND INVESTMENT ZONE

9 - 11 lutego, 2018 r.

Miami na Florydzie, USA

Najważniejsze wydarzenie w polsko-amerykańskich stosunkach gospodarczych w 2018 r.
300+ uczestników, przedstawicieli świata biznesu i polityki, liderów i decydentów z Polski i Stanów Zjednoczonych

W PROGRAMIE:

transfer wiedzy między USA i Europą Centralną
strategiczne bezpieczeństwo obronne i energetyczne oraz jego ekonomiczne konsekwencje dla regionu
odblokowanie potencjału transatlantyckiej wymiany handlowej
nawiązanie bezpośrednich relacji między krajami sojuszniczymi

SZCZEGÓŁOWA AGENDA I REJESTRACJA NA

February 9th-11th, 2018

Miami, FL, USA

The most important event for Polish-American economic relations in 2018.
300+ Polish and American political and business leaders

ON AGENDA:

knowledge transfer between the USA and Central Europe
strategic defense and energy security and its economic implications for the CE region
unlocking transatlantic trade
creating direct business relations between two allied regions.

FOR DETAILED AGENDA AND REGISTRATION VISIT

RTMX.PL

#PALS

leadershipsummit@rtmx.pl

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

eprasa.pl 13042f9ed2

THE HONORARY PATRONAGE
OF THE PRESIDENT
OF THE REPUBLIC OF POLAND
ANDRZEJ DUDA

OVER THE #PALS CONFERENCE
ON FEB 9TH, 2018

STULECIE · ODZYSKANIA · NIEPODLEGŁOŚCI
1918 · 2018

STRATEGIC PARTNERS

LOTOS

KGHM POLSKA MIEDŹ

GOLD PARTNERS

TAURON

Enea

BRONZE PARTNERS

PHN

SUPRA BROKERS®

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

PROGRAM PARTNERS

Polska Agencja Inwestycji i Handlu
Grupa PFR

PATRONAGE

The American Institute of Polish Culture Inc.

ORGANIZED BY

PMPG POLSKIE MEDIA SA

RTMx Round Table Mixer

CONTRIBUTORS

Europejskie Centrum

POLISH - AMERICAN CHAMBER OF COMMERCE OF FLORIDA AND THE AMERICAS

POLISH-AMERICAN WE

Polish American Chamber of Commerce in Texas

Cámara de Comercio | Hiszpańsko-Polska Hispano-Polaca | Izba Handlowa

Chambre de Commerce et d'Industrie Polonaise en France

Dr. Matt

MEDIA PARTNERS

wprost

Do Rzeczy

Historia

SUPER HISTORIA.pl

inwestorzy.tv

nowy dziennik POLISH WEEKLY

TVP

TVP POLONIA

eprasa.pl 13042f9ed2

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Głos zdrowego rozsądku

Ponoć, jak piszą liberalne media, wypowiedź nowego ministra spraw zagranicznych Jacka Czaputowicza w Berlinie wzbudziła na prawicy furię. Chodzi o jego słowa odnoszące się do ewentualnych reparacji wojennych od Niemiec: „Mamy pozycję jasną pod względem prawnym. Otóż wszystkie kwestie reparacyjne zostały uregulowane do końca, a także rząd, wybrany demokratycznie na początku lat 90., to potwierdził". Minister dodał jeszcze, że nie można ignorować tego, że w Polsce istnieje debata na ten temat, i że warto rozmawiać o reparacjach. Dziwne… Być może nie wiem, na czym polega prawicowość, ale głos szefa dyplomacji wydaje mi się wreszcie dowodem rozsądku. Nie jest to ani wywieszenie białej flagi, ani fatalny przykład kapitulanctwa wobec Niemiec, ale właśnie roztropności.

Wbrew krytykom minister nie wykazał się bowiem tchórzostwem, ale realizmem. Ci, którzy najgłośniej domagali się reparacji i najmocniej wierzyli w realność swych postulatów, nie chcieli dostrzec, jak słabymi argumentami prawnymi dysponuje Polska. Nawet gdyby uznać, że rząd PRL nie zrzekł się legalnie reparacji wojennych, przyznanych nam w Poczdamie, i że Warszawa wciąż może się ich domagać, chodziłoby o sumę najwyżej dwudziestu, przeliczając to na współczesną wartość, miliardów euro. Niemało, ale też nie jest to suma oszałamiająca. Tyle że droga do jej uzyskania, co się tyczy możliwości prawnych, byłaby wyjątkowo trudna.

Nie o takie jednak reparacje chodziło, sądzę, przeciwnikom ministra. Sądzili oni, i najwyraźniej nadal sądzą, że Polska może po prostu policzyć wszystkie zniszczenia dokonane przez Niemców w czasie II wojny światowej, a następnie wystawić za nie rachunek Berlinowi. Taka suma, ze względu na ludobójczą i morderczą politykę Hitlera, mogłaby wynieść biliony euro. Proste? Policzenie strat jest na pewno sensowne i warto to zrobić, jest to bowiem element presji na Niemcy, pokazuje też skalę zbrodni niemieckich i absurdalność prób przypisywania Polakom współsprawstwa Holokaustu. Jednak jak te sumy faktycznie uzyskać?

Najkrócej: nie ma żadnej wszechświatowej instancji, która mogłaby ewentualny proces rozpatrzyć i zmusić Niemcy do wypłaty odszkodowań za zakończoną 70 lat temu wojnę. Jedynym sposobem odzyskania pieniędzy, jeśli jakieś państwo czuje się pokrzywdzone przez drugie, jest – przykro to powiedzieć – wojna. Innych metod naprawdę skutecznego wymuszenia odszkodowań, jeśli rzecz dotyczy państw, nie ma. Można jeszcze liczyć na nacisk światowej opinii publicznej – tak było w przypadku Żydów po wojnie. Jednak, niestety, niezależnie od tego, jaka była prawda, w światowej opinii publicznej Żydzi praktycznie zmonopolizowali rolę ofiar. Tymczasem zwolennicy bilionowych reparacji od Niemiec zachowywali się tak, jakby wystarczyło policzyć straty, a następnie pieniądze pojawią się same, bo „świat zmusi Niemcy".

Łatwo zauważyć, że podnoszenie przez rząd kwestii reparacji miało dwa całkiem wyraźne skutki. Po pierwsze, pozwalało przedstawić Niemcom działania Warszawy jako przejaw awanturnictwa. Po drugie, mobilizowało Niemców do używania wszystkich swoich wpływów w Unii (a te – jak wiadomo – są niemałe) do ataków na Polskę. Oczywiście pod hasłem obrony rzekomo zagrożonej demokracji.

Debata publicystyczna na temat reparacji powinna trwać. Podobnie jak należy walczyć o dotarcie do opinii światowej z przekazem o polskich ofiarach. Nie zmienia to faktu, że realizm w polityce międzynarodowej nie polega na głośnym wykrzykiwaniu swoich racji, ale na chłodnej ocenie możliwości, na analizie zysków i strat. Jacek Czaputowicz wycofał się z frontu, na którym nie sposób było odnieść zwycięstwa. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

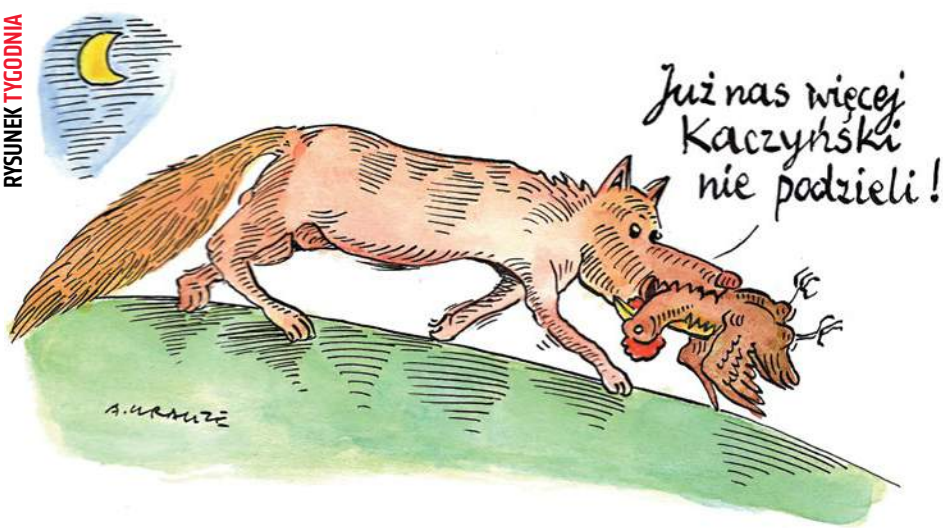

eprasa.pl 13042f9ed2

TEMAT TYGODNIA

16 DANUTA HOLECKA
TVP JUŻ NIE TYLKO DLA ELIT
Zadaniem dziennikarza nie jest ocenianie dobrej zmiany – mówi dziennikarka „Wiadomości"

KRAJ

22 PIOTR GOCIEK
TRZECIA DROGA MORAWIECKIEGO
W nowym premierze polska prawica może odnaleźć połączenie Tuska z Orbánem

26 ROZMOWA Z JANUSZEM KORWIN-MIKKEM
„500+" – TO TRZAŚNIE

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NIEUDANY BLEF BRUKSELI

32 WOJCIECH WYBRANOWSKI
PLATFORMA TONIE

34 ROZMOWA Z MACIEJEM GDULĄ
KIM SĄ WYBORCY PIS

38 MARCIN BARTNICKI
CZARNA PRZYSZŁOŚĆ MIAST

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
PRZESKOK DO BIZNESU

KULTURA

42 ANDRZEJ HORUBAŁA
WYSPIAŃSKI!
Wystawa w krakowskim Muzeum Narodowym

46 WIESŁAW CHEŁMINIAK
CAŁY TEN CYRK

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 EWA POLAK-PAŁKIEWICZ
TEN NAJGORSZY NA ŚWIECIE KRAJ
Bycie politykiem katolickim, człowiekiem zasad to coś przeciwnego do systemu wartości rządzących UE

60 ŁUKASZ WARZECHA
BIALI KONTRA CZERWONI

HISTORIA

62 WALDEMAR ŁYSIAK
ARMIA CZERWONA
W setną rocznicę powołania

70 PIOTR SEMKA
PAMIĄTKA PO PRZYSZŁOŚCI

ŚWIAT

74 TOMASZ WRÓBLEWSKI
DZIEJE RODZINY KUSHNERÓW
Rodzinna historia doradcy Trumpa i zarazem jego zięcia nadaje się na niezły serial

78 TOMASZ TERLIKOWSKI
ISLAM – RELIGIA POKOJU CZY ANTYCHRYSTA

80 ROZMOWA Z PROF. ROBERTEM FROSTEM
JAK RÓWNI Z RÓWNYMI

82 JACEK PRZYBYLSKI
MORD NIEDOSKONAŁY

EKONOMIA

84 STEFAN SĘKOWSKI
STAJEMY SIĘ SPOŁECZEŃSTWEM RENTIERÓW
Rozmowa z ekonomistą dr. Pawłem Bukowskim

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
W CIENIU PRIORYTETÓW
Niedoinwestowanie służby zdrowia powoduje, że miesiącami czekamy na wizytę do specjalisty

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (59), ZYCHOWICZ, KOPER (69), GABRYEL, RYBIŃSKI (87), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 13042f9ed2

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu interesująca dyskusja na temat korzeni legendarnej kobiety szpiega, a także głos w sprawie przyszłości Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie.

„Superagentka przebita nożem"

Z zainteresowaniem przeczytałam artykuł Tomasza Lenczewskiego o Krystynie Skarbek („Do Rzeczy" 3/2018), natomiast zaskoczył mnie fragment: „Krystyna Skarbek nie była arystokratką ani Żydówką […]". Otóż była ona zarówno arystokratką, ponieważ jej ojciec, Jerzy Skarbek, miał tytuł hrabiowski, jak i Żydówką, ponieważ jej matka, Stefania Goldfeder, była Żydówką z rodziny warszawskich bankierów.

Ewa Leonhard, Kraków

Od Autora:

Szanowna Pani,
w odpowiedzi na Pani list w sprawie Krystyny Skarbek uprzejmie informuję, że ojciec Krystyny Skarbek nie miał prawa do tytułu hrabiowskiego (por. Borowski Edward „Genealogie niektórych utytułowanych rodów polskich", J.S. Dunin-Borkowski „Almanach błękitny" oraz Żychliński „Złota księga szlachty polskiej", gdzie jest mowa, że gałęzi tej nie wolno używać tytułu hrabiowskiego).

O „kopertowym tytule" Jerzego Skarbka, którego ojcu Heroldia Królestwa Polskiego odmówiła ostatecznie tytułu, a wniesione do Petersburga odwołanie nie doczekało się odpowiedzi (akta w AGAD), pisałem kiedyś w tekście „Mariaże kont i herbów". Artykuł dotyczył związków rodzin neofickich z polską arystokracją i ziemiaństwem.

Fakt posiadania tytułu hrabiowskiego nie jest przepustką do arystokracji. Z pięciu podstawowych cech arystokracji tytuł nie jest wyznacznikiem przynależności (casus – część rodu Potockich).

W sensie ścisłym arystokracja to 16 rodzin ogólnopolskich – arystokracja polska na poziomie europejskim (por. również – książka Zofii Zielińskiej).

W węższym – to arystokracja lokalna – galicyjska, wielkopolska itp. Prawdziwi hrabiowie Skarbkowie byli, co najwyżej, arystokracją galicyjską, ale to też jest problematyczne.

Matka Krystyny Skarbek przeszła na chrześcijaństwo i nie była Żydówką w sensie przynależności do narodu żydowskiego. Dlaczego rozciąga Pani to pochodzenie na jej córkę? To typowy pogląd dla nacjonalistów i zwolenników doszukiwania się krwi żydowskiej (por. przedwojenne prace Hertza i Miesesa czy „Szlachta polska pochodzenia żydowskiego" Korwin-Piotrowskiego). Pani kryterium odnośnie do pochodzenia Krystyny Skarbek jest nie do przyjęcia nawet w świetle ustaw norymberskich, które przewidywały, że dzieci urodzone z małżeństw mieszanych (np. żydowsko-niemieckich) zawartych przed 1933 r. nie były izolowane w gettach (por. wspomnienia Anity Haliny Janowskiej pt. „Krzyżówka").

Z poważaniem
Tomasz Lenczewski

Zagęśćmy przestrzeń wokół Pałacu

Pewne czasopisma rozpisują się na temat zburzenia Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie jako symbolu zniewolenia Polski.

Dla mnie, jako architekta, jakiekolwiek burzenie jest rzeczą obrzydliwą, przypominającą niedawne dynamitowanie Bogu ducha winnych posągów czy świątyń przez półgłówków z Al-Kaidy.

[…] Wymiana PKiN na jakąś grupę wieżowców – gdzie będzie dominować formalny dysonans, tzw. gra brył, jakiś skos czy głupie zaokrąglenie, jakaś pochyłość, zaprzeczenie logiki i statyki – nie zagwarantuje miastu żadnej wartości dodanej. Ponadto forma PKiN jest tuzinkowym awatarem sowieckich pałaców i jest w gruncie rzeczy błędem urbanistycznym, nielogicznym mamutem okupującym gigantyczną przestrzeń w samym centrum stolicy [….] Nic to nie ma wspólnego ze światowymi osiągnięciami architektury i konstrukcji, nawet w porównaniu z warszawskimi gmachami: żelbetową PAST-ą (1906) czy stalową konstrukcją Prudentialu (1934).

Jest w Nowym Jorku takie miejsce (Rockefeller Center Rink, czyli lodowisko), gdzie niebotyczne gmachy otaczają stosunkowo niewielki plac, który stał się mimo superzagęszczonej przestrzeni symbolicznym centrum miasta. Nie porównując Warszawy do Big Apple, jest w tym przykładzie kontrastowa hipoteza zagęszczenia centrum miasta, metamorfozy molocha na środku olbrzymiej pustyni w wielofunkcyjną przestrzeń, gdzie by było miejsce zarówno na mieszkania, handel, miejsca pracy, dworzec, kulturę i sztukę, jak i na place, rozrywkę, zieleń parków... I oczywiście lodowisko!

Jerzy Kowal, architekt
Bruksela

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Czesław Czapliński/FOTONOVA, Fotolia; oprac. graf. JAN**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998
PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 100 tys. egzemplarzy
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 13042f9ed2

KAWA na mieście?

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Niełatwo być Anglikiem

Dwa wydarzenia wywołały ostatnio wiele emocji po prawej stronie. Pierwsze to wywiad Viktora Orbána dla dziennika „Die Welt". Premier Węgier nie wykluczył w nim przyjęcia przez jego kraj uchodźców z tzw. rozdzielnika unijnego. Jednocześnie podkreślił, że nie ma zgody na żaden automatyzm. To Budapeszt zadecyduje sam, kogo przyjmie, a kogo nie. Druga kwestia to wizyta ministra Jacka Czaputowicza w Berlinie. Szef polskiej dyplomacji przychylił tam się do opinii swojego niemieckiego kolegi, Sigmara Gabriela, że sprawa reparacji nie powinna obciążać stosunków polsko-niemieckich. Jednocześnie obaj politycy ustalili, że powstanie zespół ekspertów, który podejmie dialog na temat dróg rozwiązania tej kwestii. Prawicowy Internet przyjął obie wieści z dużą konsternacją. Zadawano pytanie, skąd te nagłe zmiany, i zastanawiano się, jak daleko posunąć mogą się ustępstwa w stosunku do dotychczasowej linii obu państw.

Gdy czytałem te opinie, przypomniało mi się powiedzonko z 1956 r., gdy Polsce skutecznie udało się zakończyć stalinizm, ugłaskując groźne pomruki Kremla, a Węgrom podobna sztuka się nie udała i ich kraj zmiażdżyły sowieckie czołgi. W warszawskich kawiarniach powtarzano wówczas, że: „Madziarzy zachowali się jak Polacy, Polacy jak Anglicy, a Czesi jak świnie". To ostatnie było aluzją do histerycznie antywęgierskich audycji Radia Praga.

Nawiązując do marzeń państw zderzających się z potęgą czy to Rosji, czy to Niemiec, by wychodzić cało z politycznych kłopotów, wzorujmy się na chłodnych i skutecznych Anglikach, działajmy jak Wielka Brytania, a nie bijmy głową w mur – powtarzają liczni realiści. Tyle że zapominają, że skuteczność Anglików wynika z ich wyspiarskiego, błogosławionego położenia i mocarstwowej siły. Ci, którzy tej potęgi nie mają, bardzo często muszą się powoływać na zasady, bo taki już jest los słabszych, którzy walczą z dyktatem silniejszych. Nie zmienia to faktu, że muszą też grać na różnych politycznych fortepianach, aby wychodzić z kryzysów za pomocą dyplomatycznej giętkości. Polska prawica przez wiele lat była słaba i odsuwana od realnej władzy. Wtedy jej pryncypializm był naturalną reakcją na lęk przed zepchnięciem w niebyt. Jednak dziś czy to Fidesz, czy PiS mocno trzymają lejce władzy i mogą pozwolić sobie na dyplomatyczne gry. Tyle że im ostrzej wcześniej obie partie integrowały swoje elektoraty wokół pewnych haseł, tym bardziej muszą się zmagać z dezorientacją swych wyborców, gdy przychodzi linię zmiękczyć. Tego dylematu nie jest w stanie łatwo rozwiązać żaden polityk. Może jedynie skłaniać do pewnego umiaru w radykalizmie haseł, które potem trzeba łagodzić w rozmowach w Berlinie czy Brukseli. Jak zwykle ratunkiem dla wiarygodności pozostaje wezwanie lidera: „Zaufajcie nam. Wiemy, co robimy".

Bardzo łatwo jest mówić, że trzeba naśladować brytyjski realizm, ale w praktyce, szczególnie w naszej części Europy, nie jest łatwo być skutecznym tak jak Anglicy. C'est la vie. ©℗

FOT. MICHEL CLEMENTZ/MAXPPP/FORUM

DAVID GUETTA W KRAKOWIE

PATRONAT DO RZECZY

Jeden z najsłynniejszych DJ-ów i współczesnych producentów muzycznych ponownie w Polsce! David Guetta 27 stycznia wystąpi w Tauron Arena Kraków. Na płycie największej hali w kraju będzie można pląsać i gibać się w rytm muzy puszczanej przez światową gwiazdę muzyki klubowej. *(a)* ©℗

WOJNY PRZYSZŁOŚCI

PATRONAT DO RZECZY

Pułkownik Marek Wrzosek, wykładowca Akademii Sztuki Wojennej, w swej książce przedstawia nowe wymiary współczesnych wojen. Omawia przekraczające fantazje twórców SF generacje uzbrojenia, jak też kompletnie inne modele konfliktów i rywalizacji. Odwołując się do szokujących przykładów, pokazuje, jak technologia i transformacje społeczne doprowadziły do rewolucyjnych zmian w sztuce wojennej oraz samym rozumieniu wojny. *(a)* ©℗

eprasa.pl 13042f9ed2

Prezentowane produkty i usługi dostępne są na wybranych stacjach ORLEN.

KAWA na mieście?

Dla przejezdnych i przechodniów.
By złapać kawę lub zasięg.
Po nastrój i atmosferę.
Dla wszystkich i o każdej porze.

Kierunek jest jeden...

ORLEN

eprasa.pl 13042f9ed2

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Szacun dla Prezesa

Przywykłem być uważany przez wrogów PiS za PiS-owca, a przez samych PiS-owców za wroga – w przewrotny sposób dogadza to mojej próżności, a z zawodowego punktu widzenia jest wręcz skarbem. Podkreślam to, by z góry uprzedzić, że nie mam najmniejszego powodu wkupywać się w łaski prezesa Kaczyńskiego, przeciwnie, wolę, żeby mnie nie lubił. Więc to, co napiszę, napiszę – jak wszystko, co piszę – tylko dlatego, że jest po prostu prawdą: „rekonstrukcja rządu" była genialnie poprowadzoną polityczną bitwą o przywództwo, godną sławnych batalii napoleońskich.

Zostawić mi tu te wszystkie frukta władzy, na któreście się napalili – klocki w zęby, wiosłujemy!

Wiem, wszyscy już napisali wszystko, co było można, rozbierając na najdrobniejsze szczegóły. Im dłużej jednak myślę, tym lepiej widzę to tak: rekonstrukcja była skutkiem parcia PiS-owskich frakcji do wyrwania się spod kontroli „Naczelnika", jej celem miało być zmuszenie go, aby przeniósł się z Nowogrodzkiej do KPRM, utonął tam w papierach i by – mówiąc hasłowo – rzeź, jaką urządził Jackiewiczowi i jego nominatom, już się nigdy nie mogła powtórzyć. Żeby działacze mogli wreszcie spożyć owoce zwycięstwa, umościć w zdobytych latyfundiach i zająć walką między sobą. Tak jak to było ze wszystkimi formacjami rządzącymi wcześniej.

Po kilku miesiącach manewrów – fakt, niezrozumiałych i irytujących dla szerokiej publiczności, ale przecież to „koniec wieńczy dzieło" – energia prących do tego celu partyjnych dołów została przez Prezesa tak zakręcona, że w efekcie wykreowała nowego, dominującego gracza, znacznie dla Prezesa wygodniejszego, bo jeszcze bez politycznego zaplecza, a wszystkie frakcje zostały zredukowane. Macierewicz i jego jakobini na jakiś czas spacyfikowani, Ziobro stracił wpływy w spółkach Skarbu Państwa, czyli de facto struktury terenowe, Gowin został nieco podniesiony, by go wyżej wymienieni nie zjedli i mógł nadal walczyć o ściąganie do obozu władzy bieżeńców z „dzikich pól" na prawo od PiS. I tak zdyscyplinowana drużyna dostała jasne zadanie: za dwa lata samodzielna większość konstytucyjna. Zostawić mi tu te wszystkie frukta władzy, na któreście się napalili – klocki w zęby, wiosłujemy!

Trudno nie być pod wrażeniem. Niedawno jeszcze wydawało się, że rozkład partii u władzy jest nieuchronny, że losu AWS, SLD i PO uniknąć się nie da – a tu… naprawdę, szacun. © ℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Polityka z klubu go-go

Poznałem niedawno w podróży „bla bla carem" dwie dziewczyny z poznańskiego klubu ze striptizem, tego samego, w którym pewien naiwniak z KGHM wydał około miliona, płacąc firmową kartą kredytową za zabawę. Jak to bywa, gdy jedzie się wspólnie ponad 300 km, współtowarzyszkom język się rozwiązał. I tak przez bite trzy godziny polszczyzną bogato uzupełnianą zwrotami na „k", „ch" i „w piz…" opowiadały, jak w ich i podobnych lokalach naciąga się klientów. Obie zapewniały, że na rurze nie tańczą, z klientami się „nie pier...", a w klubie są menedżerkami.

Uwierzyłem na słowo. Pewnie uwierzyłbym też, gdyby któraś z tych sympatycznych pań oznajmiła, że jest Joanną, aktywną ostatnio politycznie żoną prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka, albo też że obie stanowią forpocztę aktywistek partii Razem. Dlaczego by nie? Bogactwem słownictwa nie ustępowały ani pani prezydentowej Jaśkowiakowej – niedawno zademonstrowanym na wiecu opozycji – gdzie krzyczała, że „jest wkurw...", nie odbiegały też poziomem od „Razemek", które parę dni temu na proaborcyjnym wiecu w Poznaniu wrzeszczały: „Jesteśmy wkurw..., bo zmarzły nam piz…".

Literacki język, którym ślubna prezydenta Jaśkowiaka walczyła o pozyskanie zwolenników dla opozycji totalnej, a feministki – dla radykalnie lewicowych ruchów (literacki wszak, bo doskonale znany z brukowych powieścideł i kryminałków opisujących knajackie środowiska bywalców spelunek oraz melin w PRL), zapewne wzbudziłby uznanie panienek z klubu go-go.

To dobra wiadomość dla szeroko pojętej opozycji. Jest i zła. Personel i klienci klubów pełnych gołych cycków oraz obnażonych pośladków to zbyt nieliczny elektorat, by wygrać wybory. By cokolwiek wygrać. © ℗

eprasa.pl 13042f9ed2

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Pendolino, wersja 2.0

Łza się kręci w oku, gdy przypomnieć sobie, jak rząd Tuska, w tym zwłaszcza ówczesny minister infrastruktury Sławomir Nowak, chwalił się pociągami z rodziny Pendolino. „Uważam, że Polacy zasługują na to, aby podróżować komfortowymi, nowoczesnymi pociągami, dlatego kupujemy pociągi klasy najwyższej" – ekscytował się wówczas Nowak. Cena za cały zakup miała sięgnąć, bagatela, 2 mld zł.

Minister od pendolin i zegarków stanął mi przed oczami, gdy usłyszałem wiceministra energii Michała Kurtykę podczas konferencji „Technologie przyszłości: elektromobilność". Kurtyka ekscytował się nie mniej od Nowaka: „Elektromobilność to nowy wymiar bezpieczeństwa, rozumianego szeroko jako bezpieczeństwo energetyczne, ekonomiczne i społeczne. To także szansa na wzmocnienie procesów prowadzących do suwerennej i nowoczesnej gospodarki". Brakowało tylko stwierdzenia, że elektromobilność wyniesie Polskę do statusu światowego mocarstwa. Nie mniej podekscytowany był prezydent Andrzej Duda, który po dziedzińcu Pałacu Prezydenckiego przejechał się nawet elektrycznym rowerkiem i dość pokracznym meleksem.

Towarzysz Gierek byłby dumny. Oto polskie państwo zrobi własny samochód elektryczny

Fiksacja najważniejszych osób w państwie – w tym premiera, prezydenta czy szefowej nowego Ministerstwa Przedsiębiorczości i Technologii Jadwigi Emilewicz – na punkcie aut elektrycznych nabiera cech obsesji i jako żywo zaczyna przypominać fiksację rządu Tuska na punkcie pendolin. A nawet ją przebija, bo elektromobilność ma kosztować dziewięć razy więcej niż pociągi Pendolino. Przy zakupie pendolin nie stworzono też specjalnej ustawy, której skutki odczują wszyscy w portfelach, bo wszyscy złożą się na ulgi dla kupujących absurdalnie drogie elektryczne zabaweczki, podobnie jak na nowe obowiązki samorządów (ustawa o elektromobilności nakłada na nie m.in. obowiązek stworzenia punktów ładowania).

To już naprawdę jest pełny Peerel. Towarzysz Gierek byłby dumny. Oto polskie państwo zrobi własny samochód elektryczny – albośmy to jacy tacy? – choćby był brzydki jak kaczka, niepraktyczny i niewygodny, i choćby nikt nie chciał go kupować. A rynek, decyzje klientów, czym chcą jeździć? Furda z rynkiem, pan premier i jego urzędnicy są mądrzejsi.

Oby tylko twórcy polskiego auta elektrycznego nie zapomnieli nadać mu wystarczająco pompatycznej nazwy. Może „Kazimierz Wielki"? ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Zjednoczeni w żenadzie

Ostatnie tygodnie to prawdziwa kolejka górska emocji dla „zjednoczonej opozycji". Jak się okazało po głosowaniach ws. aborcji, zjednoczonej również w potykaniu się o własne tweety.

Nic dziwnego, że gniew ludu wylał się też w mediach społecznościowych, a jego ofiarą padł m.in. Rafał Trzaskowski. „Kto ma w tym Sejmie bronić praw kobiet przed prawicowym obskurantyzmem, jeśli nie opozycja?" – zapytał retorycznie. „Człowieku, daliście d..y po całości. Wstyd" – odparł niejaki Rafi. „Zgoda. Wstyd" – pokajał się Trzaskowski.

Niestety, chwilę później, być może idąc za podszeptem lidera Grzegorza Schetyny, obaj panowie przyznali, że pomimo chwilowej dezorganizacji ostatecznie wyciągają chadecką kotwicę i „będą bronić Polaków przed nieludzkimi projektami radykałów, takimi jak ten Ordo Iuris". Niestety projekt zaostrzający prawo aborcyjne nie był autorstwa Ordo Iuris.

Złość elektoratu znalazła swoje ujście również pod biurami PO i Nowoczesnej. „Skrajna lewica – podobnie jak skrajna prawica – w ramach seansu nienawiści wywiesiła portrety posłów opozycji" – oburzył się Jan Grabiec. „Tok FM już jest przybudówką Partii Razem?" – dociekał z kolei Tomasz Lis. „W serwisie informacyjnym sformułowania typu »po blamażu opozycji«. [...] »Wiadomości« à rebours, ale wróg ten sam – parlamentarna opozycja"– ubolewał nad linią redakcji. Ciężko tym panom dogodzić.

I tylko w SLD wszystko po staremu. Ich się kryzysy nie imają, bo zamiast konserwatywnej już dawno temu zarzucili postkomunistyczną kotwicę. „Kierownictwo SLD złożyło dziś wieniec w podzięce tym, którzy wyzwolili stolicę Polski z rąk niemieckiego okupanta". A że później jeszcze 44 lata trzeba się było wyzwalać? Cóż.

Z rzeczy naprawdę istotnych – na Twittera zawitała poseł Krystyna Pawłowicz. Jak sama przyznała; „dopiero uczy się tej maszynki i na pewno zrobi błędy", ale ponieważ jest profesorem, nauczyła się szybko. Pierwszą ofiarą padł wicepremier Gowin, mówiący w telewizji o kolegach partyjnych per „ty". „Pan ładny,ale,skoro jest Pan od wyższej edukacji,to chyba racze »prezes Kaczyński«,»premier Morawiecki«i »pan Marek Suski«.Co?" – zapytała. Pisownia oryginalna. ©℗

eprasa.pl 13042f9ed2

FOT. PAWEŁ GROMADA

NIE MA JAK PROSECCO

Edzia Górniak wyznała ostatnio, co najbardziej pomaga jej w trudnych chwilach, których w jej życiu nie brakuje. – Umiem dobrze radzić sobie z samotnością, sukcesem i porażką – wyjaśnia w „Fakcie". – Dzisiaj jestem dużo mocniejsza psychicznie niż kiedyś – mówi. Zdradza też swoją receptę na wszelkie smutki. Receptę, można by rzec, uniwersalną. – Narkotyków nigdy nie próbowałam, a papierosów nie polubiłam. Lubię dobre wino, na przykład prosecco. Pomaga mi czasem na chwilę radzić sobie z problemami – dodaje. Problemami takimi jak wywiady i inne publiczne występy? To by wiele wyjaśniało! Właściwie wszystko.

TANIEC Z RENATĄ

Biedna Renata Kaczoruk, nikt nie chce z nią tańczyć w najnowszej edycji polsatowskiego „Tańca z gwiazdami"! Ale od początku. Kaczoruk to życiowa partnerka Kuby Wojewódzkiego. Nie jest zbyt lubianą celebrytką, odkąd wystąpiła w programie TVN „Azja Express", gdzie była najbardziej konfliktową i najmniej koleżeńską uczestniczką. – Po pierwsze musi tańczyć z kimś bardzo wysokim, a wśród tancerzy w programie trudno znaleźć kogoś, kto choćby zbliży się do niej wzrostem. Po drugie jednak zwyczajnie brakuje chętnych. Największe gwiazdy programu odmawiają, bo nikt nie chce odpaść na początku, a wszyscy wiedzą, że widzowie jej nie lubią – mówi znanemu portalowi plotkarskiemu Pudelek osoba związana z produkcją tanecznego show. – Nikt nie chce odpaść w pierwszym odcinku, sympatia widzów przekłada się na zarobki, nikt nie chce ryzykować – dodaje. Niniejszym wiadomo już, kto będzie największym wygranym „Tańca z gwiazdami". Ten, kto zatańczy z Kaczoruk! Może zażądać podwójnej gaży za pracę w trudnych warunkach, a i tak nikt nie będzie miał do niego pretensji, gdy odpadnie w pierwszym odcinku. Fucha marzeń!

WŁOSY NA STRATY

Piosenkarkoszafiarka Honorata Skarbek, znana ponoć jako „Honey", ma nie lada problem. Problem ów dotyczy włosów. Celebrytka skarży się, że przez to, że doczepiała sobie sztuczne włosy, zaczęła tracić własne. Innymi słowy zaczęła łysieć. Sprawa jest poważna, bo Honorata była już nawet na konsultacji u trychologa, czyli lekarza od włosów. – Honorata ma dość sztucznego zagęszczania fryzury, bo takie zabiegi zniszczyły jej włosy. Są rozrzedzone, wypadają i wyglądają źle. Dlatego jakiś czas temu udała się do specjalisty, żeby zapisał ją na jakąś terapię – opowiada „Faktowi" znajomy piosenkarki. – Honka udała się do najlepszego trychologa w Warszawie, ale on wycenił jej terapię na 20 tysięcy złotych! – dodaje. Honka podobno jest zrozpaczona. Nic dziwnego. Ona jedna wie, ile jeszcze terapii po innych zabiegach rzekomo upiększających ją czeka. Kto by pomyślał, że powrót do normalności jest aż tak kosztowny!

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

TO MUSIAŁ BYĆ PIS-OWIEC!

Znany aktor Krzysztof Pieczyński został pobity w centrum Warszawy. Aktor wdał się w bójkę i, jak później twierdził, jej powodem były jego poglądy polityczne. – Powiedział do mnie „ty pedale" i poszedł dalej. Zawróciłem za nim, spytałem, dlaczego tak na mnie powiedział – relacjonował później aktor. – Próbowałem z nim rozmawiać, tłumaczyć, że tak nie wolno. Wtedy zaczął mnie kopać po nogach. Zacząłem się bronić, niestety nie mam wprawy. W końcu uderzył mnie pięścią w twarz – opowiadał. – Zgłosiłem sprawę na policji, on zrobił to samo. Nie wiem, jak to się zakończy. Nie wiem, czy tam jest monitoring. Ale ja tej sprawy nie odpuszczę. Nie może być tak, że kogoś wyzywa się i bije za poglądy, wygląd czy orientację. Będę z tym walczył – zapowiada Pieczyński. Sprawa skandaliczna i oczywiste jest, że trzeba ją wyjaśnić, winnego ukarać. Z tym, że szybko okazało się, że Pieczyński wbrew temu, co utrzymywał, nie został wcale pobity ze względu na poglądy, lecz przez czerwoną kurtkę, którą akurat miał na sobie. „Napaść na Pieczyńskiego to efekt choroby psychicznej napastnika" – pisze portal wPolityce.pl. „[...] Agresor utrzymuje, że posiadacze kurtki o tym kolorze śledzą go i prześladują" – czytamy. Szkoda by było, gdyby całą legendę o prześladowanym i pobitym przez oszalałego wyborcę PiS aktorze szlag trafił. Na pewno agresor miał jakieś związki z PiS. Może chociaż kiedyś koło siedziby PiS przechodził? To już zawsze coś!

GORZEJ NIŻ ZA HITLERA

Polityczne zaangażowanie dotyka ostatnio większości celebrytów, nie ominęło więc także Kingi Rusin. Prezenterka pojawiła się na sejmowej komisji, która pracowała nad projektem nowego prawa łowieckiego. Rusin była bardzo przejęta tym, jak są w Polsce traktowane zwierzęta. Tak bardzo, że zapomniała już, że w sieci można znaleźć całą masę jej zdjęć, na których paraduje w futrach. Tak, naturalnych. Rusin jest także poruszona i oburzona losem drzew z Puszczy Białowieskiej. – Taka dewastacja nie występowała nawet w czasie okupacji hitlerowskiej – stwierdziła w rozmowie z dziennikarzem, wywołując natychmiast reakcję internetów. Memy z Hitlerem w roli miłośnika drzew i ekologii w ramach akcji #bądźjakKinga biły rekordy popularności. Z takim wsparciem opozycja może spać spokojnie. Rządzenie jej nie grozi. ©℗

eprasa.pl 13042f9ed2

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, zainspirowani felietonem z „Wyborczej", w którym autor miał bekę ze skoczka narciarskiego robiącego znak krzyża przed skokiem, przygotowaliśmy naszą propozycję Wystandaryzowanego Postępowania przed Skokiem na Nartach. Do zaimplementowania natychmiast na wszystkich obiektach znajdujących się na terenie Unii Europejskiej.

Otósh zawodnik powinien:

1) Siadając na belce, zaintonować hymn zjednoczonej Europy;

2) Przed rozpoczęciem skoku zacytować do kamery fragmenty Karty praw podstawowych lub konwencji antyprzemocowej;

3) Zjeżdżając po rozbiegu, odwołać się w myślach do świeckich wartości Unii Europejskiej;

4) W trakcie lotu wykonywać gesty otwartości i zaufania i rozwinąć za nartami transparent z napisem: „Refugees welcome";

5) Po wylądowaniu podkreślić, iż był to skok świecki, rozłączny od Kościoła, iżby nie obrażać niczyich uczuć ateistycznych;

6) Po ogłoszeniu wyników prosić o ponowne przeliczenie punktów, aż do skutku, tj. do momentu, w którym wszyscy uzyskają taką samą notę, a zawodnik z tego kraju zostanie zdyskwalifikowany.

Wiecie co? Martwi nas ten cały Morawiecki. Wszystko bowiem wskazuje na to, iż jako premier będzie realizował program pis.

Od premiera polskiego rządu oczekiwalibyśmy raczej, iż realizowałby program konsensualny, z poszanowaniem praw każdej z mniejszości, respektując jednocześnie przychodzące z Brukseli wytyczne zgodnie z europejskim system wartości.

Mieliśmy po cichu nadzieję, iż Morawiecki zechce być premierem wszystkich Polaków, a przynajmniej tych, którzy wybierają sylwestra z TVN, a nie TVP. Chyba jednak i w tym przypadku nasze nadzieje były płonne.

To okrutnie cyniczne ze strony tego kraju, iż uczestniczki pigmentalnie uposażonych protestów zostały obsypane białym śniegiem. Przez co całe te protesty w pewnym momencie nie były już wcale pigmentalnie uposażone, ale w kolorze górnej warstwy latte lub górnego paska na fladze tego kraju (nazwa koloru dosłowna nie chce nam przejść przez klawiaturę :/).

W dodatku jeszcze potem, jak relacjonowała nam frendziara z kolektywu, spotkała je duża nieprzyjemność w kawiarni, do której poszły. Jakiś barman, najwyraźniej nowy w wielkim ośrodku, jakiś Jędrek z Porońca, zapytał, czy życzą sobie kawę „białą czy czarną".

Rozumiecie? Fashysm, wszędzie fashysm i naruszanie godności waginoosób.

Podoba nam się postawa lekarza, który poinformował, iż w jego gabinecie nie będą obsługiwani pacjenci z pis. Taka pozytywna dyskryminacja to potrzebne zjawisko w walce z kaczystowskim reżimem.

Dlatego też proponujemy, iżby odpowiednie kroki podejmowali kolejni przedstawiciele różnych grup zawodowych. Weterynarze niech odmawiają leczenia kotoosób należących do pisowców, fryzjerzy powinni potajemnie strzyc wąsatych januszów w koczek samuraja, tak aby janusz zauważył to, kiedy będzie już za późno, a ekspedientki w sklepach przed skasowaniem zakupów odpytywały klientów na wyrywki z ustawy o trybunale i artykułów konstytucji.

Już nie mówiąc o baristach, którzy powinni lać pisowcom sojowe mleko zamiast krowiego do kawy – wtedy taki pisowiec dostanie takiego rozstroju żołądka, iż na długo sobie popamięta!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 13042f9ed2

Zmiany, zmiany, zmiany. Ale my nie o rekonstrukcji. Tylko o dudapałacu. Nie, nie chodzi o zwolnienia. Lecz o przyspieszenia. Prezydenckich podpisów pod rozmaitymi ustawami. Na Nowogrodzkiej nawet nie zdążą sobie wpisać do terminarza, że jakaś ustawa wychodzi z parlamentu, a tu hyc – już jest podpisana! Dziwią się wiewiórki i z niedowierzaniem pytają: efekt uboczny dymisji pewnego hetmana koronnego imieniem Antoni? Ha, czyli jednak znowu piszemy o rekonstrukcji.

Apropos Antoniego. Wiewiórki z Nowogrodzkiej z pewną wstrzemięźliwością przyjęły nową wersję wydarzeń lansowaną przez wielkiego hetmana, jakoby dowiedział się o dymisji od demonicznego Krzysztofa Szczerskiego. „Rozmawialiśmy nieraz i było wiadomo, o co chodzi" – mówią ważne wiewiórki. My nie zajmujemy stanowiska w tym sporze. Kręciła nas tylko możliwość użycia zwrotu „demoniczny Krzysztof Szczerski".

Oprócz tytułów krzyczących „Hańba! Dudaczewski! Antoni wróć!" są i takie, które w lot pojęły, że linia się zmienia. Zauważcie: w pewnym tygodniku (załóżmy teoretycznie, że to tygodnik rybacki) ukazał się od razu tekst, w którym z troską pytano, czy były wielki hetman koronny aby dokłada staranności w wyjaśnianiu sprawy smoleńskiej i czy aby nie wyciąga nazbyt pochopnych wniosków. Ech, tak się staje tam, gdzie stało ZOMO, lub przynajmniej Peło.

Wiemy, co wkrótce będzie kręciło media minionego reżimu. Tytuł „Jacek Czaputowicz agentem hiszpańskiego wywiadu". Też się z początku podnieciliśmy, bo w IPN są materiały, że tzw. dwójka, czyli wywiad esbecki, uważał Czapę za agenta Juana Carlosa, bo za komuny był dwa razy w mieszkaniu pewnej hiszpańskiej dziennikarki. Jest jednak kłopot z nakręcaniem takiej aferki. W tych samych papierach jako hiszpański agent figurują Michnik Adam oraz Orszulik Alojzy, biskup. Hasta la vista, Czuchno!

Z szefa MSZ Czapy-Czaputowicza można by od biedy zrobić też niemieckiego agenta. Zna świetnie Rüdigera von Fritscha, eksambasadora w Warszawie i Moskwie. Swojego czasu wiceszefa BND. Problem w tym, że von Fritscha z czasów komuny zna jakieś trzy czwarte opozycji. Jakby Czuchno chciał wiedzieć, kogo z jego redakcji, to polecamy teczkę von Fritscha z zasobu IPN. Od razu uprzedzamy – jeden z panów G. też poznał tego „dyplomatę".

Warto dodać, że von Fritschowie mają bliskie związki z Polską. Stryj ambasadora (Werner) został skoszony z karabinu maszynowego przez polskich żołnierzy na przedpolach Warszawy w 1939 r. Był jedynym niemieckim generałem poległym w czasie kampanii wrześniowej. Chociaż niektórzy mówią, że było to de facto samobójstwo. Generał został bowiem zdymisjonowany z funkcji szefa wojsk lądowych pod dętym zarzutem homoseksualizmu. Po tym przestało mu się chcieć żyć.

Pisaliśmy, że niejaki Andrzej Sadoś, zwany Słabosiem, ma być wickiem w MSZ? To już nieaktualne. Idzie w ambasadory. Ma zastąpić esbeckiego uchola Starzyka na placówce przy Unii Europejskiej. Pisaliśmy, że jest znajomym Misia Kamińskiego z ławy szkolnej? To prawda. Ale wtedy nie wiedzieliśmy, że otarł się też gdzieś o premiera Mateusza. I to jest jego kolejna kompetencja.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z frontu walki o cyfryzację. Pamiętacie Marka Zagórskiego? Tego, o którym pisaliśmy jakiś czas temu, że Gowin przehandlował Ankę Streżyńską za Zagórskiego? Owszem, będzie na razie pełnił obowiązki szefa resortu, ale tylko na razie. Prawdziwym ministrem nie zostanie. „Nie może być tak, żeby ludzie Gowina dostali jeszcze jedno ministerstwo" – mówią wiewiórki z Nowogrodzkiej.

Jak się dowiadujemy, w sprawie Zagórskiego wypowiedział się sam Naczelnik Państwa. Kiedy usłyszał tę kandydaturę, miał powiedzieć: „No, jeszcze czego! To może od razu oddajcie ministerstwo Balazsowi!". I to przesądziło dużo bardziej niż odchylenie gowinowsko-jarosławowskie.

Z frontu walki o Warszawę. Nowogrodzka całkiem poważnie rozważa, czy przeciw duetowi Rafcio Trzaskowski – Paweł Rabiej nie wystawić duetu Staszek Karczewski – Patryk Jaki. Trwa więc przekonywanie Patryka, że kandydowanie w charakterze kandydata na wiceprezydenta to żadna ujma na honorze i żaden cios dla ambicji.

Tymczasem najsłynniejszy polski reanimator trupów Włodek Czarzasty sufluje SLD jako trzeci element wielkiej koalicji w Warszawie i chce, żeby Seba Wierzbicki też był kandydatem na wiceprezydenta. Widzimy tu pewien kłopot. Otóż w 2014 r. Seba w drugiej turze przekazał swoje 4 proc. poparcia Hance Kamienicznik-Waltz. A Rafcio Trzaskowski chce się w kampanii odcinać od dorobku Hanki. Powinien więc się odciąć i od Seby.

eprasa.pl 13042f9ed2

Uważamy, że kandydatów na wiceprezydentów powinno być jak najwięcej. Na przykład, gdyby włączyć do wielkiej koalicji jeszcze Peezel, to i oni wystawiliby swojaka w ogonku za Trzaskowskim. Nie, nie myślimy o Jakubie Stefaniaku. Tylko o Marku Sawickim. Idealny wiceprezydent stolicy: do Warszawy ma niedaleko i hoduje owce. Dał sobie radę z owcami, to da i z lemingami.

Wzrusza nas natomiast jedno z ostatnich wielkich dzieł, które realizuje Hanka Kamienicznik-Waltz, by zapisać się w pamięci warszawiaków. Właśnie zmieniła logo Warszawskiego Transportu Publicznego. Bardzo podoba nam się fakt, że literka „t" jest w nim stylizowana dokładnie tak jak kiedyś w logo „Dziennika Telewizyjnego", tego z Peerelu. To naturalne w przypadku polityka z partii równie obywatelskiej jak kiedyś milicja obywatelska.

Powracają plotki, jakby korona Kurów miała zostać zdjęta z głowy Jacka Kury-Kurskiego. Wątpimy, bo wciąż nie wiadomo, kto mógłby go zastąpić. Z drugiej strony pewne niezadowolenie z dorobku tego monarchy wyraża coraz silniej sam Naczelnik Państwa. Proponujemy kompromis: niech TVP nadzoruje bezpośrednio premier Mateusz. On nadzoruje tyle rzeczy, że jedna więcej nie zrobi różnicy.

Z tym nadzorowaniem to nie żart. Oprócz osobistego nadzorowania wszystkich resortów rozwojowo-ekonomicznych oraz specnadzoru nad resortem cyfryzacji premier Mateusz obecnie kontroluje także osobiście LOT i program „Mieszkanie Plus". A to nie koniec. Przecież w kancelarii zostały obydwie Bełaty. Też trzeba je nadzorować, bo inaczej obiecają „500+" na każdego Polaka oraz na każdego Syryjczyka, który zgodzi się zostać w Syrii.

Wracając do korony Kurów: słyszeliśmy dobry żart, więc powtarzamy. Słysząc hasło: „Prezes TVP powinien się zmienić!", prezes Jacek Kura-Kurski podnosi rękę i woła: „Ależ ja się zmienię!".

Wiewiórki opowiadają, że karząca ręka Naczelnika Państwa może jednak nie zdjąć z głowy Kury-Kurskiego korony Kurów, ponieważ Naczelnikowi bardzo podoba się „Korona królów", a w szczególności gra Haliny Łabonarskiej w roli Jadwigi. Odnotowujemy tę plotkę jako dowód, że kultura jednak ma znaczenie.

My w sprawie czerwonych kurtek. Okazało się bowiem, że osobnik, który szarpał się z wściekłym ateuszem Pieczyńskim Krzysztofem, nie chciał go karać za antyklerykalizm, tylko ma kuku na muniu i boi się panicznie czerwonych kurtek. My to rozumiemy. Pomyślcie sami: angielskich żołnierzy zwano kiedyś czerwonymi kurtkami. Teraz Anglicy wszystkich wystraszyli, wychodząc z UE. Jest się czego bać. Co było do udowodnienia.

Fejsbuk zawiesił konto Elizy Michalik, kobiety, która zamiast czerwonych kurtek boi się czarnej dyktatury. Bo opisując zajście, użyła sformułowania „pedalska kurtka", mając ma myśli kolor czerwony. Ciekawi jesteśmy, co Eliza ma do powiedzenia na temat kolorów sweterków Włodka Czarzastego. W każdym razie jednego ze sweterków.

Uwaga! Ujawniamy! Dawno, dawno temu Eliza pracowała w hardkorowo prawicowym tygodniku „Ozon", w jednym dziale z Anitą Gargas i Joanną Najfeld, pod kierownictwem jednego z panów G. oraz pod naczelnymi: Grzesiem Górnym i Tomkiem Terlikowskim. I wiecie co? Nigdy nie mówiła nic o „pedalskich kurtkach". To też było do udowodnienia: katolstwo łagodzi obyczaje.

Chwalimy rząd. Są już pierwsze skutki promocji elektromobilności w Polsce. Telewizja Republika wymieniła stare skody na nowe toyoty. Jeszcze co prawda nie w pełni elektryczne, ale już hybrydowe. Więc bateria jest. O, udało nam się przy okazji napisać coś o rekonstrukcji! Sami rozumiecie ciąg skojarzeń: bateria to armata, armata to armia, armia to MON. Ech, co za życie. Wszystko jest polityką. ©℗

Nowogrodzka poważnie rozważa, czy przeciw duetowi Trzaskowski – Rabiej nie wystawić duetu Karczewski – Jaki

eprasa.pl 13042f9ed2

FOT. IRENEUSZ SOBIESZCZUK/JAN BOGACZ/PAP

eprasa.pl 13042f9ed2

Z Danutą Holecką,
dziennikarką „Wiadomości", dziennikarką prowadzącą „Wiadomości"
rozmawia Maciej Pieczyński

TVP już nie tylko dla elit

eprasa.pl 13042f9ed2

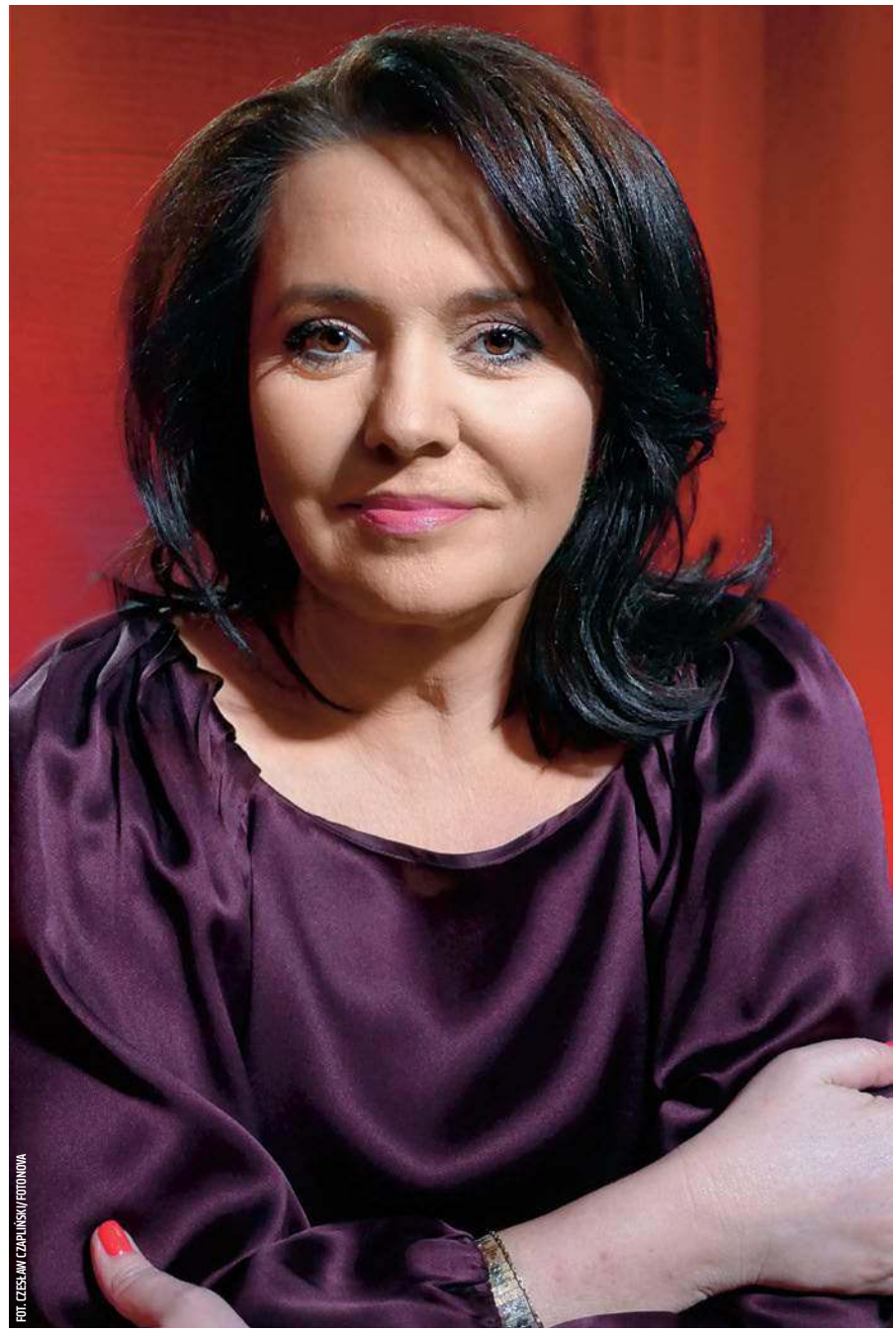
FOT. CZESŁAW CZAPLIŃSKI/FOTONOVA

MACIEJ PIECZYŃSKI: Ukończyła pani katolickie warszawskie liceum sióstr nazaretanek. „Nie byłabym w tym miejscu, gdyby nie Nazaret" – sama pani przyznaje...

DANUTA HOLECKA: Przede wszystkim to nie byłabym tym, kim jestem, gdyby nie mój dziadek.

Co mu pani zawdzięcza?

Mój dziadek wyjechał za chlebem do USA, w ślad za swoimi braćmi. Mojej mamie, mimo zaproszenia, nie udało się wyjechać, bo choć kilka razy starała się o paszport, odmówiono go jej. Niewiele brakowało, a urodziłabym się w Stanach… Tak czy inaczej mój dziadek właśnie w Ameryce zobaczył, jak funkcjonują szkoły prowadzone przez siostry zakonne, i wymarzył sobie, że jego wnuczka też będzie chodziła do takiej szkoły. Niestety, moich rodziców nie było na to stać. Dziadek jednak postanowił spełnić swoje marzenie i przez całe cztery lata opłacał moją naukę u sióstr nazaretanek…

Co takiego szczególnego było w tej szkole?

Po prostu siostry były nadzwyczaj przyzwoite i opiekuńcze. Pochodzę z oddalonego o blisko 200 km od Warszawy Lidzbarka Welskiego, musiałam więc zamieszkać w internacie. A to dla kilkunastoletniego dzieciaka trochę więcej niż sama szkoła – to szkoła życia. Nazaretanki wychowywały mnie 24 godziny na dobę. Czasem się buntowałyśmy, bo siostry były dla nas niemiłosiernie wymagające, ale tak naprawdę w głębi duszy każda z nas wiedziała, że chcą dla nas dobrze i że ta szkoła jest szansą na lepsze życie.

Ponoć to nazaretanki nauczyły panią, że „życia nie wolno się bać, życie trzeba brać". Chyba więc katolickie liceum rozwija nie tylko chrześcijańskie wartości, lecz także zwyczajną siłę charakteru...

Oczywiście. Wartości chrześcijańskie są zresztą wartościami uniwersalnymi. Wiadomo, że przyzwoitym może i powinien być każdy. Bez względu na wiarę. Samo chodzenie do kościoła nie sprawia, że nagle człowiek przestaje popełniać błędy. Faktem jest jednak, że katolickie nauczanie wzmacnia ducha i charakter. Siostry tłumaczyły nam, że mogą wiele wysiłku włożyć w nasze wychowanie, ale my musimy chcieć i też dać z siebie wiele. Miałyśmy więc wyznaczone proste zasady, których bezwzględnego przestrzegania od nas wymagano. Na przykład: po obiedzie był czas wolny i siostry wręcz zachęcały, by odpocząć, przewietrzyć umysł, oderwać się na chwilę od obowiązków. Jednak później, o godz. 17, zaczynało się studium obowiązkowe, czyli wspólne odrabianie lekcji, na które nie można się było spóźnić nawet minutę. Nieobecność trzeba było bardzo przekonująco usprawiedliwić. Nie odrabiałyśmy lekcji w pokojach, gdzie pewnie można ten obowiązek potraktować luźniej, tylko w klasach, pod czujnym okiem sióstr. Jeśli ktoś nie potrafił utrzymać samodyscypliny, to miał nieprzyjemności. Wzywano rodziców na pouczającą rozmowę o tym, jak to ich dziecko źle się uczy i że niekoniecznie zasłużyło, by być dalej uczniem tej szkoły. Panowała prosta zasada – jeśli nie przekraczasz wyznaczonych granic i ostro pracujesz, to nikt do ciebie nie ma o nic pretensji, bo mimo surowych wymagań szanujemy siebie nawzajem.

Wiara pomaga też czasem w karierze dziennikarskiej... Podobno pewnego dnia, gdy miała pani poprowadzić „Wiadomości", złapał panią ból zęba nie do wytrzymania. Uśmierzyć ten ból pomogła ponoć modlitwa...

eprasa.pl 13042f9ed2

Za tę historię wylała się już na mnie taka fala hejtu, że mój Boże…

Jeśli to prawdziwa opowieść, to proszę nie bać się do niej wrócić.

Nie lubię opowiadać takich historii, bo później mi wstyd, gdy przez to moi krytycy wyśmiewają Pana Boga. Generalnie to było tak, że zaczął mnie bardzo boleć ząb, akurat tego dnia, kiedy musiałam poprowadzić „Wiadomości" i nie miałam z kim się zamienić. Półtorej godziny przed wejściem na wizję już prawie nie mogłam wytrzymać z bólu. Wyszłam z newsroomu, uklękłam i zaczęłam prosić: „Panie Boże, pomóż, bo zwariuję. Przepraszam, że o to proszę, ale nie mogę wytrzymać, nie mogę na niczym skupić myśli, nie dam rady". Niech pan sobie wyobrazi, że po chwili wstałam z kolan, wróciłam do swojego biurka, usiadłam przy komputerze i nagle poczułam, że mogę skoncentrować się na pracy. Ból wrócił tuż po „Wiadomościach". Uderzył z taką mocą, że wręcz biegłam do dentysty. Ząb trzeba było natychmiast usuwać. Dentysta śmiał się, że dopiero co widział mnie w telewizji…

Nie wiem, dlaczego niechętnie opowiada pani takie historie. To ciekawe, w jaki sposób ludziom pomaga wiara…

Wiara pomaga mi każdego dnia, we wszystkich, zwłaszcza trudnych sytuacjach. W moim przekonaniu każdy, w głębi duszy, chce być jak najlepszym człowiekiem. Nie potrafię więc pojąć, jak np. ktoś może drugiego człowieka bezpardonowo i kłamliwie atakować przez anonimowe wpisy w Internecie, nie mając odwagi tych wszystkich kalumnii powiedzieć prosto w twarz! To jest wstrętne. I nie chodzi mi wcale o hejt skierowany przeciwko mnie…

Dziennikarze wyrzuceni z TVP ostro panią atakują. Beata Tadla stwierdziła, że żyje pani w jakiejś innej rzeczywistości, a Hanna Lis, zarzucając „Wiadomościom" propagandę, zastanawiała się na Twitterze, „kiedy Holecka zacznie mówić po koreańsku".

Tak? Nie wiedziałam. Ja nie pozwoliłabym sobie na tego typu komentarze, choć też byłam wyrzucana z „Wiadomości" i z TVP Info. Dziwię się tym paniom, że tak bardzo je absorbuję. Nie wiem, czy w ten sposób odreagowują swoje problemy. W każdym razie, choć nie bardzo rozumiem, szczerze współczuję. Poza tym zauważyłam, że często, jeśli ktoś chce zaatakować TVP, to próbuje nas przedstawić w takiej, przepraszam za wyrażenie, pszenno-buraczanej formie. W jednym z tygodników niedawno pisano o mnie, że w czasie studiów wyjechałam zbierać warzywa w Holandii. Pewnie ich zdaniem nadaję się tylko do pracy w polu. To mnie nie obraża, bo ja bardzo szanuję pracę na roli. Denerwuje mnie tylko kolejne kłamstwo, bo nigdy nie byłam w Holandii…

Czyli ten tygodnik skłamał, pisząc na pani temat?

Tak. Nasi przeciwnicy próbują przedstawić dziennikarzy TVP jako tych brzydkich, nieatrakcyjnych, w odróżnieniu od mediów lewicowo-liberalnych, które są według nich piękne, mądre, dobre i na topie. Jeśli mam być kimś, kto udaje i mówi to, co wypada, a nie to, co myśli, tylko po to, żeby przypodobać się wybranym, to ja już wolę być zwyczajna. Jeśli wybór jest między byciem prawdziwym a byciem modnym, to ja wybieram bycie prawdziwym. I jeśli ktoś tę prawdziwość nazywa zwyczajnością, to proszę bardzo, nie obrażę się.

> **Oddajemy głos tym, których do tej pory nikt nie chciał wysłuchać, których krzywdy nie były dotąd wystarczająco „atrakcyjne" dla mediów**

Polaryzacja społeczeństwa, podział na dwa „wrogie plemiona", dotyczy również świata mediów. Dziennikarze Telewizji Polskiej bywają atakowani nie tylko przez zjadliwe komentarze. Spotkała się pani z jakąś agresją ze strony przeciwników?

Ostatnio, tuż po ukazaniu się kłamliwego artykułu na mój temat, moją rodzinę spotkał bardzo nieprzyjemny incydent, ale nie chcę o tym mówić. Śledztwo jest w toku. To jednak wyjątkowy przypadek. Powiem panu szczerze, że nigdy nie zdarzyło mi się, żeby ktoś w sklepie czy na ulicy podszedł do mnie i wprost wygarnął mi, jak to mnie nie cierpi. Ciekawe, skąd biorą się tak ostre komentarze w Internecie, skoro na żywo jakoś nikt nie wyraził mi swojej wrogości. Mogę za to zeznać pod przysięgą, że jeśli ktoś mnie gdzieś rozpoznaje i podejmuje ze mną rozmowę, to ten kontakt z reguły jest bardzo miły. Ludzie uśmiechają się, ściskają dłoń, mówią dobre, ciepłe rzeczy. Słyszę teksty w stylu: „Niech się pani trzyma", „Bardzo panią lubimy" albo „Świetny wywiad pani przeprowadziła", a nie: „Nienawidzę pani", „Nie podoba mi się to, co pani robi. Dlaczego nie zaczęła pani jeszcze mówić po koreańsku?!".

Zapewne niektórzy nie zastanawiają się nad oceną „Wiadomości", tylko uśmiechają się do gwiazdy telewizji.

Jaka tam ze mnie gwiazda telewizji…

Jest pani bardzo rozpoznawalna. Czy często podchodzą do pani zwolennicy PiS i chwalą panią za to, że „Wiadomości" mówią prawdę?

Nie wiem, czy podchodzą do mnie zwolennicy PiS, PO czy ludzie, którzy nie popierają żadnej partii… Nie pytam o poglądy. Po prostu podchodzą do mnie ludzie i mówią miłe rzeczy. Każdy ma pewnie swoje powody. Z pewnością wielu z nich ogląda i lubi „Wiadomości".

Po raz pierwszy przywitała się pani z telewidzami „Wiadomości" 20 lat temu. W czym obecna TVP jest lepsza od Telewizji Polskiej przed zmianą władzy czy od teraźniejszej konkurencji?

Mnie się wydaje, że obecna TVP widzi trochę więcej…

Trochę więcej niż TVN?

Nie chcę wymieniać konkretnych szyldów. W odróżnieniu od moich krytyków nie będę atakować poszczególnych stacji, redakcji czy dziennikarzy.

To inaczej: Na czym polega dobra zmiana w telewizji publicznej?

Jak już powiedziałam, dostrzegamy więcej niż tzw. mainstream, uwielbiany przez kamery innych stacji. Obecna TVP to telewizja nie tylko dla elit, lecz także dla zwykłych ludzi. Oddajemy głos tym, których nikt do tej pory nie chciał wysłuchać, których krzywdy nie były dotąd wystarczająco „atrakcyjne", by skupić na sobie uwagę mediów. Przy okazji reformy sądownictwa przedstawiliśmy naszym widzom historię przedsiębiorcy, który w efekcie niesprawiedliwych wyroków stracił wszystko, co miał. Wcześniej jakoś niespecjalnie interesowano się jego historią.

A nie ma pani wrażenia, że jednak rzadko pojawiają się w TVP eksperci jednoznacznie krytyczni wobec PiS?

Zapraszamy gości, którzy mają coś ciekawego do powiedzenia milionom ludzi, którzy oglądają ten program. W „Gościu

eprasa.pl 13042f9ed2

Wiadomości" rozmawiamy głównie z politykami, eksperci występują rzadziej. A jeśli już – to zapraszamy tych, którzy przedtem praktycznie nie mieli wstępu do mediów.

Z reguły jednak też występują głównie politycy PiS. Wasi krytycy mówią o „propagandzie", zwolennicy zaś – o „wyrównywaniu proporcji".

Nasza konkurencja prezentuje zupełnie inną narrację, zaprasza zupełnie innych gości. Dlatego prawdą jest, że wyrównujemy proporcje w świecie mediów. Tak powinno być. Natomiast nie zgodzę się z zarzutem, że nie bywają u nas politycy opcji innych niż rządząca. Rzeczywiście, politycy PiS pojawiają się częściej, ale pamiętajmy, że to ta partia rządzi i zmienia dziś Polskę. Kogo w takim razie pytać o te zmiany jak nie przedstawicieli rządu, którzy są z PiS?

Nie chodzi o dokładny procentowy udział polityków i ekspertów konkretnej opcji w dyskusji, ale o pewne wrażenie.

Nie jestem specjalistką od wrażeń, tylko od roboty.

A nie wydaje się pani, że narracja „Wiadomości" mogłaby być trochę bardziej koncyliacyjna wobec przeciwników politycznych PiS? Może lepiej spróbować zasypać ten głęboki podział w polskim społeczeństwie?

Arcybiskup Jędraszewski w rozmowie ze mną stwierdził, że różnice i podziały są naturalne, zwłaszcza dla systemu demokratycznego. Ważne jest tylko rozumienie, że Polska jest dobrem wspólnym i że to jej dobro jest najważniejsze, a nie osobisty czy partyjny interes. To mądra diagnoza.

Różnica zdań nie powinna prowadzić do ataków na polityków i dziennikarzy, więc chyba jednak jesteśmy podzieleni. Jest pani powszechnie uważana za osobę bardzo otwartą i sympatyczną. Nie sądzi pani, że narracja programów informacyjnych powinna być jednak odrobinę łagodniejsza?

Ma pan do nas pretensje, gdy to właśnie dziennikarze TVP są atakowani od wielu miesięcy? Dochodzi nawet do ataków fizycznych w czasie, gdy wykonują swoje obowiązki.

W jednym z wydań „Wiadomości" w następujący sposób poinformowała pani o proteście lekarzy: „Protest szybko przybrał charakter polityczny, z udziałem tych samych twarzy, znanych z marszów KOD i protestów totalnej opozycji".

A nie przybrał takiego charakteru?

Nie o to chodzi. Lewicowo-liberalne media informowały, że pani syn, Julian, poparł na Facebooku protest lekarzy.

To jest niemoralne, żeby używać dzieci do ataku na rodziców. Moi synowie mają po 24 lata. Są dorośli. Nie wychowałam ich na bezwolnych ludzi, którzy robią to, co mamusia im palcem pokaże. Sami pracują na swój rachunek. Po to Bóg dał im wolną wolę i rozum. Mój syn polubił na Facebooku profil protestu lekarzy. Zrobił to na samym początku, w naturalnym odruchu – bo przecież każdy młody człowiek chciałby zarabiać więcej. Kiedy jednak się zorientował, że na pierwszy plan w tym proteście wysuwają się politycy, wycofał się. Nie chciał z tym mieć nic wspólnego. Niestety, nie trzeba było długo czekać, by został zaatakowany. Tylko dlatego że jego matka jest dziennikarką „Wiadomości". Ci, którzy chcą mnie zaatakować, śledzą moich synów. I wypisują wyssane z palca informacje na ich temat. To się nie mieści w głowie.

Możemy dyskutować na temat stylu, narracji, „wyrównywania proporcji", ale faktem jest, że obecna TVP sprzyja obozowi Zjednoczonej Prawicy. Dlaczego więc dobra zmiana jest pani zdaniem dobra?

Zadaniem dziennikarza nie jest ocenianie dobrej zmiany czy jakiejkolwiek innej. Robię wywiady nie tylko z politykami PiS, choć zawsze najwięcej pytań jest do rządzących.

Ucieka pani od odpowiedzi.

Prawda jest taka, że przy okazji protestu lekarzy politycy Platformy i nie tylko – całej totalnej opozycji – próbują zbić polityczny kapitał. Warto więc zadać sobie pytanie, co sami zrobili dla początkujących lekarzy przez osiem lat rządów PO-PSL. Skoro tak wiele, jak twierdzą, to dlaczego rezydenci teraz protestują? Protestują, a PO chętnie te protesty wspiera. Zresztą wspierają je też publicyści przychylni totalnej opozycji, którym za poprzedniej władzy je zdarzało się twierdzić, że „rząd nie powinien ustępować lekarzom", bo „szantażują co roku". To zastanawiające. Życzę młodym lekarzom, żeby mieli jak najlepsze warunki pracy i zarabiali jak najwięcej. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo trudne i wymagające są ich studia, a później specjalizacja i praca.

Nie lubi pani być nazywana „twarzą dobrej zmiany"?

Jeśli ktoś tak o mnie mówi, to proszę bardzo…

Czy to prawda?

Nie, jestem swoją twarzą – Danuty Holeckiej.

Jednak Danuta Holecka – jak podaje część mediów – została włączona do delegacji rządu i PiS podczas koncertu jubileuszowego Jana Pietrzaka.

To jest bzdura. Z Janem Pietrzakiem i jego żoną znam się od lat. Poznaliśmy się, kiedy jeszcze nikomu nie śniły się rządy PiS. Na koncert otrzymałam od nich prywatne zaproszenie. Jak się okazało, dostałam miejsce w drugim rzędzie, za członkami rządu. W jednej z gazet zdjęcie z widowni podpisano: „Danuta Holecka wśród kolektywu PiS". Znalazłam się tam wyłącznie z powodu przyjaźni z jubilatem. Nie byłam dołączona do żadnej delegacji ani tym bardziej „kolektywu".

Niektórzy zjadliwie nazywają panią „ulubienicą Kaczyńskiego". Dostało się pani za wywiad z prezesem PiS. A szczególnie za pytanie, w którym sama wymieniła pani sukcesy PiS: „Panie prezesie, chciałam zapytać. Po pierwsze o VAT, bo uszczelnienie to jednak spory zastrzyk dla gospodarki"…

A to kłamstwo?

Zarzuty nie dotyczyły treści, ale tego, czy nie była pani zbyt łagodna dla prezesa PiS.

Rozumiem, że dla niektórych jest tylko jeden styl wywiadów: napastliwy, pouczający i przerywający w pół słowa. Ja na takie dziennikarstwo się nie godzę. Jeżeli zadaję pytania, a rozmówca nie unika odpowiedzi, to nie widzę konieczności atakowania go. Nieważne, czy rozmawiam z politykiem PiS czy jakiejkolwiek innej partii. W wywiadzie nie chodzi o robienie show, tylko o uzyskiwanie konkretnych odpowiedzi na konkretne pytania. Uszczelnienia podatku VAT to dla polskiej gospodarki bardzo ważna kwestia. Teraz staje się priorytetem Unii Europejskiej. Nie widzę powodu, dla którego to pytanie nie powinno paść.

Trudno uzyskać od pani konkretną odpowiedź na pytanie o ocenę dobrej zmiany. Może chociaż wyciągnę od pani ocenę Jarosława Kaczyńskiego?

Wielokrotnie przeprowadzałam wywiady z prezesem PiS i za każdym razem antypisowscy dziennikarze hejtowali mnie za to, że nie atakowałam go wystarczająco ostro.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13042f9ed2

Kulisy zmian w TVP

Wojciech Wybranowski

Dymisje szefa TAI, dyrektora TVP Info oraz ucieczka na urlop autorki kontrowersyjnego programu. Po rekonstrukcji w rządzie rekonstrukcja stanowisk w telewizji. Jakie są powody tych zmian?

Nieoczekiwanie dla swoich współpracowników do dymisji podał się Klaudiusz Pobudzin, dyrektor Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. Decyzja była tym bardziej zaskakująca, że część dziennikarzy przy Woronicza spekulowała, iż dzięki dobrym relacjom z Tomaszem Sakiewiczem, którymi ponoć Pobudzin miał się chwalić, zastąpi Jacka Kurskiego, gdyby doszło do odwołania obecnego prezesa TVP. Od dłuższego czasu między Kurskim a Pobudzinem istniał poważny konflikt. Nasze źródła w telewizji publicznej mówią, że dymisja szefa TAI była planowana od dawna, ale kilkukrotnie w ostatniej chwili ją wstrzymywano. – Klaudiusz miał zwyczaj chwalić się wpływami w środowisku „Gazety Polskiej" i u Sakiewicza, opowiadał, jakie to ma dobre kontakty z Macierewiczem, i tak to trwało – mówi nasz informator z TVP Info.

Oficjalnie Telewizja Polska nie komentuje dymisji Pobudzina, zamykając sprawę krótkim komunikatem przygotowanym przez Centrum Informacji TVP, w którym podaje, że pełniącym obowiązki dyrektorem TAI od teraz będzie szef „Wiadomości" Jarosław Olechowski.

Dlaczego akurat teraz doszło do zmiany w TAI? Bo spór osiągnął apogeum, gdy doszło do rozstrzygania spraw przedłużenia umów z dziennikarzami TVP, w tym z pracownikami „Wiadomości".

– Chodziło o standarowe umowy o pracę, które powinny zostać przedłużone już dawno, ze względu na ludzi istotnych z punktu widzenia interesu TVP. Pobudzin od kilku tygodni odmawiał ich podpisania, podobno uzależniał to od otrzymania dobrej finansowo oferty dla siebie – słyszymy od naszego źródła w TVP Info.

Inny z naszych informatorów twierdzi, że istotny był też aspekt polityczny – Nowogrodzka zirytowała się zaproszeniem do wtorkowego programu w TVP Info Antoniego Macierewicza, który opowiadał o własnych przypuszczeniach dotyczących kulis jego usunięcia z rządu.

– Być może dało to zielone światło, by już się z szefem TAI nie cackać – słyszymy. Według naszego informatora może za tym pójść pewne ograniczenie wpływów w telewizji publicznej ludzi związanych z Tomaszem Sakiewiczem i ze środowiskiem „Gazety Polskiej".

W ubiegłym tygodniu do dymisji podał się też dyrektor TVP Info Grzegorz Pawelczyk. „Do Rzeczy" informowało o tym jako pierwsze na naszym portalu internetowym. Do zamknięcia tego wydania jego rezygnacja nie została rozpatrzona, poproszono go, by poczekał na decyzję na urlopie.

Pawelczyk pracę w Telewizji Polskiej zaczął 10 lat temu, był wiceszefem „Teleexpressu", szefem serwisów informacyjnych w TVP Info, a także wydawcą „Wiadomości". – Był prawą ręką Pobudzina, więc idzie w pakiecie – mówią nasi informatorzy.

W środę na urlop, na własną prośbę, udała się też współpracująca z Pobudzinem i Pawelczykiem dziennikarka Ewa Bugała, autorka programu „Nie da się ukryć". Człowiek z kierownictwa TVP mówi nam, że jednak prawdopodobnie pozostanie w telewizji. – Mam wrażenie, że ta ucieczka Ewy na urlop wynikała bardziej ze strachu, z przekonania, że skoro lecą Pawelczyk i Pobudzin, z którymi jest kojarzona, to ona też straci pracę. A Kurski dobrze ją ocenia, jej program ma niezłą oglądalność – słyszymy.

Bugała od 2016 r. pracowała jako reporterka „Wiadomości", zajmowała się głównie relacjami wydarzeń politycznych. Sposób, w jaki to robiła, budził sporo kontrowersji, zwłaszcza w środowiskach opozycji. Później przeszła do „Nie da się ukryć", ale nadal współpracuje z „Wiadomościami". ©℗

Klaudiusz Pobudzin, dotychczasowy szef Telewizyjnej Agencji Informacyjnej, podał się do dymisji

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 13042f9ed2

Piotr Gociek

Trzecia droga Morawieckiego

W nowym premierze polska prawica może odnaleźć połączenie Tuska z Orbánem. Jeśli się to uda, to spełni się przepowiednia Morawieckiego: „Będziemy rządzili do 2031 r."

Podczas ceremonii zaprzysiężenia nowych ministrów premier Mateusz Morawiecki powtórzył słowa, które padły z jego ust podczas grudniowego exposé. Słowa, o których komentatorzy szybko zapomnieli, a które kiedyś będą zajmowały ważne miejsce w podręcznikach historii Polski po roku 1989. „Nie jesteśmy i nie będziemy rządem ideologicznych skrajności – daleko nam do neoliberalizmu i równie daleko nam do socjalizmu – mówił w grudniu, gdy zostawał premierem – nie chcemy być rządem dogmatycznym, doktrynalnym, ani rządem jednych skrajności: socjalizmów, ani drugich skrajności: neoliberalizmów".

Zmiana, której jesteśmy świadkami, jest dużo ważniejsza, niż mogłyby sugerować analizy koncentrujące się na kwestii: „Dlaczego Macierewicz musiał odejść i kto za tym stoi". Zadziwiające jest to, jak dużą ślepotę w tej kwestii wykazuje część prawicowych komentatorów, których tym razem w rozumieniu biegu spraw (rzadka rzecz!) wyprzedzili przeciwnicy, a stwierdzeniem najlepiej oddającym, o co chodzi, jest tytuł z „Faktu": „PiS miażdży opozycję i idzie po konstytucyjną większość".

Premier Morawiecki dobitnie powiedział to, co było sensem polityki prowadzonej przez prawicę po roku 1989: wyrzucając PRL na śmietnik historii, odchodząc od socjalizmu, nie możemy jednocześnie bezmyślnie wpadać w sidła innej skrajności, której symbolem stał się (na dobre i złe) Leszek Balcerowicz. Nie ten Balcerowicz, który przeprowadzał pilne reformy i wyciągał gospodarkę z otchłani inflacji – tych zasług nikt mu nie odbierze. Lecz ten Balcerowicz, który potem okazał się ekonomistą i politykiem ślepym na alarmujące sygnały z reformowanej gospodarki i ponure efekty uboczne prowadzonej polityki. Ta ślepota dotknęła go bardzo wcześnie, pisze o tym ciekawie prof. Witold Kieżun w książce „Patologia transformacji". Wszelkie informacje niepasujące do

eprasa.pl 13042f9ed2

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

wprowadzanego teoretycznego modelu były przez Balcerowicza i jego ekipę po prostu odrzucane. Ciekawa rzecz, dzisiejsi krytycy patologii przemian gospodarczych w Chinach (jak pisarz Yu Huan) zauważają, że reformatorzy swoim doktrynerstwem i ślepotą nie różnią się od komunistów z czasów, gdy Mao nakazywał narodowi budowę dymarek. Dzisiaj zamiast niepotrzebnych dymarek powstają niepotrzebne lotniska i puste osiedla mieszkaniowe, ale fanatyzm i żarliwość są takie same.

Tak naprawdę więc Mateusz Morawiecki proponuje Polakom „trzecią drogę". Nie na kształt tej propagowanej przez Tony'ego Blaira w Wielkiej Brytanii, bliższą może ludowemu kapitalizmowi z udziałem państwa, znanemu z Niemiec Zachodnich, polską „trzecią drogę", której wyróżnikiem jest także to, że dla Morawieckiego i innych polityków Zjednoczonej Prawicy czymś oczywistym jest szacunek dla społecznej nauki Kościoła, że jest to droga naprawiająca niegodziwości specyficznego, zwichrowanego, macherskiego kapitalizmu III RP, w którym państwo było słabe wobec silnych, a silne wobec słabych. Blairowi przez usta nie przeszłyby słowa „bogacenie się duchowe i materialne" oczywiste dla Morawieckiego.

Nowy premier mógłby właściwie użyć sformułowania „społeczna gospodarka rynkowa", gdyby nie fakt, że zostało zawłaszczone, odarte z treści i splugawione przez tych, którzy z takim właśnie hasłem na ustach patronowali procesom, w których gospodarka rynkowa była metodą na szybkie bogacenie się wybranych (często pasożytujących na publicznym majątku), a społeczeństwu pozwolono łaskawie ponosić koszty patologii. Ponieważ tak trzeba, bo innej drogi nie ma i tyle. Owa bezalternatywność była jednym z wielkich grzechów III RP. „Trzecia droga" nie powstaje teraz, tak naprawdę rząd Zjednoczonej Prawicy kroczy nią od powołania gabinetu Beaty Szydło.

Dlaczego więc zmiana, dlaczego rekonstrukcja i dlaczego właśnie teraz? Czasem nie trzeba szukać spiskowych teorii, wystarczy wsłuchać się uważnie w to, co mówi się oficjalnie i całkowicie otwarcie. A przecież Morawiecki mówił wprost: będziemy robić wszystko, „żebyśmy byli akceptowani i docenieni również przez tych, którzy na nas nie głosowali, to byłoby największym sukcesem". Można by dodać: „którzy jeszcze na nas nie głosowali" albo „którzy dotąd w ogóle nie głosowali" – dróg ku konstytucyjnej większości jest kilka. Jednak bez wątpienia to jest cel Jarosława Kaczyńskiego, który zdaje sobie sprawę, ile jeszcze trzeba zrobić, żeby dobra zmiana była czymś więcej niż tylko pauzą w dziejach III RP. Czymś ważniejszym i trwalszym, a nie tylko wypadkiem przy pracy, który za dwa lub sześć lat zostanie skorygowany przez patologiczny, skorumpowany system wracający w stare koleiny.

Rekonstrukcja rządu (restrukturyzacją okazała się jednak w stopniu niedużym) przypomina bardziej tworzenie nowego gabinetu po wygraniu kolejnych wyborów niż typową korektę kursu dokonywaną w trakcie kadencji. Wymiana premiera, zmiana szefów najważniejszych resortów, nowo zdefiniowane cele – tak mogłoby wyglądać formowanie nowego gabinetu przez Zjednoczoną Prawicę po kolejnej parlamentarnej wygranej w roku 2019. Skąd to symboliczne zakończenie jednej kadencji i początek drugiej w… środku kadencji?

Pewien etap rządów Zjednoczonej Prawicy rzeczywiście się zakończył. Zrealizowano najważniejsze obietnice: wprowadzono program „500+", zlikwidowano gimnazja, przywrócono poprzedni wiek emerytalny. Weszły w życie ustawy reformujące sądownictwo, uszczelniono system podatkowy. Wpływy do budżetu rosną, bezrobocie spada, a z hucznych niezrealizowanych zapowiedzi mamy likwidację NFZ, dekoncentrację mediów, ustawę medialną oraz podatek od sklepów wielkopowierzchniowych. Nierozwiązana została kwestia frankowiczów, tu obóz rządzący przyznał się do porażki: obiecywał więcej, niż zrobił. Teraz przyszedł czas na gospodarkę i na cele określone przez Morawieckiego tak: rodzina, praca, mieszkanie. Jedno połączone z drugim, bo „cele społeczne można realizować wtedy, kiedy kwitnie gospodarka". Powiedzmy szczerze – nie różni się to wiele od zapowiedzi z początku kadencji. Na arenie międzynarodowej „zachowanie tożsamości kulturowej Polski" i odwilż w relacjach z Brukselą. To może tłumaczyć zmianę na stanowisku szefa MSZ. Jednak co z resztą?

Józef Orzeł, socjolog i szef Klubu Ronina, który jesienią ubiegłego roku na łamach „Do Rzeczy" przekonywał, że nowym premierem powinien zostać Jarosław Kaczyński, rzekł ostatnio w TV Republika (program „Analfabet III RP") rzecz następującą: w pierwszym roku władza uczy się rządzić. W drugim robi coś dla ludzi. W trzecim się rozleniwia, w czwartym – przegrywa wybory. Orzeł w „Do Rzeczy"

eprasa.pl 13042f9ed2

przestrzegał obóz dobrej zmiany przed formowaniem się w nim coraz silniejszych i coraz ostrzej rywalizujących ze sobą grup interesu. W Kaczyńskim jako premierze widział ratunek przed nasileniem się procesu, który może rozsadzić rząd. Dzisiaj chwali prezesa PiS za to, że znalazł sposób na opanowanie sytuacji bez zasiadania w fotelu premiera. Trzymając się przypomnianej przez niego metafory – obóz PiS właśnie rozpoczął nową, przyspieszoną kadencję, by w jej trakcie rok się uczyć, rok robić coś dla ludzi. Na rozleniwienie się i degenerację zabraknie już czasu, bo przyjdzie pora na kolejną mobilizację przed kolejnymi wyborami. Wychodzi na to, że rację miał Jarosław Kaczyński, mówiąc, że w obliczu rozkładu opozycji to on musi być opozycją wobec rządu.

Tak, rekonstrukcja była zdyscyplinowaniem rozmaitych grup i przywołaniem ich do porządku. A także posunięciem wyprzedzającym. Pogrążona w niemocy programowej, wojnach wewnętrznych i ogólnej niemocy opozycja może pokrzykiwać, że odniosła triumf, bo krytykowani przez nią najmocniej ministrowie odeszli. Jednak to tylko retoryka. Tak naprawdę pięknie gra rolę w spektaklu napisanym przez Kaczyńskiego. Jak dobrze to robi (to znaczy – jak źle dla swego losu), udowodniło absurdalne zamieszanie w Sejmie wokół ustaw zmieniających prawo aborcyjne. „Szach i mat" – komentował na okładce dziennik „Polska The Times".

Nastąpiła jednocześnie nieoczekiwana zmiana miejsc. Podczas gdy kibice totalnej opozycji rwą włosy z głów i alarmują, że Kaczyński zagarnie centrum sceny politycznej, że zgromadzi większość konstytucyjną i że coraz trudniej go atakować, bo kolejnymi posunięciami schodzi z linii strzału, po prawej stronie podniósł się rwetes, jakby właśnie nastąpił kolejny rozbiór Polski. Wczytując się w niektóre komentarze, można mieć wrażenie, że oto tajni agenci Tuska, Brukseli i międzynarodowej finansjery (ach, ten podejrzany bankier Morawiecki) opanowali rząd i przed nami już tylko „Finis Poloniae!". I że ratunkiem byłoby chyba tylko wpisanie do konstytucji ustępu: „Polska jest tylko wtedy niepodległa i suwerenna, gdy ministrem obrony jest Antoni Macierewicz".

Czy nowy rząd jest mniej „PiS-owski"? Zamiast Macierewicza i Szyszko mamy Brudzińskiego, Suskiego i Sasina – czy to już nie Nowogrodzka? Są agentami Tuska? „Rząd jest mniej konserwatywny" – biadolił „Nasz Dziennik". Na jakiej podstawie? Ministrowie od edukacji i rodziny się nie zmienili, a w fotelu ministra zdrowia zasiadł człowiek, którego „Wyborcza" powitała zdaniem: „Za służbę zdrowia w Polsce będzie odpowiadał lekarz, który uważa antykoncepcję i aborcję za »pogwałcenie Dekalogu«, a in vitro za »odrzucenie Stwórcy«" albo: prof. Łukasz Szumowski to „wróg aborcji, antykoncepcji i in vitro, sygnatariusz deklaracji »życia« Wandy Półtawskiej, fundamentalistki katolickiej". Gdzie tu zmiękczenie linii, gdzie odejście od konserwatyzmu? Mariusz Błaszczak jako szef MSWiA właśnie skończył wyrzucać esbeków z policji – skąd przypuszczenie, że jako szef MON naraz stanie się miłośnikiem komunistów w armii? Jacek Czaputowicz w MSZ oznacza, że to premier Morawiecki ma być twarzą rządu w dyplomacji zamiast krytykowanego przez Kaczyńskiego za opieszałość Witolda Waszczykowskiego. Skoro jednak powszechnie krytykowany także po prawej stronie Waszczykowski nagle stał się świętym, to może i jego wpiszemy do konstytucji z Macierewiczem jako gwaranta niepodległości?

Obóz PiS właśnie rozpoczął nową przyspieszoną kadencję, by w jej trakcie rok się uczyć, rok robić coś dla ludzi. Na degenerację zabraknie czasu

Radykalizm żywi się krzywdzącymi uproszczeniami, zasłonę milczenia wypada spuścić na wyliczanie, iluż to zdrajców mieszka naraz w Pałacu Prezydenckim, bo obok złego prezydenta „Dudaczewskiego" podejrzani są i prof. Andrzej Zybertowicz, i Paweł Soloch, i w ogóle wszyscy, którzy ośmielili się stwierdzić, że może nowy rząd nie będzie gorszy od poprzedniego. Podobnie jak na zajadłe tropienie, kto z nowych ministrów (albo przynajmniej wiceministrów) otarł się kiedyś o rząd PO, doradzał jakiejkolwiek innej partii albo ma lub miał niesłuszne poglądy w sprawie Smoleńska.

Chociaż dziś to po lewej stronie sceny politycznej trwa rozpad, smuta i jednoczenie się przez podział, to i po prawej odzywają się samobójcze geny „naszyzmu" i „najsłuszniejszej słuszności". No to może wprost powiedzcie panowie, że kiedy Andrzej Duda w kampanii prezydenckiej, a Beata Szydło w kampanii parlamentarnej mówili o tym, że trzeba zasypywać podziały, a wy biliście brawo, to było wszystko tak dla picu? Bo zasypywanie podziałów i koniec wojny polsko-polskiej (może choć obniżenie temperatury sporu, czego chciałby i premier Morawiecki) nastąpić może wyłącznie przez wykluczenie wszystkich, którzy nie pasują do wzorca prawowiernego PiS-owca? Tylko – głupia sprawa – do tego wzorca nie pasuje już nawet prezes PiS Jarosław Kaczyński: wymienił Beatę Szydło na Mateusza Morawieckiego, zdymisjonował Macierewicza, zapowiedział rychły koniec smoleńskich miesięcznic, a w Sejmie to nawet głosował za wysłaniem do prac w komisji projektu „Ratujmy kobiety 2017", przygotowanego przez feministyczną lewicę pozaparlamentarną.

A przecież gra toczy się o coś ważniejszego. O to, czy Jarosław Kaczyński znalazł w osobie Mateusza Morawieckiego swojego Viktora Orbána, a może i swojego Tuska. Proszę się nie obrażać na to ostatnie porównanie. Nie ma nic złego w byciu politykiem dbającym o to, by być lubianym, o jak najlepszy wizerunek oraz akceptację nawet wśród tych, którzy na wybory nie chodzą albo głosowali inaczej. Złe jest wykorzystywanie machiny PR jako zasłony dla dryfu cywilizacyjnego i królestwa niejasnych interesów – a to robił Tusk ze swoją ekipą. Tak samo nie ma nic złego w byciu konserwatystą i nacjonalistą, a jednocześnie w posługiwaniu się obcymi językami i ćwiczeniu w trudnej sztuce dyplomatycznych targów i uników – jak czyni to Orbán. Chodzi bowiem o to – jak powiedział Morawiecki w dniu zaprzysiężenia nowych ministrów – „żeby Polska była wielka, żeby Polska była jak najsilniejsza".

Jeśli gambit Kaczyńskiego się powiedzie, zostaną położone fundamenty pod coś jeszcze: pod kolejne wyborcze zwycięstwa i wypełnienie zapowiedzi Morawieckiego: „Będziemy rządzili do 2031 r. W najgorszym razie do 2027". Jak zwracał uwagę w „Dzienniku" Piotr Zaremba, „Kaczyński, bardziej dalekowzroczny niż jego zaplecze, autoryzuje te zmiany, a ich gwarantami stają się jego najbardziej zaufani ludzie". „Czy nowy rząd będzie dbał tylko o ciepłą wodę w kranie?" – zapytałem prowokacyjnie wicepremiera Gowina w „Sygnałach dnia". „Styl się zmienia, sedno pozostaje" – odparł. Myślę, że pod tym stwierdzeniem podpisaliby się i Kaczyński, i Morawiecki, i mam nadzieję, że także Macierewicz.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13042f9ed2

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER
OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

HISTORIA SKOKÓW NARCIARSKICH W II RP

Piotr Zychowicz – **Gdzie jest ciało „Śmigłego”?**
Sławomir Koper – **Ucieczka Naczelnego Wodza**
Sławomir Cenckiewicz – **Wałęsa kontra grafolodzy**
Karl Ludvigsen – **Porsche: geniusz w służbie Hitlera**
Mariusz Olczak – **Abwehra kontra Kedyw**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Stalin był wrogiem Rosji**
Marcin Bartnicki – **Skandal pedofilski w II RP**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 13042f9ed2

Z Januszem Korwin-Mikkem, europosłem, liderem partii Wolność

rozmawia Marcin Makowski

„500+" – to trzaśnie

MARCIN MAKOWSKI: Pogłoski o pana politycznej śmierci są stanowczo przesadzone?

JANUSZ KORWIN-MIKKE: Zdecydowanie.

Jednak przecież odejście z Parlamentu Europejskiego bierze pan pod uwagę.

Rozważam to już od dwóch lat. Może warto wrócić do realnej polityki w Polsce – bo ten unioparlament to kompletna fikcja. Poza pieniędzmi, które są oczywiście prawdziwe.

I tych pieniędzy nie żal?

W kapitalizmie obowiązuje zasada: „Czas to pieniądz". W zamian mógłbym zyskać dużo czasu. Same przeloty...

A co z rzeczą tak prozaiczną jak zaufanie wyborców?

Przecież to miejsce nie zostałoby puste!

Jednak oni głosowali na Janusza Korwin-Mikkego, a nie na „miejsce".

Głosowali na ideę. Gdybym jednak wrócił, jak to planuje również Donald Tusk, to moje miejsce zająłby zdolny młody człowiek o tych samych poglądach.

„Nawet gdybym chciał – to jak?" – to o oddaniu partii Pawłowi Kukizowi z pana wpisu na Facebooku. Jednak dwuznaczne.

Skąd? Jednoznaczne. O niczym takim nikt u nas nie myśli.

Paweł Kukiz oficjalnie potwierdził, że konkretne rozmowy na szczycie obu ruchów są już na zaawansowanym poziomie.

Owszem, ale rozmowy koalicyjne, a nie zjednoczeniowe. Dalsze działania uzależniamy od wyników badania opinii publicznej, czy taka koalicja byłaby dobrze widziana przez nasze elektoraty.

I jak te sondaże w tej chwili wyglądają? Opłaca się maszerować ramię w ramię z rozpadającym się ruchem Pawła Kukiza?

Nie znam jeszcze ostatecznych i wiarygodnych wyników.

A co panu podpowiada w tym zakresie polityczna intuicja? Paweł Kukiz to jest nazwisko, które jeszcze przyciąga?

Niektórych przyciąga. Kukiz'15 ma w sondażach od dwóch do trzech razy wyższe notowania niż Wolność. Oczywiście to efekt tego, że Kukiz'15 jest w Sejmie, a o nas szczelna blokada informacyjna. Ma pan pojęcie, że np. w TVN nie pojawiłem się ani razu od trzech lat?

Boją się, że pan „zaorze lewaka"?

Po wyborach do europarlamentu poprosili mnie o wypowiedź, w której podziękowałem bossom TVN za zaciekłe atakowanie nas, bo to nam robiło dobrą reklamę. Wyciągnęli wnioski.

A TVP Kurskiego też na cenzurowanym?

Też. Ale raz na dziewięć miesięcy pokazują w TVP Info.

A nie mógłby się pan łączyć przez Skype'a z Michałem Rachoniem, tak jak Cejrowski, i mówić o upadku cywilizacji Zachodu i zgniłej Unii? W czym Cejrowski lepszy?

Nie wiem, kto to jest Michał Rachoń.

Bardzo sprytnie.

Kiedy ja nie oglądam telewizji. Dzięki temu zachowuję

eprasa.pl 13042f9ed2

FOT. SIMONA SUPINO/FORUM

jeszcze zdolność myślenia… Pan Rachoń to ktoś z telewizji. Zgadłem?

Ech… À propos myślenia – stwierdził pan niedawno, że myśli o starcie w wyborach na prezydenta Warszawy. Zdrowia nie szkoda?

Myślę o starcie, bo wtedy będą mnie musieli pokazać w telewizji. Potem wybory do PE – liczę na jakieś 20 proc., bo frekwencja będzie mała. No, i później walka najważniejsza: o parlament.

I w tej najważniejszej walce kolejna honorowa porażka i poniżej 5 proc. po jakiejś spektakularnej wpadce pod koniec kampanii?

Mam nadzieję, że tym razem nie zabraknie tych 0,24 proc. Konkurencja ze strony antysystemowego Kukiz'15, jak pan sam zauważył, nieco słabnie. Ale zaraz, o jakiej wpadce pan mówi?

A bo to mało na koncie? Od paraolimpiad do napojów energetycznych KORWIN, które uznano za formę agitacji politycznej podczas ciszy wyborczej.

Nie rozumiem? Wśród komentatorów 80 proc. popierało moje stanowisko w sprawie paraolimpiad (co zresztą było na długo przed wyborami). Nie wiem, w czym miały zaszkodzić napoje KORWIN? A w ogóle mówiłem wtedy raczej układnie – podejrzewam, że właśnie dlatego zabrakło tego ułamka procenta.

Gdyby Popek Monster jednak wszedł do partii, tych 0,24 proc. by na pewno nie zabrakło.

Bo ja wiem…

Może to jest jakiś pomysł na Wolność? Trochę celebrytów, zawodnicy KSW, młode gwiazdy YouTube?

Jestem od ideologii, nie od PR.

To teraz o twardej polityce. Wierzy pan w przyspieszone wybory? Opozycja rozbita, PiS po rekonstrukcji z czystym przedpolem.

Jarosław Kaczyński raz się na tym wariancie naciął. Dla nas to byłaby zła wiadomość, chcemy startować do parlamentu po sukcesie w wyborach unijnych. Jednak na miejscu prezesa PiS bym to zrobił – dopóki fatalne skutki „500+" i innych komunistycznych wyczynów nie wyjdą na wierzch.

Donald Tusk zapowiedział w „Tygodniku Powszechnym", że „500+" powinno być na zawsze. Nawet opozycja nie ma już problemu z projektami socjalnymi PiS. Został tylko pan.

Bo tylko Wolność jest opozycją. Jak słusznie zauważył Konrad Berkowicz: „To są wybory na naczelnika więzienia". A my chcemy zlikwidować więzienie. Jesteśmy opozycją antysystemową, antysocjalistyczną. Socjal trzeba zlikwidować, i tyle. Niestety, przy Okrągłym Stole postanowiono: „Raz rządzimy my – raz wy, niech Polakom się wydaje, że mają wybór – a prawica nigdy nie będzie dopuszczona do władzy". Tworzy się więc pseudoliberalną PO, pseudopatriotyczny PiS, by zająć miejsce konserwatywnych liberałów.

Statystyki i PKB mówią co innego. Chce pan odebrać socjal. Jednak co daje pan w zamian?

Bogactwo! Rozwój! PKB za Stalina też rosło, i to znacznie szybciej. Celem jest dobro narodu, a nie likwidacja ubóstwa! Res sacra miser – może pan to przeczytać na kościele przy Krakowskim Przedmieściu. Kto likwiduje ubóstwo, likwiduje motor rozwoju? To z ubogich ludzi wybijają się najcenniejsze jednostki. A unioposłowie PiS już skamlą w Brukseli, prosząc o dopłaty na wsparcie „500+". To trzaśnie przy pierwszym zachwianiu koniunktury na Zachodzie. Lub Wschodzie...

Wracając do opozycji… Co się z nią ostatnio stało? Schetyna i Lubnauer stracili kontrolę nad własnymi ugrupowaniami?

Stracili busolę. Nie potrafią przebić PiS postulatami socjalnymi. Natomiast przez pomyłkę rozwalili plan Kaczyńskiego...

Jaki plan?

Taki sam jak w 2008 r. Jarosław Kaczyński polecił części posłów głosować przeciwko traktatowi lizbońskiemu, wiedząc, że i tak traktat przejdzie, by potem móc kłamać, iż PiS zawsze powątpiewał w UE. Teraz chciał, by do drugiego czytania przeszły obydwa projekty aborcyjne, więc starannie wyliczył, ilu posłów PiS powinno zagłosować za przejściem do drugiego czytania, a tu klops!

W takim razie przecenił swoich rywali. Okiwali się sami.

Nie do końca. To Kaczyński się okiwał, bo teraz PiS znajdzie się między młotem a kowadłem: naciskami

eprasa.pl 13042f9ed2

feministek i Kościołów. Gdyby oba projekty przeszły do drugiego czytania, PiS miałby pole do kompromisów.

Jak pana ugrupowanie głosowałoby w kwestii aborcji? Który projekt by poparło? A może żadnego?

Żadnego, jak sądzę. Każde odejście od obecnego układu spowodowałoby natychmiast reakcję w drugą stronę. Jednak różni członkowie Wolności mają różne koncepcje walki z aborcją.

Czyli brak dyscypliny partyjnej w sprawach sumienia?

Raczej mamy różne koncepcje co do skuteczności różnych metod. Na przykład można rozważać, czy nie wymagać od ojca dziecka zgody na piśmie na jego zabicie? Pomysłów jest dużo.

Wróćmy do konkretów. Jest pan zauroczony nowym premierem? Patriotyczny ekonomista powinien się panu podobać.

Taki Macron. Człowiek znikąd, bez właściwości, wspierany przez innych technokratów. Samo to jest słabe – natomiast w tym przypadku premier działa z ramienia PiS, gdzie wzorem jest sanacyjna Polska, a Eugeniusz Kwiatkowski, który kompletnie zrujnował polską gospodarkę, jest wzorem do naśladowania...

Na razie Mateusz Morawiecki raczej pomaga polskiej gospodarce. Chyba że znowu wskaźniki PKB kłamią, a wyborcy nie widzą prawdy, zaślepieni socjalem.

Sanacja też trafiła na okres dobrej koniunktury na Zachodzie. Zresztą Morawiecki jest premierem dopiero miesiąc – fatalne skutki wyjdą za rok lub później.

Dlaczego pana zdaniem podziękowano lubianej Beacie Szydło?

Nie mam pojęcia, co robiła premier Beata Szydło w swoim rządzie. Może dlatego? Natomiast teraz szydło weszło do worka i PiS musi pokazać, że (zgodnie z umową Okrągłego Stołu) nie jest przeciwko Unii. Zacznie się podlizywać Żydom. Nie wiem, jak zniesie to elektorat PiS.

„Zacznie się podlizywać Żydom"? Co pan przez to rozumie? Dobre stosunki z Izraelem to podlizywanie się?

Z Izraelem? Kto mówi o Izraelu? Mówię o tych, którzy trzęsą bankami.

PiS idzie ramię w ramię z żydowskimi bankierami? Wie pan, czym to pachnie?

Nie „ramię w ramię", tylko „podlizuje się", bo niedługo z powodu m.in. „500+" zabraknie pieniędzy.

I pan uważa, że Żyd bankier to jakaś archetypiczna figura, która trzyma w rękach bogactwa tego świata?

Bez przesady. Mamy w USA bardzo silne lobby żydowskie – widać to po ostatnich poczynaniach Kongresu. Chcę jasno powiedzieć: nie mam nic przeciwko bankierom jako takim. Nie mam również nic przeciwko Żydom. Jednak to tak samo jak z żydokomuną – to najgroźniejszy odłam komuny, bo Żydzi to bardzo inteligentny narodek.

Pozwoli pan, że nie będę rozwijał tego wątku. Był pan zaskoczony skalą rekonstrukcji?

Nie. Sądziłem nawet, że pójdzie dalej. Natomiast usunięcie prof. Szyszki mnie zaskoczyło. To już „ekologom" też trzeba ustępować?

No i usunięcie Macierewicza.

To akurat zrozumiałe. Bez jego dymisji zmiana nie byłaby żadną zmianą.

Zupełnie otwarcie mówi się, że na tę decyzję naciskał przede wszystkim prezydent.

Nie będę komentował plotek ani rozgrywek wewnątrz PiS. Jak mówiłem, jestem ideologiem – to Jarosław Kaczyński jest taktykiem. Genialnym.

Piękna laurka.

Nie. To wytknięcie, że nie jest żadnym strategiem. Wygra pewno jeszcze 20 bitew...

A potem przegra wojnę z Wolnością Janusza Korwin-Mikkego?

Przegra z rzeczywistością. Każdy socjalizm musi przegrać z wolnością gospodarczą.

Jeśli dymisja prof. Szyszki była kapitulacją wobec „ekologów", to czym była dymisja ministrów Waszczykowskiego i Radziwiłła?

Usunięciem kompletnie nieudolnych urzędników. Z tym że Konstanty Radziwiłł był bez szans. Służby zdrowia naprawić się nie da. Jak to był powiedział prof. Wawrzyniec Reed: „Zauważyliście, że etatyści stale »reformują« swoje własne dzieła? Reforma edukacji. Reforma opieki zdrowotnej. Reforma pomocy społecznej. Reforma podatkowa. Sam fakt, że są ONI zawsze zajęci »reformowaniem«, jest pośrednim przyznaniem się, iż nie udało IM się zrobić tego dobrze w pierwszych 50 próbach".

Jaka przyszłość czeka Antoniego Macierewicza?

To jest ciekawy człowiek. Ma temperament lewicowca, nabrał dużych umiejętności – może stać się groźny dla Jarosława Kaczyńskiego.

Odważy się na secesję? To jest w ogóle możliwe?

O szczegóły proszę pytać Antoniego Macierewicza. Ja tej myśli nie będę rozwijać.

Niedługo ostatnia miesięcznica smoleńska. Ponoć wtedy mamy usłyszeć ostateczną prawdę. Jaka ona pana zdaniem będzie?

Mętna.

Nic konkretnego o wybuchach i zamachu?

Przecież to absurd. Jednak gdyby Sejm III RP oficjalnie ogłosił, że był to rosyjski zamach, to wtedy trzeba by wypowiedzieć Rosji wojnę, a przynajmniej zerwać wszelkie stosunki.

Czyli spodziewa się pan, że rzeczy nie zostaną nazwane po imieniu?

Nie śmieją się z nas na Zachodzie tylko dlatego, że szanują tragedię narodową. Jednak przecież wszyscy wiedzą, że pilot, choć słyszał w automacie: „Ziemia przed tobą. W GÓRĘ! W GÓRĘ! W GÓRĘ!", zniżał się nadal.

Co ustali komisja, dowiemy się za trzy miesiące, a teraz odleglejsza polityczna przyszłość. Czy Donald Tusk wróci na wybory prezydenckie? A może wcześniej wyrwie partię z rąk Grzegorza Schetyny?

Nie musi. Może wystartować jako kandydat ponadpartyjny.

Jak pan czuje z perspektywy Brukseli – zanosi się na „powrót króla"?

Brukseli to nie interesuje. Kuluary zajęte są roztrząsaniem, czy wybory do europarlamentu będą ostatnie.

To może Tusk, myśląc o polskiej polityce, ratuje się z tonącego statku?

Przechodzi na pewniejszy pokład.

Niedawno Ryszard Czarnecki określił zachowanie Róży Thun,

Gdyby Sejm III RP ogłosił, że w Smoleńsku to był rosyjski zamach, wtedy trzeba by wypowiedzieć Rosji wojnę

eprasa.pl 13042f9ed2

przedstawiającej Polskę w krytycznym świetle w niemieckiej telewizji, jako podobne do zachowania szmalcownika. To jest język przyszłych debat politycznych? Pytam pana jako eksperta od mocnych metafor.

Moim zdaniem przesadził. Jednak żyjemy w d…kracji, a tam stosuje się gorsze wypowiedzi. Nikt by na to nie zwrócił uwagi, gdyby nie wiązało się to z Żydami. Na to jest tam ogromne uczulenie. Gdyby powiedział, że zachowuje się jak Czyngis-chan albo Elżbieta Batory, nie byłoby problemu.

Co pan myślał, widząc europosłów PO głosujących wbrew dyscyplinie partyjnej za sankcjami przeciw Polsce?

Głosowałem przeciwko dla zasady, bo nie będzie mi tu jakiś eurosocjalista wsadzał czerwonych łap do Polski. Jednak Chiny rozwijają się znakomicie dlatego, że nie dostają od nikogo żadnych pieniędzy. Polska miałaby się znacznie lepiej, gdyby w 1989 r. poszła drogą chińską.

Gdzie Rzym, gdzie Krym.

Na Marsie byłoby to samo. Prawa ekonomii są jednakowe w całym Kosmosie. „Droga chińska" to recepta Kisielewskiego: „Wziąć za pysk i wprowadzić liberalizm". Świętej pamięci Mieczysław Wilczek dobrze zaczął.

Myśli pan, że wizyty Morawieckiego w Brukseli i długie kolacje z Junckerem przyniosą jakiś przełom?

Obawiam się, że tak.

Faktycznie, przerażająca przyszłość.

Owszem, to jakby Gomułka porozumiał się ze Stalinem.

Czyli PiS pana zdaniem nie fantazjuje o polexicie?

PiS jest partią prounijną, tak samo jak Gomułka był prosocjalistyczny, tylko miał odcień swojski, regionalny. PiS tylko udaje, że jest przeciwko Unii, bo dostał zadanie, by odebrać nam elektorat. Jarosław Kaczyński trzykrotnie domagał się utworzenia silnej armii europejskiej, Polska podpisała ostatnio PESCO. Te gadania o polexicie to mydlenie oczu wyborcom.

Nie ogląda pan telewizji, ale zapewne słyszał pan o „Koronie królów" albo „Sylwestrze marzeń" w TVP2. Może właśnie to jest recepta na oczarowanie polskiej duszy? A pan tylko o podatkach, Hitlerze i kobietach.

O Hitlerze mówię znacznie mniej niż np. o Stalinie. Seriale mnie nie interesują. Być może ludzie w większości chcą być dobrze odżywionymi niewolnikami. Jednak to, że większość tego chce, nie znaczy, by reszta musiała to znosić. Problem w tym, że z Polski wyjechało ponad 3 mln ludzi, a połowa to nasi wyborcy. Chcieli mieć więcej wolności. Druga połowa, faktycznie: wyższy socjal.

Pan w ogóle kiedyś przyzna się przed sobą, że jednak warto przejść na emeryturę?

Na premiera Malezji startuje Mahathir bin Mohamad, który zrobił z niej „Tygrysa Azji". Ma 92 lata. I chyba wygra!

Czyli Korwin-Mikke w polityce aktywny aż do setki?

Wykazuje pan brak wiary w postępy medycyny.

W sumie więcej w panu wigoru niż w Schetynie i Petru razem wziętych.

I dzieci mam więcej...

A „500+" pan bierze?

Biorę. I wpłacam na Fundację Indywidualnego Kształcenia (dla dzieci-inwalidów chcących zostać arcymistrzami szachów czy brydża).

Czyli faktycznie – człowiek idei.

Żałuję, że tylko na jedno dziecko, niestety. Jednak wszystko przede mną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Wydawnictwo Albatros Książki dostępne w KSIĘGARNIE Świat Książki

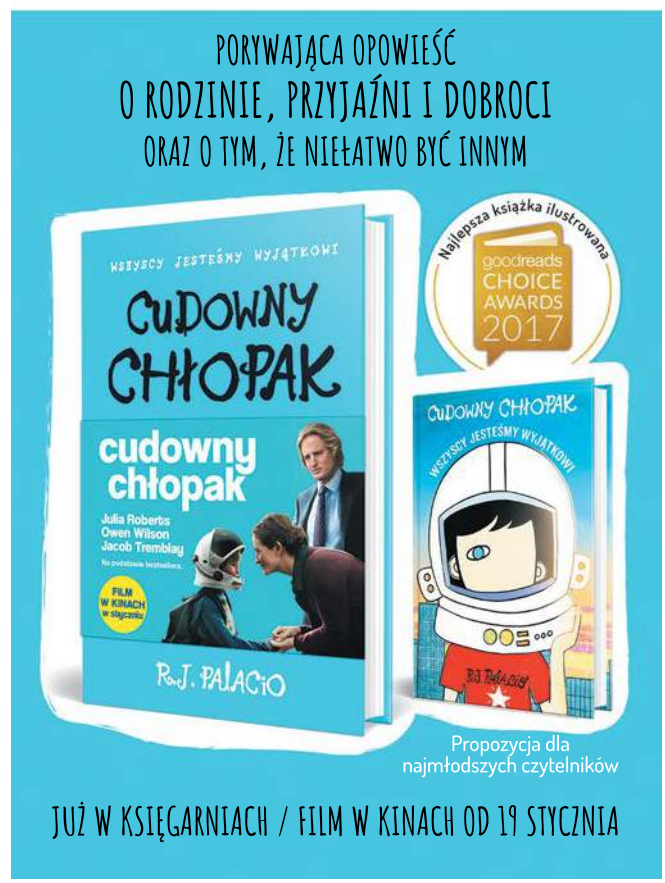

eprasa.pl 13042f9ed2

Nieudany blef Brukseli

Rafał A. Ziemkiewicz

Na co liczyła Komisja Europejska, uruchamiając procedurę art. 7 unijnego traktatu?

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Komisja Europejska podjęła z Polską odwieczną grę w „dobrego i złego gliniarza". Zły, Timmermans, atakuje nas przy każdej okazji, oskarża i straszy. Dobry, Juncker, bierze w obronę, zauważa, co zrobiliśmy dla Ukraińców, i opowiada się przeciwko nakładaniu na nas sankcji. Nawet nie warto wyjaśniać, że to nic szczerego, po prostu nowy sposób na załatwienie spraw z Polską po myśli eurokratów. Jednak to, że odstąpili oni od ataku frontalnego i rozpoczęli taką grę, jest dla Polski szansą i trzeba tę grę podjąć.

Szansą – na co właściwie? O co się ta gra toczy? Interpretacji jest tyle, ilu komentatorów starających się ją objaśnić, ale prawidłowa odpowiedź brzmi: na wyjście przez obie strony z twarzą.

Główną przyczyną ataku na Polskę, zakończonego uruchomieniem art. 7, były bowiem nie kwestie merytoryczne, ale poszukiwanie przez Komisję Europejską sposobu poszerzenia swych kompetencji. Popychały ją do tego zrozumiałe ambicje przewodniczącego i komisarzy – chcą po prostu coś w unijnej konstrukcji znaczyć, być czymś w rodzaju europejskiego rządu federalnego, podczas gdy traktaty wyznaczają im jedynie skromne uprawnienia sekretariatu wykonawczego, koordynującego wspólne polityki. Nie jest to jednak tylko kwestia nadymania się. W tej szczególnej elicie urzędniczej, którą wytworzyła Unia, istnieje świadomość i poczucie zagrożenia całego projektu. A bez wspólnej Europy nie będzie też eurokracji. Unijne elity szukają ratunku dla swego habitatu i dostrzegły go we wzmocnieniu centrali, w poszerzeniu kontroli Brukseli nad rządami narodowymi. Nie udało się tego zrobić traktatowo – chcą więc realizować ten sam plan metodą faktów dokonanych, małych kroków.

TO TYLKO PRETEKST

Gdyby Polska ugięła się pod unijnym dyktatem, został by stworzony precedens dla coraz bardziej rozszerzonego interpretowania zapisów o „kontroli praworządności". Być może z czasem udałoby się nawet Komisji zastosować je do rozwiązywania rzeczywistych problemów Wspólnoty i dyscyplinowania także państw „starej Unii". Aby tak się jednak stało, udać się musiała pierwsza interwencja, na której przedmiot wybrano właśnie nas.

eprasa.pl 13042f9ed2

Czy dlatego że istotnie w Polsce została zagrożona „praworządność", w każdym razie na tyle, żeby Komisja uzyskała mocne argumenty do interwencji? Nie żartujmy. Działania Timmermansa, który ochoczo wziął na siebie rolę lidera antypolskiej kampanii, oparte są raczej na ogólnie złej prasie Polski rządzonej przez PiS niż na konkretach. Tych ostatnich niewiele ma Komisja w ręku. Sprawa Trybunału Konstytucyjnego nie jest jasna, przypomnijmy, że Komisja Wenecka uznała tak naprawdę, iż wobec kolejnych działań, będących skutkiem bezprawnego wyboru „nadmiarowych" sędziów TK przez koalicję PO-PSL, Polska znalazła się poza obszarem uregulowanym przez ustawodawcę, i zaleciła zmianę konstytucji; jedynym stanowczym stwierdzeniem w jej raporcie było żądanie bezwzględnego opublikowania przez rząd wyroku, który po kolejnych „ustawach naprawczych" dawno już stał się bezprzedmiotowy. W zakwestionowanej reformie sądownictwa potrafiła zaś Komisja wskazać tylko jedno konkretne złamanie „norm unijnych", akurat nader dyskusyjne – zróżnicowanie wieku emerytalnego mężczyzn i kobiet. Poza tym zarzut naruszenia praworządności opiera się na rzekomym odejściu do zawartej w polskiej – polskiej! – konstytucji zasady trójpodziału władzy. Mniejsza już, że zarzut wynika z dość karkołomnej interpretacji, jakoby zasada ta oznaczała, iż władze sędziowskie wybierać mogą tylko sędziowie, a nie organa państwowe. Istotne jest, że ponieważ na Zachodzie, jak wiadomo, tamtejsze odpowiedniki KRS i SN z reguły wybierane są przez polityków podlegających wyborczej weryfikacji, a często wręcz z polityków się składają, Komisja de facto musi tu występować, wbrew własnym deklaracjom, jako strażnik właśnie nie jakiejś „europejskiej normy", ale lokalnej osobliwości.

GRA W CIEMNO?

Jednak Frans Timmermans i pozostali komisarze postanowili rozpocząć grę z tak słabymi kartami w ręku, ponieważ uwierzyli w skuteczność blefu. Uwierzyli zaś dlatego, że zostali zapewnieni przez środowiska i osoby, które uważali za wiarygodnych reprezentantów Polski, że presja Europy, byle mocna, wstrząśnie podstawami „skrajnie prawicowej i katolickiej" władzy w Polsce i doprowadzi do szybkiej zmiany rządu. Zanim uruchomiony art. 7 doczeka się weryfikacji, zanim przyjdzie do wyznaczenia rzeczywistych uprawnień Komisji przez strasburski trybunał i zanim okaże się, iż komisarze niekoniecznie mogą liczyć na wsparcie przeciwko Polsce nawet państw, z których pochodzą, dynamika uruchomiona samym rozpoczęciem procedury sprawi, że w Warszawie wróci do wpływów poprzednia ekipa i podpisze ugodę, która znacząco umocni rolę Komisji wśród unijnych organów, a zarazem przybliży postulowane w kręgach eurokracji wyodrębnienie „ścisłego jądra" Unii.

ZNACZONE KARTY

Nie ma powodu nie wierzyć relacji Jacka Saryusza-Wolskiego, że gdy próbował wykazać Timmermansowi bezzasadność jego postępowania, ten uciął, że sytuację w Polsce zna od samego Lecha Wałęsy. Nikt zresztą nie próbował tego dementować. Podobnie oczywistym faktem jest udział działaczy PO w przygotowywaniu antypolskiej kampanii, czego dowodem są choćby ślady pozostawione nieostrożnie w komputerowej wersji projektu przez Rafała Trzaskowskiego.

Plan kompletnie nie wypalił. Wizja, że „opozycja totalna" dźwignią „zagranicy" uruchomi emocje, które spowodują masowe demonstracje na polskich ulicach, te z kolei doprowadzą do załamania porządku publicznego i przedterminowych wyborów, a te wybory wygra ona, strasząc polexitem i Putinem, była od samego początku rojeniem idiotów, żyjących w medialnym matriksie i pozbawionych elementarnego rozeznania nastrojów społecznych.

NOWE OTWARCIE

Ta prawda dotarła w końcu i do Brukseli. Możliwe, że eurokraci nie wierzą, iż ich polscy przyjaciele naprawdę do tego stopnia rozminęli się z rzeczywistością i czują się teraz cynicznie podpuszczeni przez Tuska, który ich rękami próbował – ze szkodą dla ich unijnych spraw – rozegrać jakieś swoje interesy polityczne w kraju. Na to wskazywałyby złośliwości pod adresem przewodniczącego Rady Europejskiej, pojawiające się zarówno w wywiadach Junckera, jak i krytyka pod jego adresem, na którą pozwolił sobie szef rządu Bułgarii obejmującej prezydencję w Unii.

Skoro zaś w Warszawie nie ma szansy na przedterminowe wybory i zmianę władzy, ba – cała akcja Komisji jeszcze zwiększyła poparcie dla PiS tak, że chyba już tylko cud może mu odebrać drugą kadencję, to upieranie się przy art. 7 może mieć dla Komisji skutek odwrotny od zamierzonego. Pół biedy, jeśli sankcje zostaną zablokowane zapowiedzianym już wetem Węgier. Jeśli jednak Komisja nie znajdzie 22 sojuszników niezbędnych, by wniosek w ogóle wszedł pod obrady Rady Europejskiej, to sny o stopniowym przekształceniu się w rząd Zjednoczonej Europy rozwieją się na dobre.

Komisja nie może nas pozbawić prawa głosu w Radzie Europejskiej, ale, skoro już wojnę rozpoczęła – zawsze może przysporzyć nam kłopotów. Ponad wszystko potrzebuje teraz jakiegoś pozoru, że jej akcja nie spaliła na panewce, że to jednak Polska ustąpiła i zasłużyła na zawieszenie po raz pierwszy w dziejach UE uruchomionej procedury. Jeszcze kilka miesięcy temu wydawało się, że Polska na stworzenie takich pozorów nie pójdzie, bo także dla PiS twarde postawienie się Brukseli i okazanie własnemu społeczeństwu determinacji w obronie Polski było sprawą kluczową.

Mateusz Morawiecki może jednak pozwolić sobie na nowe otwarcie i na elastyczność – triumf nad „totalną opozycją" jest w tej chwili już tak spektakularny, że ewentualna krytyka „wyprzedaży polskich interesów" spłynie po nim bez szkody. Poprawienie wizerunku Polski w Europie i przede wszystkim wyjście z politycznego narożnika, które może wnieść do puli Komisja, oznaczałoby zaś wymierne zyski. A dzięki dobrej sytuacji gospodarczej kraju, planom zakupu broni i różnych inwestycji także i polski premier ma w tej grze atuty – jeśli Komisja jest w stanie nam zaszkodzić, to i my możemy co najmniej umniejszyć zyski Zachodowi.

Otwiera to pole do gry, w której rozdzielenie ról „dobrego" i „złego" policjanta jest tylko zewnętrznym, łatwym do zauważenia przejawem. Trudno przewidzieć, jak będzie ona przez obie strony prowadzona, ale jedno widać – że kompromis może przynieść obu stronom więcej zysków niż stawianie spraw na ostrzu noża.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13042f9ed2

Platforma tonie

Wojciech Wybranowski

PO dała się zepchnąć do lewego narożnika. Efekt? Konflikt z dotychczasowymi skrajnie lewicowymi partnerami, strata parlamentarzystów, wewnętrzny chaos i wzajemne niesnaski

Ubiegły tydzień. Pod warszawską siedzibą Platformy Obywatelskiej gromadzą się feministki z czarnego protestu i radykalnie lewicowi aktywiści, działaczki komitetu „Ratujmy Kobiety 2017", opowiadającego się za liberalizacją ustawy aborcyjnej. Słychać okrzyki: „Miarka się przebrała!", w tłumie protestujących hasła o zdradzie i zawiedzionym zaufaniu. Spod Wiejskiej demonstranci przenoszą się pod siedzibę Nowoczesnej, dopiero później idą pod biuro PiS. Jeszcze kilka tygodni wcześniej politycy PO i Nowoczesnej wspólnie krytykowali rząd i obóz Zjednoczonej Prawicy. Teraz „wrogiem" opozycji pozaparlamentarnej staje się także opozycja parlamentarna.

– Platforma jest pod silnym ostrzałem lewicy, zwłaszcza lewicy obyczajowej, która jest zainteresowana tym, żeby Platformę podzielić, i próbuje ją okroić z lewego skrzydła. Tymczasem ugrupowanie Schetyny jest narażone na wewnętrzne napięcia i konflikty, podejmuje działania, które nie są adekwatne do sytuacji – mówi „Do Rzeczy" dr Jarosław Flis, politolog.

PARTIA BEZ TWARZY

Rzeczywiście w Platformie Obywatelskiej znów panuje chaos, uaktywniły się dawne napięcia i wewnętrzne konflikty, które Grzegorz Schetyna i jego współpracownicy próbowali wyciszać przed nachodzącymi wyborami samorządowymi. Wszystko to efekt niedawnego głosowania w Sejmie, podczas którego troje posłów PO: Marek Biernacki, Joanna Fabisiak oraz Jacek Tomczak głosowało przeciwko skierowaniu do dalszych prac w komisjach sejmowych proaborcyjnego projektu obywatelskiego komitetu „Ratujmy Kobiety", a 29 posłów tego ugrupowania nie wzięło w ogóle udziału w głosowaniach. I choć – o dziwo – „za" głosowało wielu posłów PiS, to przez absencję parlamentarzystów PO głosów zabrakło i projekt nie trafił do dalszych prac.

Zarząd PO wyrzucił z partii Tomczaka, Fabisiak i Biernackiego oraz ukarał niegłosujących. Zarzucił im, że złamali partyjną dyscyplinę. – Mam wrażenie, że nasi przywódcy podejmują bardzo nerwowe, nieodpowiedzialne ruchy, wykorzystując byle pretekst do czystki wewnątrz ugrupowania. Było oczywiste, że ta trójka posłów za proaborcyjnym projektem nie zagłosuje, każdy wiedział, jak zachowywali się przy wcześniejszych, podobnych głosowaniach – mówi „Do Rzeczy" jedna z posłanek Platformy. Zaznacza, że ona sama za projektem głosowała, ale sankcje, jakie spadły na jej partyjnych kolegów, ocenia jako „przesadne". – Grzegorz ratuje twarz. To on odpowiada za to, że nie dopilnował obecności na sali, odpowiedniego głosowania, doprowadzając do sytuacji, w której odium za odrzucenie projektu spadło na nas, mimo że przecież miał świadomość, iż PiS i tak go zablokuje w komisjach – zauważa.

To nie jest odosobniony głos. Inny z posłów Platformy w rozmowie z „Do Rzeczy" mówi, że ruchy kierownictwa partii sprawiają, iż jego ugrupowanie „traci tożsamość", nie ma własnego wizerunku i niebezpiecznie skręca w stronę lewicy.

– Byliśmy, jesteśmy i powinniśmy zostać partią centrum – uważa nasz rozmówca. – Nasz elektorat, średnia klasa społeczna jest liberalny gospodarczo, ale nie życzy sobie manipulowania przy sprawach światopoglądowych. Teraz wpakowaliśmy się w sytuację, w której z jednej strony obrywamy od lewicy, z drugiej dla elektoratu skręciliśmy w lewo, ze stratą dla naszej atrakcyjności wyborczej.

eprasa.pl 13042f9ed2

FOT. RAJDEK/PIETRUSZKA/PAP

Jeszcze w sierpniu 2016 r. Grzegorz Schetyna w obszernym wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Do Rzeczy" mówił o nowej wizji Platformy, centrowo-konserwatywnym ugrupowaniu, którym miała stawać się jego formacja. – Jestem zwolennikiem utrzymania przez PO konserwatywnej kotwicy. Chcę powrotu do źródeł Platformy, czyli jej liberalno-konserwatywnego charakteru. Chcę też, by była w swoim przekazie chadecka – deklarował w naszym tygodniku i tłumaczył, że nie ma co odwoływać się do lewicowego elektoratu, bo po prostu takiego, który jego ugrupowanie mogłoby zagospodarować, w Polsce nie ma. – Lewicowy elektorat socjalny, w związku z „500+", zameldował się w PiS, a reszta to raczej partia Razem, środowiska LGBT – oceniał szef Platformy.

W LEWO ZWROT

Z chadeckości PO niewiele wyszło. Posłanki i posłowie – m.in. była premier Ewa Kopacz, Michał Szczerba oraz Małgorzata Kidawa-Błońska i Kinga Gajewska – aktywnie uczestniczyli w organizowanych przez radykalnie feministyczne i lewicowe środowiska akcjach, m.in. czarnym proteście, czyli demonstracji osób opowiadających się przeciwko projektowi zaostrzenia przepisów w ustawie pozwalającej na zabijanie dzieci poczętych. Później miało być kolejne nowe otwarcie. Zamiast „totalnej opozycji", jak złośliwie politycy PiS nazywali opozycję, miała być „totalna propozycja". Platforma miała pokazywać merytoryczną, daleką od światopoglądowych i ideologicznych sporów twarz ugrupowania mającego w zanadrzu merytoryczne projekty gospodarcze i społeczne. Ta wersja PO też nie trwała zbyt długo.

– Jestem daleki od idei lansowanych przez PiS. Ale co ja mam powiedzieć moim wyborcom, gdy pytają: „Za czym pan właściwie jest?". To, co się dzieje od czasu, gdy z partii odszedł Donald Tusk, to jest kompletny brak wizji ugrupowania. Brak spójnej myśli. I wycinanie tych, którzy wskazywali, że idziemy złą drogą – mówi nam jeden z senatorów PO.

Przypomina o wyrzuceniu z partii za krytykowanie działań władz ugrupowania Michała Kamińskiego, Jacka Protasiewicza i Stanisława Huskowskiego, którzy wraz ze Stefanem Niesiołowskim założyli własne koło parlamentarne Europejscy Demokraci. – I nie było żadnej refleksji, że tracimy ludzi, którzy stanowili dla nas wartość dodaną – zauważa nasz rozmówca.

W grudniu z PO odeszło dwóch senatorów – Andrzej Misiołek i Leszek Piechota. Powodem było m.in. głosowanie sześciu eurodeputowanych PO za przyjęciem przez Parlament Europejski rezolucji, która pozwoliła na uruchomienie procedury mogącej skończyć się nałożeniem sankcji na Polskę. „Jako Polacy, senatorowie RP, kierując się słowami złożonego ślubowania, nie godzimy się z taką linią działania władz Klubu Parlamentarnego PO, jak i władz Platformy Obywatelskiej" – napisali w wydanym wówczas oświadczeniu. Obaj dołączyli potem do PiS.

– Platforma bardzo się pogubiła, znalazła się na wirażu, z którym sobie nie radzi i którego nie rozumieją członkowie i sympatycy tego ugrupowania – ocenia prof. Maciej Drzonek, politolog. – Wykonuje niezborne ruchy, a to chadecja, a to totalna propozycja, a to skręt w lewo. To może zaakceptować jedynie najtwardszy elektorat i z pewnością nie pomoże w pozyskiwaniu nowych grup wyborców.

Zdaniem eksperta ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego, powołując na fotel premiera Mateusza Morawieckiego, a na stanowiska ministra w kilku resortach osoby kojarzone do tej pory raczej z centrowymi poglądami, zepchnęło PO w stronę lewej flanki. – Z jednej strony chodzi o to, by SLD nie wszedł do parlamentu, z drugiej – by szanse wyborcze PO maksymalnie ograniczyć do lewicowego elektoratu, który wcale nie jest duży – zauważa prof. Drzonek.

Skręt w lewo najprawdopodobniej będzie miał też swoje odzwierciedlenie w spójności PO. Koledzy wyrzuconych posłów na razie otwarcie nie występują w ich obronie, ale w nieoficjalnych rozmowach nie ukrywają, że pozycji Schetyny w ugrupowaniu to nie wzmocniło. Niektórzy nie ukrywają też, że szykany wobec „frakcji konserwatywnej" uważają za błąd.

– Platformy nie stać na to, aby żegnać się z konserwatystami. Konserwatyści zawsze w Platformie odgrywali ważną rolę, stabilizowali partię, dobrze dla niej pracowali. Nie widzę powodu, żeby w tej sytuacji konsekwencje miały mieć miejsce – mówił poseł PO Ireneusz Raś w rozmowie z Radiem RMF.

PRZEGRYWAJĄ Z PROKURATURĄ

Sytuację wewnętrzną w Platformie komplikują też działania wymiaru sprawiedliwości. Pod koniec grudnia prokuratura wystąpiła o uchylenie immunitetu senatorowi tej partii Maciejowi Grubskiemu, któremu chce postawić zarzuty wpływania na przetarg dla wojska i nieprawidłowości w trzech oświadczeniach majątkowych. Śledczy chcą też uchylenia immunitetu posłowi PO Stanisławowi Gawłowskiemu, sekretarzowi generalnemu PO, w związku z podejrzeniem przyjęcia przez niego 200 tys. łapówki oraz plagiatu pracy doktorskiej. Gawłowski, choć jeszcze latem przekonywał, że jeśli do takiej sytuacji dojdzie, sam zrzeknie się immunitetu, na razie tego nie zrobił. Niektórym posłom PO nie podoba się zaś, że mimo wejścia prokuratury do domu Gawłowskiego i mocnych zarzutów, które stawia prokuratura we wniosku o uchylenie immunitetu i zgodę na jego aresztowanie, władze PO nie zdecydowały się na zawieszenie go w prawach członka partii i usunięcie z funkcji sekretarza generalnego Platformy.

– Nie będzie polityczna prokuratura Zbigniewa Ziobry ustalała, kto w Platformie pełni jaką funkcję. To byłby absurd – stwierdził poseł PO Sławomir Neumann, podczas konferencji prasowej.

Na początku stycznia była posłanka PO Ligia Krajewska, wieloletnia działaczka tej partii, usłyszała zarzuty przywłaszczenia ok. 320 tys. zł z kasy Fundacji Szkoły Społecznej w Warszawie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13042f9ed2

Z dr. hab. Maciejem Gdulą, socjologiem, członkiem zespołu „Krytyki Politycznej”
rozmawia Agnieszka Niewińska

Kim są wyborcy PiS

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: W niedużym mieście na Mazowszu, które nazwał pan Miastkiem, przeprowadził pan badanie socjologiczne wyborców. PiS w ostatnich wyborach uzyskał tam wynik o 10 pkt proc. wyższy od krajowego. Musiał więc pan rozmawiać z wieloma wyborcami PiS. Kim są Janusz i Grażyna – postacie ze świata wyobrażeń o zwolennikach PiS? Ledwie wiążą koniec z końcem? Są przegranymi transformacji?

DR HAB. MACIEJ GDULA: Kiedy mówimy o wyborcach PiS, zazwyczaj myślimy o jednej kategorii ludzi. Nie bierzemy pod uwagę tego, że są to różne osoby czymś połączone. Dzięki badaniom, które przeprowadziłem wraz z zespołem badaczy, można pokazać, jak ci ludzie się różnią. Odwoływaliśmy się do podziału klasowego. Słuchaliśmy, co o PiS i polityce myśli zarówno klasa ludowa – ludzie żyjący z rolnictwa oraz robotnicy – jak i klasa średnia. Sprawdzaliśmy, dlaczego popierają partię rządzącą. Okazało się, że wyborcy PiS wcale nie są przegranymi transformacji, niedorajdami – jak się zazwyczaj myśli o PiS-owcach. Nie dlatego głosują na PiS, że im w życiu nie wyszło. W każdym razie nie tylko tacy ludzie głosują na PiS. Partia ta wśród swoich zwolenników ma także całkiem dobrze sytuowanych przedstawicieli klasy średniej, przekonanych o tym, że mają kontrolę nad własnym życiem.

Raport z badań pokazuje, że nawet przedstawiciele klasy ludowej są dość zadowoleni z własnego życia.

Wśród nich nie było osób, które opowiadałyby o swoim życiu w kategorii utraty kontroli, cierpienia, wskazywałyby na kogoś, kto nie pozwala im normalnie żyć. Ich historie życia były bardzo zwyczajne. Jeżeli pojawiał się wątek cierpienia, to dotyczyło ono odległej przeszłości – nie rządów PO, ale raczej wydarzeń sprzed 15 lat, okresu transformacji. O swoim życiu mówili nam w kategoriach spełnienia. Podkreślali, że żyją normalnie, dają sobie radę, mają satysfakcję z wychowania dzieci, z założenia rodziny. Te osoby nie mają poczucia, że do tej pory były na marginesie i dopiero dzięki PiS-owi zyskują godność. Zarówno klasa ludowa, jak i średnia uważa, że jest coraz lepiej, a PiS jest po prostu wehikułem, który pozwala im realizować własne aspiracje.

Wyborcy PiS, z którymi przeprowadzaliście wywiady, uczestniczą w kulturze, wyjeżdżają poza swoje Miastko, byli za granicą?

Obraz prowincji, który ma Warszawa, jest dość daleki od rzeczywistości. Mówi się, że małe miasta są zamknięte, znajdują się w ogonie modernizacji, ich mieszkańcy nie są mobilni itd. Z naszych badań wynika, że ludzie z małych miast nie są zdani tylko na lokalny rynek pracy, dojeżdżają do większych miast – chociaż Miastko nie jest miastem satelitarnym – mają także doświadczenia pracy za granicą. Mieszkańcy Miastka nie są zamknięci w jednolitym przekazie kulturowym. Im wyższy kapitał kulturowy, tym większa różnorodność źródeł informacji. Klasa średnia ogląda więcej programów telewizyjnych, czyta gazety, przegląda Internet. Jednak nawet o klasie ludowej nie można powiedzieć, że śledzi tylko TVP Info.

FOT. WITOLD RÓŻBICKI/REPORTER

Rozpowszechniona jest wizja zakutego PiS-owca, który ogląda tylko TVP Info, i zagorzałego leminga, który ma włączone tylko TVN24. Okazuje się jednak, że ludzie korzystają z bardzo wielu źródeł informacji i je selekcjonują. Wybór tej czy innej partii nie wynika z tego, że wyborcy są odizolowani od informacji z drugiej strony. Większość publiczności politycznej – zarówno prawicowej, lewicowej, jak i centrowej – to publiczność refleksyjna. Nikt nie ufa mediom, wszyscy polegają na własnej interpretacji tego, co widzą, i są przekonani, że trzeba śledzić różne media.

W raporcie umniejszacie ekonomiczne motywy głosowania na PiS. Jednak nawet jeśli Miastko jest unowocześnione, ma fontannę, wyłożony granitem rynek, kawiarnię, to jednak takie miasteczka się wyludniają. Młodzi przenoszą się do większych miast, za granicę. Może w PiS upatrywali szansy na zmianę?

eprasa.pl 13042f9ed2

W komentarzach do tego badania czasem podkreślano, że to nie ekonomia decyduje o głosowaniu na PiS. Nie powiedziałbym jednak, że kwestie ekonomiczne nie mają znaczenia. Jednak nawet jeśli za głosowaniem na Kaczyńskiego stoją interesy ekonomiczne, to wiążą się one z pewnymi interpretacjami. Weźmy przykład programu „500+". Klasa ludowa mówi, że dzięki „500+" ludziom jest łatwiej, czyli wskazuje na interes. Jednocześnie jednak nasi rozmówcy podkreślali, że ludzi nie można zostawiać samym sobie – zwłaszcza dzisiaj, kiedy rozwinęliśmy się na tyle, że stać nas na taki program. Motyw interesu przeplata się z interpretacją tego, co się dzieje. Nie można powiedzieć, że ci ludzie głosują na PiS wyłącznie ze względu na pieniądze z „500+", że zostali kupieni. Oni nie są wykluczeni ekonomicznie. Mają pracę, osiągają wystarczające, chociaż często dość niskie dochody, nie mówią o trudnościach w związaniu końca z końcem. Często wręcz podkreślają np. że udało im się wybudować dom.

Skoro „500+" nie jest decydującą kwestią, to z jakiego powodu głosują na PiS?

Ważną rolę odgrywa antyelitaryzm – dotyczy to zarówno klasy ludowej, jak i średniej. PiS jest postrzegany jako partia tych, którzy są tą lepszą elitą, znacząco różniącą się od tej, która odeszła – przede wszystkim od PO. Nie wszyscy są jednak tak samo antyelitarni. W tej kwestii różnice opinii między klasami były dość zabawne. Przedstawiciele klasy ludowej mówili, że „tamci zapomnieli o zwykłym człowieku". Twierdzili, że choć jasne jest, że każdy kradnie, to tamci jednak przesadzili.

„Troszkę za duże te sumy były" – stwierdziła jedna z waszych rozmówczyń.

Klasa średnia wypowiadała się inaczej, wręcz zamordystycznie. Używała języka rygoryzmu moralnego, mówiła z perspektywy moralnej wyższości. Nasi rozmówcy z klasy średniej podkreślali, że w ogóle nie można kraść. Ich zdaniem ktoś, kto kradnie, traci mandat do bycia elitą. Mimo tych różnic między klasą ludową a średnią w mówieniu o elitach ich antyelitaryzm zbiega się w poparciu dla PiS.

Czyli wyborcę PiS kręci to, że partia Kaczyńskiego zapewnia rewanż na elitach?

To wyraźny rys wśród głosujących na PiS. Argumentują oni, że elity muszą ponieść jakąś karę. Jej rozmiar jest trudny do oszacowania, ale skoro robi to Kaczyński, to kolejne jego posunięcia zyskują aprobatę. Wśród obserwatorów sceny politycznej popularne jest przekonanie, że Kaczyński w końcu przegnie i ludzie się od niego odwrócą. Po tym, co usłyszałem w Miastku,

eprasa.pl 13042f9ed2

nabrałem przekonania, że kolejne posunięcia Kaczyńskiego będą akceptowane. Ludzie popierają go nie pomimo tego, co robi. Ludzie akceptują to, co robi. Postrzegają to jako rozliczenie elit, puszczenie ich w skarpetkach. Interpretują to jako przejaw demokracji. Takie spojrzenie charakteryzuje zarówno wyborców PiS, jak i innych głosujących na partie prawicowe, takie jak Kukiz'15 czy KORWiN. Nie pojawiła się u nich refleksja nad tym, czy w systemie, który urządza nam Kaczyński, będzie się dało żyć, kiedy PiS przegra. Nie zastanawiają się nad tym, czy chcieliby być rządzeni w tym systemie przez ich przeciwników politycznych. Nie kwestionują żadnego posunięcia Kaczyńskiego. Pytaliśmy o różne rzeczy: o Trybunał Konstytucyjny, o czarne protesty, likwidację gimnazjów. W każdej z tych spraw popierali Kaczyńskiego.

I wbrew temu, co mówią niektórzy komentatorzy, wyborcy rozumieją, o co w tych zmianach chodzi. Jeden z waszych rozmówców stwierdził, że wcześniej nie wiedział nic na temat TK, a teraz wie, co to za instytucja.

Część ludzi deklaruje, że mało wie o polityce, po czym dokładnie opowiada, co się w polityce dzieje, ma własną opinię. Niektóre wywiady przeprowadzaliśmy jeszcze przed wakacjami, więc sprawa zmian w sądownictwie nie była jeszcze nagłośniona. Pomimo to ludzie podnosili ten temat. Część osób cieszyła się z planowanych reform. Twierdziła, że są potrzebne, bo sądy działają źle, i choć sami nie mieli z nimi doświadczeń, to od kogoś słyszeli takie opinie. Jedna z osób z klasy średniej popierająca PiS stwierdziła, że dobrze się stało, że zniknęły gimnazja, bo wszystko trzeba rozwalić: banki, sądy, szkoły. Zmiany przeprowadzane przez PiS są postrzegane jako potrzebne i obiecywane przez tę partię od samego początku, chociaż nie jest to prawda o przekazie wyborczym PiS. Nie był aż tak nasycony zmianami. Dopiero po wyborach Jarosław Kaczyński zdecydował się zrobić kilka kroków „do przodu".

A może entuzjazm co do reform PiS to nie efekt celnej diagnozy Kaczyńskiego? Poprzednie elity po prostu sobie nagrabiły. Minister poprzedniego rządu mówiła, że za 6 tys. zł pracuje tylko idiota, a obecny premier podkreśla, że pensja 2,5 tys. brutto to zdecydowanie za mało. Polak porównuje te wypowiedzi i dochodzi do wniosku, że to „dobra zmiana".

Z pewnością sposób postępowania Platformy budził niechęć. Wyraźne widać jednak, że dzisiaj ludzie dodają PO grzechów, a odejmują jej zasług. Robią tak nawet ci, którzy głosowali na PO. To badanie uświadomiło mi, że jest sporo wyborców PO, którzy dzisiaj głosują na PiS – i to wbrew wizji o dwóch plemionach, które obstają przy swoich totemach, nie komunikują się, a przeniesienie poparcia z jednej partii na drugą jest niemożliwe. Tacy ludzie są i też demonizują PO. Kiedy pytaliśmy o nagrania z restauracji Sowa i Przyjaciele, to ludzie opowiadali nam, że ujawniły one korupcję na olbrzymie kwoty. Tego nie było w tych nagraniach. Zarejestrowane rozmowy były kompromitujące dla polityków, ich styl był trudny do zaakceptowania, ale nie ujawniły one korupcji. Osiągnięcia PO są minimalizowane. Pytaliśmy o autostrady i nasi rozmówcy uważali, że nie są zasługą Platformy, powstałyby niezależnie od tego, kto by rządził, bo to UE dała na nie pieniądze. W ich ocenie PO przez osiem lat w zasadzie nic nie zrobiła. Nikt nie wspominał np. o orlikach. Ludzie się do tego przyzwyczaili i to jest coś, co obecnie rządzący powinni brać pod uwagę. Wyborcy pewne zdobycze przyjmują jako oczywistość. Za jakiś czas mogą powiedzieć, że ktokolwiek by rządził, to „500+" i tak by było.

Ludzie akceptują to, co robi Jarosław Kaczyński. Postrzegają to jako rozliczenie elit, puszczenie ich w skarpetkach

W raporcie z badań analizujecie niechęć wyborców PiS do uchodźców, tymczasem, jak wynika z badań CBOS, aż 70 proc. Polaków jest przeciwna ich przyjmowaniu.

Niechęć do uchodźców to obok antyelitaryzmu ważny element spajający ludzi głosujących na PiS. Ta niechęć przekracza granice poparcia dla PiS, ale to partia Kaczyńskiego najmocniej rozgrywa tę kartę. PiS proponuje wizję wspólnoty narodowej, w której wyraźnie zarysowane są granice. Poza nimi znajdują się elita i uchodźcy. Dodałbym do tego jeszcze niechęć do patologii, którą dostrzegliśmy u klasy ludowej.

Rządy PiS nazywa pan neoautorytaryzmem, a jednocześnie twierdzi pan, że mieści się to w paradygmacie demokratycznym. To jak to jest? Autorytaryzm czy jednak demokracja?

Mówiąc o neoautorytaryzmie, nie mam na myśli systemu politycznego, w którym nie ma procedur demokratycznych. Nie chodzi mi też o wskazywanie, że wyborcy PiS są autorytarni z natury. Chcę pokazać rodzaj dynamiki politycznej, która łączy wyborców z liderem. Elementy konstrukcyjne są tu bardzo ważne: antyelitaryzm, poczucie wyższości wobec grup mniejszościowych, wzrost poczucia mocy. Lider wyznacza dynamikę, wytwarza spiralę radykalizacji – idziemy coraz dalej, przekraczamy kolejne granice i to nas konsoliduje. Dzisiaj polityka, nie tylko polska, oscyluje między skrajnościami – od liberalnych po konserwatywne. Dużo zależy od pozycji lidera. Dziś znaczy on o wiele więcej niż kiedyś. Liderzy są twórcami kultury, wyznaczają kierunek.

To zły prognostyk dla opozycji, za to widoki dla PiS na kolejne kadencje.

Brak autentycznego lidera, to jeden z głównych powodów, dla których opozycja wypada tak blado. Przywódcy polityczni myślą tam starymi kategoriami. Chcą mówić do różnych elektoratów, bo zakładają, że wtedy różni ludzie ich poprą. Nie, ludzie chcą popierać polityków, którzy mają im do zaoferowania coś wyjątkowego, specyficznego i są przy tym autentyczni. Wszystko można powiedzieć o Grzegorzu Schetynie, ale autentycznie to on pragnie władzy. A co naprawdę myśli na różne tematy? Nie wiadomo.

Dla kogo robił pan te badania? Dla opozycji, żeby miała know-how, czy dla Kaczyńskiego, żeby utwierdzić go w przekonaniu, że dobrze odczytuje potrzeby Polaków?

Ważnym motywem jest dla mnie to, żeby wiedzieć, co się w ogóle dzieje, niezależnie od tego, kto z tych badań skorzysta. Wiadomo, skąd wychodzę, więc to badanie wynika także z mojego przekonania, że lewicowy obraz świata polityki jest ograniczony. Lewica nie dysponuje dzisiaj dobrym rozeznaniem w sytuacji w kraju. Chciałem więc przyjrzeć się tym procesom na dole, by mieć lepszą diagnozę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

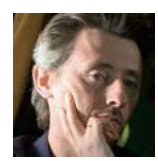

dr hab. Maciej Gdula
jest wykładowcą Uniwersytetu Warszawskiego, publicystą „Krytyki Politycznej", niebawem nakładem KP ukaże się jego książka „Nowy autorytaryzm".

eprasa.pl 13042f9ed2

5. URODZINY „DO RZECZY”!

JUŻ ZA TYDZIEŃ:

ATRAKCJE I NIESPODZIANKI DLA CZYTELNIKÓW
KOMIKS URODZINOWY
SPECJALNE OFERTY PRENUMERATY
NIESPODZIANKI NA WWW.DORZECZY.PL

50 KOSZULEK NA 5. URODZINY „DO RZECZY”*

* ZRÓB ZDJĘCIE, GDZIE I JAK CZYTASZ NASZ TYGODNIK. OPUBLIKUJ PIĘĆ TAKICH ZDJĘĆ, Z RÓŻNYMI NUMERAMI „DO RZECZY”, NA FACEBOOKU, OZNACZ @DORZECZY I UŻYJ HASZTAGU #5LATDORZECZY. 50 AUTORÓW NAJCIEKAWSZYCH ZDJĘĆ OTRZYMA PATRIOTYCZNE KOSZULKI RED IS BAD.

eprasa.pl 1304219ed2

Marcin Bartnicki

Większość polskich miast czeka gwałtowny spadek populacji. Te, które się rozwiną, będą wyglądały zupełnie inaczej niż dziś. Przynajmniej kilkanaście procent ich ludności stanowić będą imigranci ze Wschodu i ich potomkowie

Czarna przyszłość miast

W opuszczonym centrum handlowym – blaszanym klocku z potłuczoną szklaną fasadą – koczują bezdomni, wypełniając skromnym dobytkiem lokale zajmowane niegdyś przez ekskluzywne sklepy. Zagraniczny właściciel bezwartościowej ruiny na obrzeżach miasta po prostu opuścił dawną inwestycję. Niedaleko znajduje się lotnisko, które miało uczynić z miasta aglomerację europejskiego formatu. Teraz pomnik przerośniętych ambicji służy za miejsce nielegalnych wyścigów młodych kierowców. Pomiędzy ruinami nadal dumnie stoi aquapark zbudowany w czasach, gdy Polska nie była płatnikiem netto w UE i każde miasteczko uznało za punkt honoru mieć u siebie taki obiekt. Dzieci rodzi się niewiele, a nikt nowy nie chce się przeprowadzić do tej miejscowości. Tak w ciągu 20–30 lat może wyglądać większość miast średniej wielkości w Polsce.

Taki będzie skutek powolnej erozji demograficznej. Wiele jej zjawisk obserwujemy w Polsce już od lat, rzadko wyciągamy z nich wnioski. A przecież demografia daje możliwości trafnego prognozowania przyszłości na lata, a nawet dziesięciolecia.

EMERYCI WŚRÓD PUSTOSTANÓW

Nasuwające się porównanie do zniszczeń wojennych jest jak najbardziej uzasadnione. Świetnie ilustruje to przykład Łodzi. W 1939 r. mieszkało tam 672 tys. osób, w tym duża społeczność żydowska. W czasie II wojny światowej miasto straciło 175 tys. mieszkańców. Przez 25 lat III RP liczba ludności spadła o 147 tys. Do 2050 r. miasto straci kolejne 216 tys. Dzięki młodej populacji i migracji z innych regionów Polski Łódź szybko odradzała się po zniszczeniach wojennych. Tym razem odrodzenia nie będzie. Za trzy dekady w mieście będzie mieszkało mniej ludzi niż przed I wojną światową.

W niektórych dużych polskich miastach spadek populacji będzie wynikał z przenoszenia się mieszkańców na przedmieścia. To proces trwający od lat. Jeśli liczba mieszkańców w całej aglomeracji się nie zmieni, to powinniśmy mówić raczej o zmianie struktury urbanistycznej niż o upadku. W czasie, gdy Poznań straci 138 tys. mieszkańców, liczba ludności w otaczającym miasto powiecie poznańskim wzrośnie o 181 tys. Takie przypadki będą jednak nieliczne. Największym przegranym nowej transformacji będzie Śląsk. Według prognoz GUS województwo śląskie straci do 2050 r. ponad 900 tys. mieszkańców – to jedna piąta prognozowanego ubytku ludności całej Polski.

Samo wyludnianie się miast nie będzie ich największym problemem. Według prognozy GUS, która i tak zakłada wzrost liczby narodzin, w 2050 r. 37–38 proc. mieszkańców Opola, Kielc, Łodzi i Radomia będzie miało co najmniej 65 lat. W tej chwili odsetek ten w Polsce wynosi ponad 15 proc., a w Niemczech i we Włoszech – państwach z najstarszą populacją – nieco ponad 20 proc.

eprasa.pl 13042f9ed2

FOT. ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC/FORUM

Spadek liczby ludzi zdolnych do pracy nie musi wywołać presji płacowej i wzrostu wynagrodzeń. Jeśli nie doświadczymy poważnych wstrząsów politycznych lub wojny, to zarobki w Polsce w ciągu trzech dekad powinny zbliżyć się do zachodnioeuropejskich. Będzie to miało również swoje negatywne konsekwencje. Polska nie będzie mogła konkurować niskimi kosztami pracy, można więc spodziewać się, że część inwestycji – nie tylko zagranicznych – będzie przenoszona do biedniejszych państw Europy i świata. Kolejna rewolucja przemysłowa, którą możemy obserwować już teraz, wyeliminuje część ludzi z rynku pracy. W uruchomionym niedawno magazynie firmy Amica we Wronkach można przechowywać 230 tys. pralek, lodówek i innego sprzętu AGD oraz układać 1,6 tys. artykułów na godzinę. Wysoki na 46 m budynek nie ma okien, oświetlenia ani ogrzewania, ponieważ nie pracuje w nim żaden człowiek. Całą pracę wykonują automaty, a do ich nadzorowania wystarczy jedna osoba.

Przy tak dużym odsetku emerytów wypłacane im świadczenia będą bardzo niskie i z pewnością nie będą napędzały koniunktury w upadających miastach. Odsetek emerytów wzrośnie wyraźnie w całej Polsce, jednak w najlepiej rozwijających się aglomeracjach, przyciągających młodych ludzi z całego kraju, a także z zagranicy, zjawisko starzenia się społeczeństwa będzie widoczne w mniejszym stopniu.

NOWA TRANSFORMACJA

Dynamiczny rozrost najlepiej prosperujących aglomeracji odbędzie się kosztem wyludniających się mniejszych ośrodków. Modelowym przykładem jest województwo mazowieckie. Liczba mieszkańców podwarszawskich powiatów zwiększy się o kilkadziesiąt procent (nawet o 40 proc. w przypadku powiatu piaseczyńskiego). W tym samym czasie ludność Płocka, Radomia czy Ostrołęki zmniejszy się o jedną czwartą. A to tylko dane oparte na meldunkach. W praktyce oficjalna liczba ludności często ma niewiele wspólnego z rzeczywistością i pokazuje raczej kierunki migracji niż jej całkowitą wartość.

Wśród wygranych nowej transformacji będą nie tylko najlepiej prosperujące obecnie ośrodki, takie jak Warszawa czy Trójmiasto. Znakomitym przykładem budowy centrum regionu jest Rzeszów, który już teraz przyciąga nowych mieszkańców z całego województwa. Podobnie będzie przez kolejne trzy dekady. Podczas gdy miasta podobnej wielkości w całej Polsce będą się kurczyły, liczba ludności Rzeszowa pozostanie bez zmian, a cała aglomeracja będzie wyraźnie większa niż obecnie. Samo miasto będzie liczyło – podobnie jak teraz – 187 tys. mieszkańców, ale wraz z powiatem rzeszowskim będzie to 370 tys. – o 15 tys. więcej niż dziś.

Gdyby wzrost liczby rodzących się dzieci, który obserwowaliśmy w 2016 r., utrzymał się przez kolejne lata, miasta takie jak Rzeszów będą mogły liczyć na jeszcze szybszy rozwój. Trudno jednak ocenić, czy bardziej optymistyczna wersja prognozy GUS, poprawiona po wzroście liczby narodzeń w 2016 r., ma solidne podstawy. Wzrost może okazać się zjawiskiem okresowym.

Prognozy demograficzne nie uwzględniają również wydarzeń politycznych. W ciągu 30 lat na pewno doświadczymy kolejnych zmian, w tym również wstrząsów politycznych, które mogą wywołać falę migracji do Polski lub emigrację z naszego kraju. Nasza polityka zmieni się w tym czasie wielokrotnie, podobnie może być ze składem Unii Europejskiej (jeśli ta w ogóle przetrwa) i z możliwościami przekraczania granic.

W tej chwili w Polsce mieszka od 500 tys. do 1 mln Ukraińców. Ich ojczyzna z PKB na mieszkańca o ponad połowę niższym niż Egipt długo nie będzie atrakcyjnym miejscem do życia. Przyszłe wydarzenia mogą skłonić do migracji obywateli Białorusi, a może również Rosji. Celem ich podróży może być najbliższa im geograficznie i kulturowo Polska. Należy również wziąć pod uwagę to, że polskie uczelnie – już teraz borykające się ze spowodowanym niżem demograficznym spadkiem liczby studentów – będą ściągały coraz więcej studiujących z zagranicy. W 2016 r. w Polsce studiowało 66 tys. obcokrajowców. Stanowili 4,8 proc. wszystkich studentów, ponad dwukrotnie więcej niż trzy lata wcześniej.

W 2050 r. największe aglomeracje będą prawdopodobnie bardziej zróżnicowane etnicznie niż obecnie, imigranci – głównie ze Wschodu – i ich potomkowie będą stanowili w nich prawdopodobnie kilkanaście procent ludności.

Imigracja do Polski różni się od tej zalewającej obecnie Europę Zachodnią. Zamiast nieznających języka i europejskiej kultury imigrantów z Afryki i Azji, niemających często żadnych kwalifikacji, do Polski trafiają bliżsi nam kulturowo sąsiedzi, którzy szybko odnajdują się na rynku pracy i mają coraz wyższe aspiracje. W przyszłości polskie miasta będą w coraz większym stopniu konkurowały o najlepszych np. programistów czy lekarzy, nie tylko między sobą, lecz także z ośrodkami z Zachodu. Warszawa, Wrocław i Trójmiasto będą dla nich atrakcyjnymi miejscami do rozpoczęcia kariery, Bydgoszcz i Radom – już niekoniecznie. Dlatego należy spodziewać się, że pogłębianie się nierówności między miastami i regionami nie tylko utrzyma obecne tempo, lecz nawet przyspieszy.

W przypadku niektórych miast utrata populacji łączy się z ryzykowną polityką fiskalną. W jednym z najbardziej zadłużonych miast w Polsce – w Toruniu – liczba mieszkańców zmniejszy się z ok. 200 tys. do 158 tys. mieszkańców. Spadek liczby podatników będzie szczególnie dotkliwy w okresie kryzysów, a te w ciągu ponad 30 lat pojawią się na pewno niejednokrotnie. Dlatego wizja upadku przedstawiona na wstępie ma spore szanse, aby się ziścić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13042f9ed2

Przeskok do biznesu

Łukasz Zboralski

Najbardziej rozpoznawalni zimowi sportowcy próbują swoich sił w biznesie. Czy dzięki osobistym markom mają szanse na rozwój firm?

Zimowe sporty same w sobie są wielkim biznesem. Żeby się o tym przekonać, wystarczyło wejść do jednego z wielkich sportowych sklepów w stolicy w weekend, w którym dla dzieci z Mazowsza rozpoczynały się ferie. Tłumy ludzi chwytały z półek jak leci: narty, snowboardy, sanki, a do tego dziesiątki akcesoriów i ubrań, oczywiście w najmodniejsze wzory sezonu.

Nie powinno dziwić, że w ten wielki nurt próbują wpasować się sportowcy zajmujący się zimowymi dyscyplinami. Zwłaszcza że oni nie mogą liczyć na gigantyczne zarobki, tak jak zawodnicy uprawiający inne sporty.

ILE MOŻNA WYSKAKAĆ

Dość łatwo uzmysłowić sobie branżową przepaść, gdy porówna się najbardziej utytułowanego polskiego skoczka narciarskiego Kamila Stocha np. z tenisistką Agnieszką Radwańską czy piłkarzem Robertem Lewandowskim.

Stoch, dwukrotny złoty medalista olimpijski, mistrz świata, dwukrotny zwycięzca Turnieju Czterech Skoczni, zdobywca Kryształowej Kuli Pucharu Świata, nie zarabia tak mało – ubiegły sezon przyniósł mu według różnych szacunków 1–1,5 mln zł. Na tę kwotę składają się pieniądze za wygrane w turniejach, a także kontrakty reklamowe wywalczone przez menedżera. W tym sezonie skoków Stoch jest na czele finansowego zestawienia najlepiej zarabiających skoczków – jego zarobki miały przekroczyć już 400 tys. zł. Warto wspomnieć, że za samo zwycięstwo w Turnieju Czterech Skoczni dostał w przeliczeniu na złotówki ok. 35 tys. zł.

Jego koledzy z reprezentacji zarabiają mniej. Piotr Żyła, Dawid Kubacki czy Maciej Kot przez cały sezon gromadzili między 250 a 500 tys. zł.

Tymczasem pula trwającego właśnie turnieju tenisowego Australian Open wynosi blisko 150 mln zł. Premia za pierwszą rundę przekracza 160 tys. zł, za drugą – ok. 243 tys. zł, a za trzecią – niecałe 385 tys. zł. Zatem dwie Polki – Agnieszka Radwańska i Magda Linette – które (przy zamykaniu tego wydania „Do Rzeczy") dotarły już do trzeciej rundy, zarobiły już na pewno tyle, ile Stoch do tej pory w całym sezonie. Sama Radwańska na kortach wzbogaciła się już w ogóle o ponad 26 mln zł. A lider na liście największych tenisowych zarobków w historii – Serb Novak Djoković – dawno przekroczył 100 mln dol.

Skoczkowie nie mogą się też mierzyć z piłkarzami. Robert Lewandowski tylko z tytułu kontraktu piłkarskiego w Bayernie Monachium zarabia miesięcznie ok. 7 mln zł. Oznacza to, że – jak niedawno podsumował „Super Express" – najbardziej znany z polskich piłkarzy w ciągu obecnego sezonu narciarskiego zainkasował już blisko 14 mln zł, czyli 37 razy więcej niż Kamil Stoch. A przecież do tego należałoby jeszcze doliczyć dochody z kontraktów reklamowych.

DOCHÓD NA GŁOWIE

Skoczkowie łatwo nie mają nie tylko dlatego, że ich dyscyplina jest w zasadzie ściśle sezonowa oraz nie jest sportem masowym. Zostaje im też niewiele miejsca na reklamy, na których mogą dorabiać do tego, co zdobywają w konkursach (jeśli oczywiście wygrywają). Za to, co pokazują na swoich kombinezonach i nartach, które po skoku zdejmują i prezentują w kamerach, płyną grube miliony. Jednak nie do nich. Na ubraniach reklamują się sponsorzy, którzy płacą

eprasa.pl 13042f9ed2

Kamil Stoch pokazuje się w kolorowych czapkach – to projekty jego żony, które sprzedają we własnej firmie Kamiland. Swoje czapki sprzedaje też inny ze skoczków – Piotr Żyła FOT. EWA BILAN-STOCH/KAMILAND

Polskiemu Związkowi Narciarskiemu. Na nartach mogą reklamować się ci, którzy podpiszą umowy z klubami, do których należą skoczkowie.

Polskim kadrowiczom pozostaje jedynie... głowa. Ich menedżerowie, oprócz udziału w samych reklamach (a to zdarza się także sportowcom zimowym, np. narciarka biegowa Justyna Kowalczyk reklamowała bank, a Kamil Stoch występował w reklamie jednego z operatorów telefonii komórkowej), mogą sprzedawać miejsce na kasku lub na czapce.

Nic dziwnego, że skoczkowie swoje prywatne biznesy uruchamiają akurat w działce odzieżowej. Pierwszy był Stoch, który już w 2015 r. na targach designu w Zakopanem zaprezentował własną kolekcję. To były czapki, koszulki, bluzy i np. magnesy. Odzież prezentowała ta, która ją projektuje, czyli małżonka polskiego mistrza – Ewa Bilan-Stoch.

„Kamil od dawna marzył o autorskiej kolekcji. Zajęło to trochę czasu, ale w życiu Kamila wszystko, co wyczekane, smakuje jeszcze lepiej. Pewnie u Was jest podobnie. Kamil działa w swój określony sposób; najpierw delikatnie stawia pierwszy krok, analizuje wydarzenia, nabiera pewności, by w końcu rozwinąć skrzydła i zabrać Cię w podróż pełną niezapomnianych emocji" – wprowadza kupujących na stronie swojego sklepu firma Kamiland. Jednak mimo tego wstępu oraz zapowiedzi o przyszłym rozwoju, które Bilan-Stoch wygłosiła na pokazie, asortyment do dziś niewiele się powiększył.

– No, trochę ten sezon przespaliśmy – przyznaje Adam Bilan, brat żony Kamila Stocha, zarządzający sklepem Kamiland. – Ale w przyszłym będziemy gotowi z szerszym asortymentem – obiecuje. I podkreśla, że firmie udało się trafić w gusta odbiorców. – Początkowo szukaliśmy trochę kierunku. Teraz już wiemy, w którą stronę podążać. Coraz dokładniej dobieramy np. kolory i coraz lepiej to nam wychodzi. Naszych klientów często widać w naszych czapkach na zawodach narciarskich, co nas niezmiernie cieszy.

Firma Stocha i jego żony oferuje głównie czapki. Do wyboru jest 20 propozycji. Od mistrza kupić można też T-shirty, bluzy czy gadżety.

ŻYŁA Z BRODĄ

Od pięciu lat czapkowy biznes próbuje też rozkręcić Piotr Żyła. Trudno oprzeć się wrażeniu, że już sama nazwa firmy – HEHO – odzwierciedla charakter skoczka, który nie stroni od żartów, a swoje wypowiedzi przed kamerami często przeplata słynnym śmiechem: „He, he, he". Wydaje się też, że oferta firmy prowadzonej przez Żyłę i jego żonę wiele ma wspólnego z osobowością tego sportowca.

Sklepik Żyły jest utrzymany w innym stylu niż ten Stocha (na głównej stronie zdjęcia skoczka w czapkach m.in. z szalonymi uśmiechami) i oferuje do kupienia znacznie więcej. Samych modeli czapek jest 157, i to w kilku kategoriach. U Żyły można też sobie czapkę spersonalizować – doszyć futrzaną brodę, wyhaftować własny napis, dobrać wszywkę lub dołożyć przypinane znaczki.

– Chociaż sprzedajemy niby to samo, czyli czapki, to nie traktujemy się jako zagrożenie i ogromną konkurencję – mówi szef sklepu Kamila Stocha. – Piotr Żyła ma inne produkty, skierowane do trochę innego grona klientów – dodaje.

W nieco innym kierunku biznesowym powędrowała legenda polskich skoków, czyli Adam Małysz. Obecny dyrektor-koordynator w PZN oprócz startów rajdowych m.in. w Dakarze zdecydował też wkroczyć w branżę turystyczną. Swój dawny dom przy ul. Bukowej w Wiśle postanowił przerobić na apartamenty i od ubiegłego roku oferuje je do wynajmu. Apartamenty u Małyszów oprócz ciekawie wykończonych wnętrz – i bezcennych wspomnień tego, że spało się w domu mistrza – oferują też przyległy do domu ogród i basen.

DRES OD JOHAUG

Gwiazdy zimowych sportów z innych krajów też szukają sposobów, by zdyskontować swoją popularność.

Norweska narciarka Therese Johaug postanowiła projektować ubrania. Zaczęła w 2012 r. od rękawiczek i sprzedała całą partię na pniu, choć para kosztowała ok. 100 euro. Dzisiaj na swojej stronie internetowej marka „Johaug" oferuje wiele rodzajów sportowych ubrań. Ta inwestycja Therese właśnie bardzo się jej przydała – bo na 18 miesięcy zakazano jej startów po przyłapaniu na dopingu (nie pojedzie na zimową olimpiadę).

Inna znana narciarka – Szwedka Charlotte Kalla – kilka lat temu zainwestowała w Etiopii w garbarnię skóry i fabrykę luksusowych rękawiczek.

Na coś innego postawiła największa rywalka Justyny Kowalczyk – Marit Bjoergen. Norweżka trzy lata temu zarejestrowała firmę doradczo-inwestycyjną. Spółka akcyjna według rejestru ma zajmować się doradztwem w zakresie treningów, motywacji, a także inwestycjami m.in. w nieruchomości. Norweska prasa spekulowała wówczas, że narciarka jest już blisko zakończenia kariery. Rozstanie z nartami zapowiadała w 2015 r., ale wciąż tego nie zrobiła, a w ubiegłym stwierdziła, że stanie się to po olimpiadzie w Pjongjangu. Widocznie sport wciąż znaczy dla niej więcej niż biznes.

FOT. SZYMON BRODACKI/HEHO

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13042f9ed2

Andrzej Horubała

Wyspiański!

Patriotyczną kataraktę na oczach miał ten co cię zrównał z gmachem marmurów

– pisał o Wyspiańskim w roku 1953 zgorzkniały Zbigniew Herbert w dedykowanym Jerzemu Turowiczowi wstrząsającym utworze „Wawel". I przecież odtwarzamy sobie w myślach ten wiersz ze wspaniałym finałem:

Akropol dla wydziedziczonych
i łaska łaska dla kłamiących.

Odtwarzamy, gdy na wystawie „Wyspiański" w krakowskim Muzeum Narodowym oglądamy śnieżnobiałą makietę rekonstruującą pomysł Wyspiańskiego przebudowy Wawelu i przekształcenia tych niedawnych koszarów austriackich w polskie święte narodowe wzgórze.

W ogóle odtwarzamy sobie i przepowiadamy wiele, bo autorzy wystawy postanowili – jakby na przekór materii – zaprezentować nam Wyspiańskiego w sposób niezwykle wystudzony, jakby celem ich nie była interpretacja, lecz czysta prezentacja muzealnych zasobów. Więc owa „łaska łaska dla kłamiących" rozciąga się też na kuratorki wystawy, które ducha zbuntowanego, wewnętrznie sprzecznego, walczącego, nieokiełznanego zaprezentowały w sposób tak uładzony, że niemal sielankowy, a pastelowy na pewno.

DOMOWY DRAMAT

Widać to już w pierwszej sali, zatytułowanej „U mnie w domu", w jakimż kontraście pozostającej do wydanej w zeszłym roku poruszającej książki Moniki Śliwińskiej „Wyspiański. Dopóki starczy życia".

Tam – domowy dramat, bolesna tajemnica artysty wiążącego się z tępą chłopką pozbawioną urody, wdzięku, poślubiającego ją czy to wskutek lektur Tołstoja – z moralnego obowiązku, z litości, czy to z powodu niewytłumaczalnego kaprysu.

Tu – kojące pastele i pochwała ojcostwa i macierzyństwa.

Tam – próba konstruowania odmiennej legendy, odtwarzanie niechęci i zdumienia otoczenia, gdy oto delikatny, szczupły artysta wiąże się z grubo ciosaną babą. Tam – próba budowania mitu o walce o jej godność i uznanie (niczym zmagania Johna o Yoko Ono), choćby wówczas, gdy po raz pierwszy wziął ją do teatru i to na nie byle jaki spektakl – na prapremierę swego „Wesela".

„Tego wieczoru po godzinie dwudziestej drugiej – pisze we wzruszającym passusie Śliwińska – w obecności ponad siedmiuset osób, Wyspiański legalizuje swój związek". I oddaje głos obecnej z rodzicami córce, Helence: „Pamiętam premierę »Wesela« i Jego głęboki skłon w stronę loży, gdzie siedziała Matka, w odpowiedzi na szaleńczą owację publiczności". I podbija to jeszcze wspomnieniem kuzyna, Antoniego Waśkowskiego: „Została mi na zawsze w oczach postać Wyspiańskiego w tym momencie: ukazał się przed rampą – skłonił się – ale tylko w stronę loży, w której siedziała jego żona".

Czy taki gest miał miejsce, czy też istniał tylko w rodzinnej legendzie, trudno powiedzieć; dyrektor Teatru Miejskiego, Józef Kotarbiński w każdym razie tego nie zapamiętał, w referacie na dziesięciolecie prapremiery „Wesela" głosząc: „Pomimo oklasków Wyspiański nie pokazał się na proscenium. Zniknął nagle z teatru niepostrzeżony". Jak było naprawdę, nieważne.

Istotna jest niemożność zamknięcia historii rodzinnej Wyspiańskiego w pastelowych obrazkach z dzieciakami o zaczerwienionych policzkach.

Teodora z domu Pytko, Teosia – dziwna żona artysty, raz kojarząca się z kuchtą z erotycznych marzeń młodego Gombrowicza, kiedy indziej z kłopotliwą Iwoną, księżniczką Burgunda, dziwna, opryskliwa, nadużywająca alkoholu kobieta, pozbawiona wreszcie praw rodzicielskich, która nie wytrzymała nawet roku żałoby po śmierci genialnego męża i wydała się za młodszego o lat dziesięć chłopa, rozsadziłaby ramy wystawy i zdewastowała salę pierwszą: „U mnie w domu".

(Nie ma tu też miejsca na nieszczęsne dzieje zmarłego w przytułku ojca twórcy

eprasa.pl 13042f9ed2

„Wesela" – Franciszka. Aby poznać smutne losy tego zapijającego się na śmierć niespełnionego rzeźbiarza, musimy pofatygować się do oddziału muzeum w Domu Mehoffera, na Krupniczą 26).

WYSPIAŃSKI SCHŁODZONY

Jednak i kolejne sale nie oddają w żadnej mierze dramatycznych losów artysty. Odrzucany, przepędzany wręcz, traktowany jak namolny typ próbujący wcisnąć swe niepokojące wizje w uładzony galicyjski świat, łamiący konwenanse, niezrozumiany, po kryjomu zdejmujący wymiary okiennych otworów w katedralnym prezbiterium, składający niezamówione plany, tu prezentowany jest prawie bez kontekstu, jakim były ciągłe spory z mecenasami, kłótnie i permanentne odrzucanie jego projektów: czy to do katedry lwowskiej, czy wawelskiej, że brutalne i potworne. Kościotrup Kazimierza Wielkiego straszący upiorną czachą w koronie z niezrealizowanego witraża wawelskiego, ekspresyjna Polonia ze Lwowa ze szpetną, bo nazbyt chłopską Matką Boską – tutaj po prostu sobie są, martwe, spokojne, nie oddając skandalu, jaki był związany z propozycjami Wyspiańskiego, który chciał zawładnąć, poruszyć, wstrząsnąć wyobraźnią zbiorową rodaków.

Cóż po ciekawie dobranych cytatach z dramatów i listów Wyspiańskiego, skoro schładza je muzealna sterylność?

„Wyspiański", Muzeum Narodowe w Krakowie, kuratorki: Danuta Godyń, Magdalena Laskowska, wystawa czynna do 20 stycznia 2019 r. FOT. MIROSŁAW ŻAK/MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

„Kazimierz Wielki", projekt witraża do prezbiterium katedry krakowskiej, 1900 r. FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

A przecież Wyspiański szaleje do dziś. W okruchach oryginalnej „Klątwy", które w zeszłym roku wykorzystał chorwacki zwodziciel na deskach Teatru Powszechnego. W „Weselu", które topornawo wystawione przez Jana Klatę w Starym Teatrze stało się teraz spektaklem kultowym i – rzuconym w twarz bezradnemu ministrowi kultury – szyderczym pytaniem o przyszłość narodowej sceny. W „Wyzwoleniu", które raz po raz przebija się z jakimiś fragmentami do publicznej przestrzeni.

Żałośnie mało z tego teatralnego obłędu przedostaje się do gmachu muzeum. Spektakle reprezentowane przez zgrabne cytaty, kunsztowne okładki książkowych wydań, parę kostiumów, robocze szkice scenografii i ubiorów. Czy może to dać pojęcie o sile słowa, o szaleńczych wizjach historii i przyszłości, o kosmicznych katastrofach, o ożywianiu królów i wodzów? Przywoływać więc musimy sami obrazy bronowickiej chałupy z filmowej wizji Kijowskiego-Wajdy, pod powieki przywracać wygiętego w konwulsjach Jerzego Trelę jako Konrada z „Wyzwolenia", wspominać legendę „Akropolis" Grotowskiego-Szajny albo nawet niedawną próbę multimedialnego poradzenia sobie z tym dramatem przez Łukasza Twarkowskiego.

Chciałoby się to przeżywać mocniej, dostać więcej bodźców do spotkania tego właśnie Wyspiańskiego, boleśnie przeczołgiwanego bądź przez znawców i arbitrów, bądź Kościół, a to blokujący wystawienie „Klątwy", a to odrzucający lub dewastujący kolejne projekty witraży.

I przecież nie ma tu też Wyspiańskiego szalonego, bełkoczącego, składającego czasem mało komunikatywne sztuki, marne, egzaltowane, wzniosłe, lecz nieuporządkowane. Wyspiańskiego niesprawiedliwego, niecierpliwego, obrażającego się na przyjaciół, kłócącego z mecenasami, zrywającego umowy.

„Nie Paryż, tylko Kraków" – niczym deklaracja brzmi tytuł kolejnej sali, zbierającej obrazki z zagranicznych podróży i z Krakowa, gdzie osiadł – wskutek finansowego przymusu, z patriotycznego obowiązku, ze zbiegu okoliczności? Cytat, z którego zaczerpnięto tytuł sali, jest bardziej drapieżny: „tutaj nie Paryż, tylko Kraków, a Kraków stolicą dawno już być przestał. Nie ma się więc o co ludzi zdania pytać".

No tak, to już lepiej współgra z tonem listów Wyspiańskiego, gdy żalił się na krajową ciasnotę: „Ale jak tu się wyrwać poza samego siebie. Ja już byłem tego tak bliski w Paryżu, i znów zapadłem w senność w Krakowie. Ta Heimat to jest okropna. Ja się tu czuję duszony, żenowany, nieśmiały, mały, niski, za młody, młodszy – a ja o tem nie myślę, jak jestem gdzie indziej niż w Krakowie. Ja się tu myśleć po swojemu wstydzę i do tylu ludzi się zbliżam, których nie znoszę – którymi pogardzam, bo mi nie wolno myśleć ani działać po swojemu – i wciąż jestem krępowany. Chciałbym koniecznie raz wyjść poza samego siebie". (3 lutego 1896 – list do Lucjana Rydla).

eprasa.pl 13042f9ed2

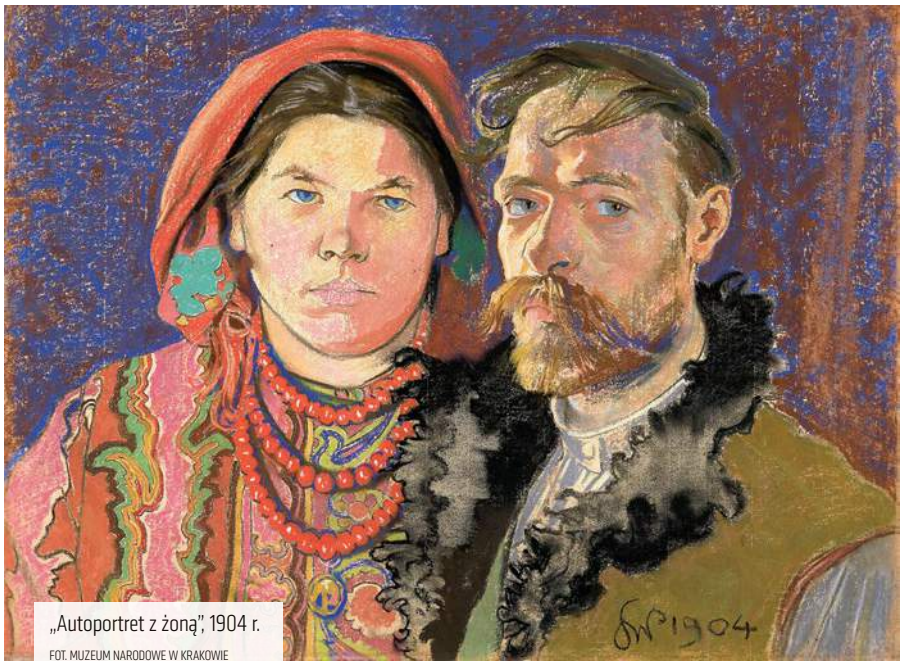

„Autoportret z żoną", 1904 r.
FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Wiele, wiele rzeczy musimy sobie dopowiadać. Owszem, wystawa ta, bardzo ascetyczna, spokojna, uładzona, niczym staranna prosta prezentacja zasobów, zestawienie poszczególnych skatalogowanych dzieł może być odpowiedzią na protesty krytyków po poprzedniej ekspozycji krakowskiego Muzeum Narodowego, gdy pod szyldem #Dziedzictwo, dokonano prawdziwie postmodernistycznego zestawienia artefaktów różnej proweniencji i artystycznej jakości, by z kociokwiku form i emanacji, wysnuwać jakiś groteskowy heroiczno-żenujący obraz rojeń naszych przodków i współczesnych. Zachwycał się tym gestem na naszych łamach Paweł Rojek, z aprobatą odczytując intencje kuratora Andrzeja Szczerskiego, choć przecież nie przekonał bardziej tradycjonalistycznie nastawionych odbiorców.

Tu – porządek. Co tylko się da, wystawione tak, by wzajem sobie nie przeszkadzało, podporządkowane temu, by można było przyjrzeć się poszczególnym dziełom. Mamy wszystko: szkice do polichromii czy witrażów, detale, przepróchy, czyli dziurkowane obrysy na kalce służące przenoszeniu szkicu fresku na ścianę. Idziemy od gabloty do gabloty, podziwiamy falki, kwiatki, liście, zielnik cały Wyspiańskiego i rzeczywiście może w tej ascezie jest jakiś pomysł na prezentację artysty.

NIEDOSYT

Ulubiony uczeń Matejki, z pietyzmem zwiedzający i opisujący zabytki zachodniej Europy, szczegółowo analizujący średniowieczne katedry, do maksimum wykorzystujący stypendium w Paryżu, później drobiazgowo odrysowujący renesansowe polichromie odkryte w krakowskim kościele Świętego Krzyża, przygotowujący się wespół z zaprzyjaźnionym jeszcze wówczas Mehofferem do renowacji kościoła Mariackiego – to wszystko dość wiernie możemy sobie odtworzyć, oglądając dziesiątki szkiców, projektów, notatek. Ale przecież gdy przechodzimy do ostatniej już sali, zatytułowanej Ars – Apollo, a prezentującej meble i wyposażenie wnętrz czy to izby lekarskiej, czy Wystawy Jubileuszowej Artystów Polskich, czy mieszkania Zofii (Zosi z „Wesela") i Tadeusza Żeleńskich, czujemy jakiś dojmujacy niedosyt, czujemy, że pochwyciliśmy ledwie powiew potężnego geniusza, ale w żadnym momencie nie daliśmy się powalić jego wizji. Zostają rozproszone projekty, pojedyncze osobne kawałki. Brakuje scalającego gestu, który by z różnych aktywności artysty wydobył mocno brzmiący akord, który by prowadził nas do czegoś więcej niż satysfakcji ze szczegółowej muzealnej kwerendy.

Wybornie, że wystawa „Wyspiański" realizowana jest w ramach państwowego projektu „Niepodległa". Słuszny jest otwierający katalog list prezydenta RP, no w końcu Stanisław Wyspiański to jeden z tych twórców, którzy wykreowali piękno polskości, którzy wymyślili Niepodległą. A jednak chciałoby się jakiejś kontrowersji, autorskiego piętna kuratorów, ostrości.

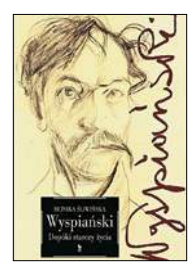

MONIKA ŚLIWIŃSKA „WYSPIAŃSKI. DOPÓKI STARCZY ŻYCIA" ISKRY 2017

I obawiam się, że z wystawą tą – imponującą, jeśli idzie o liczbę prezentowanych dzieł – może być tak jak z całym państwowym projektem „Niepodległa": mimo pozorów bogactwa w głowach wiele nie zostawi. Odbędzie się całe mnóstwo lokalnych i centralnych uroczystości, znaczek z logo będzie promował wiele szlachetnych i mądrych inicjatyw, ale żeby jakiś ton jeden z tego się wydobył, żeby coś z tego po całym tym jubileuszu zostało, żeby dało do myślenia… z tym może być trudniej.

Owszem, denerwowała mnie nieco jednostronność książki Moniki Śliwińskiej, gdy zgodnie z tytułem „Dopóki starczy życia" w drugiej części swej monografii tak bardzo skoncentrowała się na walce Wyspiańskiego z pustoszącym go syfilisem (którego – wbrew nobilitującej legendzie – nie nabawił się wcale od modelki Gauguina), że zabrakło jej miejsca na opowieść o ideach, jakimi żył i jakie forsował. Ale przecież to się świetnie czytało! I rzeczywiście praca ta, wydana przez Iskry Wiesława Uchańskiego, ożywiała postać Wyspiańskiego, pokazywała go w konfliktach, sporach, przywracała mu życie, czyniąc apetyt na starcie z tym geniuszem na polu idei i sztuki.

Artysta, który wyzwalając się spod wpływu swego mistrza Jana Matejki, odrobił paryską lekcję współczesności, tradycyjne patriotyczne wychowanie przerobił na paliwo dla nowoczesnej sztuki religijnej i narodowej, pyta dziś o magów rządzących naszą zbiorową wyobraźnią, pyta o oryginalność i ich wewnętrzną pracę nad ideą. Czy nowoczesność nie może spotkać się z myślą narodową i religijną? Czy państwo będzie wspierać tylko twórczość bezpieczną, robioną pod dyktando ideologów, czy też zaufa artystom i ich intuicjom?... Czy wreszcie i gdzie wznieci się duch, który jak Wyspiański nawiąże więź z wielkimi dziełami z przeszłości i podejmie z nimi nieanachroniczny dialog?

To są oczywiście pytania towarzyszące nie tylko lekturze książki Moniki Śliwińskiej, ale i wystawie w krakowskim muzeum. Wystawie, której odwiedzenie w roku jubileuszu odzyskania niepodległości zdaje się wręcz obowiązkowe. Może jej klarowność, ascetyczność to właśnie miejsce dla naszej aktywności?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13042f9ed2

Zmieniamy się dla Państwa

REPUBLIKA

Poniedziałek 20:05

tweetup

#TweetupRepublika

TO WY PRZEPYTUJECIE NASZYCH GOŚCI!

BEZ CENZURY

Oglądaj Telewizję Republika: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 13042f9ed2

Cały ten cyrk

Wiesław Chełminiak

Prawdziwym spadkobiercą cyrku jest kino. Nowym tego dowodem jest obecny na naszych ekranach amerykański musical „Król rozrywki”

Metafora wolności i fantazji czy zwykły kicz? „Widowisko tajemnicze i majestatyczne, wulgarne i pełne brutalnej siły” – zachwycał się Jarosław Iwaszkiewicz. Widzowie o mniej wyrafinowanym guście przychodzili do cyrku, żeby pośmiać się z klaunów, podziwiać popisy iluzjonistów, atletów i akrobatów, pożerać wzrokiem woltyżerki w obcisłych, nabijanych cekinami kostiumach i zaniemówić ze grozy, gdy treser wkładał głowę w paszczę dzikiej bestii. Dzisiaj lud ma inne rozrywki. Dzieciaki wyemigrowały do świata wirtualnego.

Wiosną 2008 r. Polsat emitował „Gwiezdny cyrk”, reklamowany jako „najdroższy show w Polsce”. Telewidzów nie porwały popisy celebrytów, jedynie piosenkarz Szymon Wydra całujący fokę stał się na chwilę bohaterem internetowych sieci. Pierwsza, ośmioodcinkowa edycja programu okazała się ostatnią. Czyżby pozostały nam już tylko wspominki o złotej epoce braci Staniewskich?

Dyrektorzy cyrków, nękani przez obrońców praw zwierząt, próbują iść z duchem czasu. Treserzy odchodzą do lamusa, zastępują ich szczudlarze. Artyści, występujący pod modnym szyldem Cirque du Soleil, obywają się bez lwów i słoni, bliższa jest im tradycja ulicznego teatru niż widowisk urządzanych pod wielkim namiotem.

NAWRÓCONA LUDOJADKA

Tytułowy bohater „Króla rozrywki” – Phineas Taylor Barnum – umarł ponad sto lat temu, lecz założony przez niego cyrk zakończył działalność dopiero w ubiegłym roku. Film ogląda się świetnie, ciągnie go w górę brawurowa kreacja Hugh Jackmana. O prawdziwym Barnumie prawie nic się z niego jednak nie dowiemy. A szkoda, gdyż biografia tego pana to wymarzony materiał na serial, i to z gatunku tych idących po bandzie.

Zanim P.T. ogłosił się królem rozrywki, zwano go księciem oszustwa. Nie wszystko, czego się tknął, zamieniało się w złoto, lecz z pewnością był geniuszem reklamy. Przypisywano mu powiedzenie o naiwnych, których nie sieją, bo sami się rodzą. Już za młodu miał awersję do uczciwej pracy. Imał się różnych zajęć, pierwsze większe pieniądze zarabiał, sprzedając losy na prywatną loterię (w Ameryce w połowie XIX w. było to jeszcze legalne). Prowadził sklep, gospodę, pensjonat, sprzedawał Biblię, redagował gazetę. Rozgłos zapewniły mu procesy o zniesławienie. Za którymś razem sąd skazał pana dziennikarza na odsiadkę, co wcale go nie zniechęciło. Wyznawał bowiem pogląd, że zła sława też przynosi profity.

W show-biznesie Barnum zadebiutował, pokazując 161-letnią (!) ślepą i bezzębną Murzynkę, śpiewającą psalmy. Wydzierżawił ją od poprzedniego właściciela za 1 tys. dol. (500 dol. musiał pożyczyć). Chcąc zwiększyć zainteresowanie

eprasa.pl 13042f9ed2

„Króla rozrywki" ogląda się świetnie, ciągnie go w górę brawurowa kreacja Hugh Jackmana FOT. MATERIAŁY PRASOWE

nowojorczyków, napisał do gazety list, w którym ostrzegał przed oszustwem, twierdząc, że rzekoma piastunka Jerzego Waszyngtona „jest zrobiona z kauczuku, kości wieloryba i ukrytych sprężyn, zaś jej głos to dzieło brzuchomówcy". Oczywiście czytelnicy zapragnęli obejrzeć to kuriozum na własne oczy. Niestety, nim minął rok, niewolnica zmarła. Lekarz przeprowadzający sekcję ocenił ją na najwyżej 80 lat. Świadkiem autopsji mógł być każdy, kto zapłacił 50 centów.

Z czasem P.T. nieco zmienił swą biznesową strategię: oprócz karłów, gigantów, grubasów, bliźniaków syjamskich i albinosów zaczął pokazywać ludziom występy magików, żonglerów oraz dzikie zwierzęta, na początek wypchane. Organizował konkursy piękności, wystawy psów i kwiatów, wabił publikę wielkim akwarium i gabinetem figur woskowych. W 1871 r. założył wędrowny cyrk pod bombastyczną nazwą: „The Greatest Show on Earth". Jedną z atrakcji tego przybytku była „dzika kobieta – ludojadka, nawrócona i wykształcona przez misjonarzy metodystów".

Nazwisko showmana z Connecticut było już wtedy powszechnie znaną marką. On sam zadbał o to, pisząc autobiografię, która sprzedała się ponoć w milionie egzemplarzy. „Czekajcie na Barnuma. Nie wydawajcie pieniędzy na inne cyrki" – głosił slogan reklamowy. Aby jego trupa sprawniej mogła przemieszczać się po kraju, kupił pociąg. Umarł jako bogaty, szanowany obywatel Bridgeport, gdzie znajduje się jego muzeum.

KUSICIELKA Z OPERY

Filmowy P.T. to wizjoner, gejzer energii, jeden z wielkich amerykańskich pionierów. W imponującym tempie przebywa drogę od przymierającego głodem sieroty w dziurawych butach do właściciela pałacu. Spełnia swoje marzenia. Niestety, potem wychodzą z niego kompleksy, zaniedbuje rodzinę – własną i tę wielką – cyrkową. Kasa to jedno, szacunek – drugie. Na salonach nie przyjmują promotora dziwolągów, pozbawionego w dodatku przesądów rasowych. Czyżby twórcy „Króla rozrywki" oglądali „Chocolat", francuską biografię czarnoskórego klauna, który na własną zgubę postanowił spoważnieć?

Jackman – Barnum chce przekonać do siebie snobów, dać im „coś prawdziwego". Sprowadza z Europy operową śpiewaczkę Jenny Lind, której głosem zachwycał się Chopin. „Szwedzki słowik" omal nie doprowadza swego impresaria do bankructwa. To na ekranie, bo w rzeczywistości P.T. zarobił na jej amerykańskim tournée krocie. Walka bohatera z pokusą zdradzenia podopiecznych i skumania się z kulturalną elitą pojawiła się w scenariuszu najpewniej z przyczyn utylitarnych. Zgodnie z regułami gatunku po serii sukcesów muszą bowiem przyjść kryzys, upadek i finałowe odrodzenie z popiołów.

Przy okazji rzekome zauroczenie Barnuma panną Lind pomaga uciec od dwuznaczności, która od początku towarzyszy jego relacji z brodatą kobietą, karzełkiem i człowiekiem żyrafą. Trudno bowiem uwierzyć, że wystawia ich na kpiny gawiedzi, by odzyskali godność (nawrócony krytyk bredzi coś o „celebracji człowieczeństwa"). Ukłony w stronę kina familijnego przybliżają „Króla rozrywki" do „Cyrku doktora Dolittle", w którym widzów raczono bezpłatną poobiednią herbatą, a dzieci dodatkowo miętowymi cukierkami, co „czyniło z niego raczej rodzinną zabawę niż handlowe przedsiębiorstwo". Swoją drogą Hugh Lofting, wymyślając show, w którym bracia mniejsi występują na arenie dobrowolnie i bez ludzkiego nadzoru, przelicytował wszystkich przyjaciół zwierząt. Także tych, którzy się jeszcze nie urodzili.

WÓDKA DLA SŁONIA

W 1903 r. w Coney Island cyrkowa słonica Topsy rozdeptała tresera, który nakarmił ją zapalonym papierosem. Wcześniej przypadkowo zabiła dwóch innych ludzi, wiec miarka się przebrała: bestię skazano na śmierć. Szczegóły egzekucji opracował sam Thomas Edison. Topsy podłączono do prądu zmiennego, jej agonię rejestrowała kamera. Wynalazca, który lansował prąd stały, miał nadzieję, że makabryczny film obrzydzi Amerykanom transformatory konkurencji.

Trzynaście lat później słonicę Mary, która dopuściła się podobnej zbrodni w stanie Tennessee, powieszono przy użyciu dźwigu kolejowego. Chyba niewielu ludzi chciałoby oglądać takie sceny w kinie. Przyzwyczailiśmy się, że poczciwe giganty są gwiazdami komedii typu „Pięć ton i on" lub w najgorszym razie melodramatów. Parę lat temu mieliśmy na ekranach „Wodę dla słoni" – ekranizację bestsellera Sary Gruen. W tytule właściwie powinna figurować wódka, bo

eprasa.pl 13042f9ed2

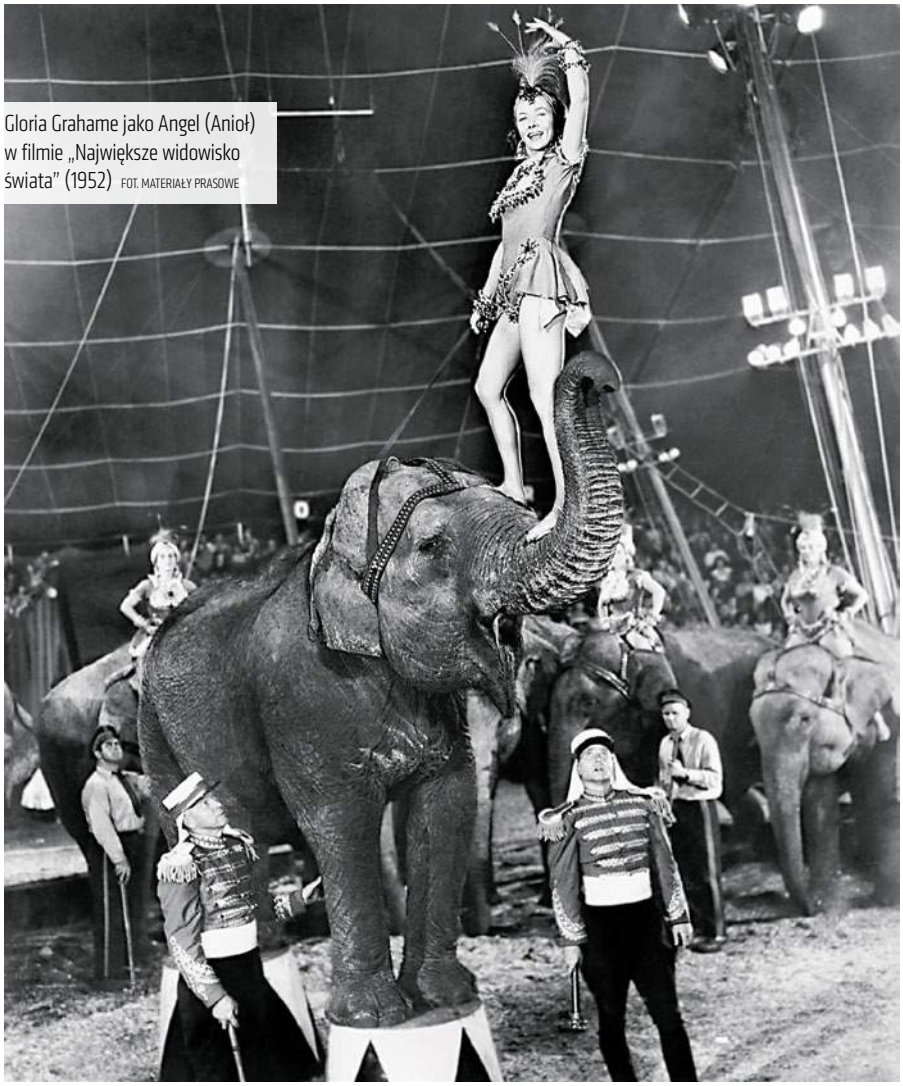

Gloria Grahame jako Angel (Anioł) w filmie „Największe widowisko świata" (1952) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ulubienica publiczności, Rosie, litrami żłopie wysokoprocentowy alkohol.

Pijaczką opiekuje się nasz rodak, student weterynarii, Jacob Jankowski z twarzą wampira Roberta Pattinsona. W wędrownym cyrku trzyma go jednak nie miłość do zwierząt, lecz do woltyżerki Marleny (Reese Witherspoon). Jej mąż August to socjopata, co jest oczywiste od pierwszego momentu, gdyż gra go Christoph Waltz. Niestety, każde z tej trójki nadaje na innych częstotliwościach. Źle dobrana obsada redukuje „Wodę dla słoni" do poziomu tuzinkowego romansidła, tyle że pięknie sfotografowanego.

KLAUN, KTÓRY STRASZY

Z kolei w „Hiszpańskim cyrku" Álexa de la Iglesii z 2010 r. dwóch klaunów rywalizuje o względy akrobatki. Jako że film jest alegorią XX-wiecznej, naznaczonej przemocą historii ojczyzny reżysera, miłość staje się tu pretekstem do nonsensownej, krwawej jatki. Do tego, że maska trefnisia skrywa przestępcę, psychopatę lub wręcz demona (patrz: „Coś" według Stephena Kinga), zdążyliśmy się już zresztą przyzwyczaić. A przecież pierwszy ze słynnych filmowych klaunów był skończonym poczciwcem. Mowa oczywiście o głównym bohaterze „Cyrku" Chaplina – włóczędze zakochanym bez wzajemności w dziewczynie ujeżdżającej konie. Chociaż rzecz ma już 90 lat i jest łabędzim śpiewem niemego kina, to nadal śmieszy i wzrusza.

Zamiłowanie dziesiątej muzy do cyrku można wytłumaczyć wspólnym, jarmarcznym rodowodem. Weźmy takiego Felliniego, który przez całe życie miał słabość do kiczu i tandety. Cyrkowe tropy w jego twórczości to nie tylko „La Strada" i „Amarcord". W 1970 r. włoski mistrz nakręcił dokument o klaunach, w którym miał zamiar obsadzić sędziwego Chaplina. Ostatecznie w epizodzie wystąpiła jego córka Wiktoria. Film był elegią na cześć umierającej sztuki, ponieważ już wtedy wydawało się, że dni cyrku są policzone.

FeFe lubił raczyć dziennikarzy wyssaną z palca opowieścią, jakoby – dzieckiem będąc – uciekł z domu, by przyłączyć się do wędrownej trupy. Dawał do zrozumienia, że zostając reżyserem filmowym, minął się z powołaniem. „Gdyby nie wynaleziono jeszcze kina, zostałbym dyrektorem cyrku, gdyż cyrk jednoczy w sobie technikę, precyzję i improwizację. Mimo przygotowań, prób i ciągłego powtarzania – w spektaklu istnieje autentyczne ryzyko, a to oznacza autentyczne życie. Cyrk daje możliwość, której nie mają inne sztuki – malarstwo albo literatura – pozwala jednocześnie żyć i tworzyć. Podobnie jak kino" – filozofował.

Bergmana, trzeciego z gigantów światowej kinematografii, takie rzeczy w ogóle nie interesowały. „Wieczór kuglarzy" to ziejąca pesymizmem wiwisekcja ludzi cyrku, którzy ranią się, poniżają, lecz żyć bez siebie nie mogą. Ot, nędza egzystencji w całej swojej krasie. Nic dziwnego, że publiczność wolała hollywoodzkie, wysokobudżetowe patrzydła, w których na wysypaną trocinami arenę wychodziły największe gwiazdy: John Wayne, Kirk Douglas, Charlton Heston, James Stewart, Tony Curtis, Rita Hayworth, Claudia Cardinale czy Gina Lollobrigida.

AKROBATA KONTRA KOWBOJ

„Największe widowisko świata" to ponoć pierwszy film, jaki obejrzał małoletni Steven Spielberg. Jego reżyser, Cecil B. DeMille, celował w fabułach większych niż życie. Do fabuły, nad którą biedziło się siedmiu scenarzystów, kazał dopisać spektakularną katastrofę kolejową. Uparł się też, by aktorzy nie wyręczali się kaskaderami, nawet jeżeli cierpią na lęk wysokości. Za wykorzystanie w tytule sloganu Barnuma producenci zapłacili 250 tys. dol., ale wydatek szybko się zwrócił. Na oscarowym ringu „Największe widowisko świata" znokautowało western „W samo południe", co dzisiaj jest uważane za kompromitującą wpadkę amerykańskiej akademii filmowej.

Krytykujący tamten werdykt prawdopodobnie nie mieli zielonego pojęcia, że pod wielkim namiotem chętnie spędzali czas Dickens, Kafka, Toulouse-Lautrec, Renoir i Picasso. Edmund Kean, okrzyknięty w wiktoriańskiej Anglii największym aktorem wszech czasów, od 15. roku życia pracował w cyrku Saundersa. Gdyby nie złamał sobie nogi podczas numeru jeździeckiego, raczej nie zostałby specjalistą

eprasa.pl 13042f9ed2

od Szekspira. Tom Mix – pierwszy ekranowy kowboj – ożenił się z trapezistką i skończył jako dyrektor cyrku. Na arenie debiutowali liczni filmowi komicy. Burt Lancaster – gwiazdor „Trapezu" z 1956 r. za młodu był akrobatą, zaś Karol Strasburger cyrkowym konferansjerem.

Skoro mowa o Polakach (tych prawdziwych, a nie udawanych tak jak w filmie „Woda dla słoni"), to warto wspomnieć o „Zygfrydzie", opowiadaniu Iwaszkiewicza z 1936 r. Tytułowy akrobata, piękny jak anioł, poznaje podstarzałego erudytę, co fatalnie wpływa na jego pracę. Zamiast ćwiczyć salta, pochłania książki i zastanawia się nad sensem istnienia. Tekst już po śmierci pisarza przeniósł na ekran debiutant Andrzej Domalik, eksponując wątek homoseksualny, którego w oryginale – jako żywo – nie było.

SZTUKA USZCZĘŚLIWIANIA

Rok po „Zygfrydzie" Krzysztof Wierzbiański nakręcił film „Cyrk odjeżdża". Tutaj dramaturgiczną osią był konflikt opiekuna lwów (Marian Kociniak) i tresera koni (Adam Ferency). Jednak najlepszym portretem cyrkowego mikrokosmosu do dziś pozostaje „Dom bez okien" – debiut Stanisława Jędryki z 1962 r., według scenariusza Aleksandra Ścibora-Rylskiego. Zderzenie weteranów z młodym ambitnym mimem parodystą dało pierwszorzędny efekt dramaturgiczny. Wiesław Gołas nigdy nie wykorzystał lepiej swojej licencji na rozśmieszanie, w dodatku za adwersarzy miał Fijewskiego, Świderskiego, Szaflarską, Bielicką, Czyżewską i Kondrata seniora.

Dekadę później komiksowy kapitan Żbik demaskował gang akrobatów, ukrytych pod ptasimi pseudonimami. Cyrk jako przechowalnia przestępców i szpiegów? Nic nowego pod słońcem. Już Arthur Conan Doyle popełnił opowiadanie „Lokatorka w woalce", w którym lew wydostał się z klatki i zagryzł tresera. Tym razem Sherlock Holmes nie musiał rozwiązywać zagadki; wystarczyło, że wysłuchał spowiedzi małżonki. U innego klasyka kryminału, Alistaira MacLeana jedyną nadzieją CIA na wykradzenie komunistom planów nowej broni był linoskoczek, uciekinier zza żelaznej kurtyny. Wydawało się, że to typowa mission impossible, lecz nasz bohater – z niewielką pomocą kolegów – ośmieszył wraże służby specjalne, zdobywając przy okazji serce pięknej agentki.

Z tej pobieżnej wyliczanki można wyciągnąć tylko jeden wniosek: cyrk to temat rzeka. Wchłonie każdego, nawet Jamesa Bonda rozbrajającego w stroju klauna bombę atomową („Ośmiorniczka") i rockmanów z U2, opiewających uczucie karła do trapezistki (teledysk „All I Want Is You"). Uwiarygodni komedie, melodramaty, dreszczowce i horrory. Te ostatnie nie wzięły się znikąd – Barnum i jemu podobni w pogoni za zyskiem stosowali praktyki, które już wtedy uchodziły za odrażające (patrz: „Dziwolągi" Toda Browninga i „Człowiek słoń" Davida Lyncha). Cyrk może być nawet miejscem pseudoreligijnych objawień, tak jak w serialu HBO „Carnivàle".

Na tym tle „Król rozrywki" jest dziełem uroczo staroświeckim, apoteozą człowieka, który zrobił karierę, lecz pozostał bezgrzeszny. Prawdziwy P.T. z pewnością uznałby ten wizerunek za prawdziwy. Pogardliwych uwag o frajerach na starość się wypierał, autoryzował natomiast wiele myśli bogobojnych i lirycznych. Na przykład: „Sztuka uszczęśliwiania ludzi jest najszlachetniejszą ze sztuk".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Prestige MJM 10 lat · Multimedia Organisation · DoubleTree by Hilton Kraków Hotel & Convention Center · Zet radio · wprost · Do Rzeczy · Glamour · Gazeta Bankowa · T3 · onet · pap · cgm.pl · jazz radio · Multikino · empik · Press Service · Vixon

eprasa.pl 13042f9ed2

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Tajemnica starego strychu

★★★☆☆☆
REŻ. ROBERT WICHROWSKI
„SYN KRÓLOWEJ ŚNIEGU"
POLSKA 2017

wyst. Michalina Olszańska, Maciej Bożek, Rafał Fudalej

Są rzeczy na niebie i ziemi, które wyjaśnić trudno. Co sprawiło, że reżyser telewizyjnych seriali oraz zamulającej komedii „Francuski numer" w wieku dojrzałym postanowił wstać z kolan i nakręcić okrutną baśń w stylu Hansa Christiana Andersena? I przy okazji sponiewierać wizerunek Poznania, który i tak wielu Polakom kojarzy się ze słowikami oraz bp. Paetzem?

Życie małego Marcina jest smutne, choć on sam nie do końca zdaje sobie z tego sprawę. W przedszkolu rówieśnicy dają mu popalić, bo jest rachitycznym okularnikiem. Matkę widuje od wielkiego dzwonu. Anna, by związać koniec z końcem, pracuje na dwie zmiany jako kelnerka i sprzątaczka w centrum handlowym. Wieczorami baluje do upadłego, najwyraźniej sfrustrowana brakiem perspektyw i nadmiarem obowiązków.

Pytana o ojca Marcina dziewczyna gubi się w zeznaniach. Każdemu przedstawia inną wersję. Według pierwszej luby zginął w wypadku samochodowym, według drugiej – jest szanowanym obywatelem, który ma własną rodzinę i najmłodszego potomka znać nie chce. Najbardziej hardcore'owe jest tłumaczenie trzecie: jako nastolatka została zgwałcona. To tłumaczyłoby deficyt instynktu macierzyńskiego, choć jak na osobę skrzywdzoną Anna dziwnie chętnie lgnie do facetów. Czyżby masochistka?

O względy „królowej śniegu" zabiega Kamil, z urody przypominający młodego Bogusława Lindę (choć ten nie dałby sobą pomiatać nawet złej kobiecie). Daremnie jego matka przekonuje, że „ta dziewczyna to chodzące zło". Chłopak ma poważne zamiary, lecz do roli ojca zastępczego musiałby jeszcze trochę dorosnąć. Na razie najwięcej serca okazują Marcinowi emeryci. 90-letni Franciszek Pieczka i Anna Seniuk w gruncie rzeczy grają w innym filmie niż reszta obsady.

Reżyser zręcznie zagrał na sentymentach widzów (na ekranie pojawia się również Ewa Szykulska), lecz buszując na pograniczu realizmu i okrutnej baśni, zgubił drogę i zaplątał się w krzaki jeżyn. Kontrast sielskiego ogródka z modelami słynnych budowli i „magicznego" strychu, przypominającego magazyn rekwizytów teatralnych z brutalnymi scenami porno, jest zbyt dojmujący. Po co twórcy ustami najsympatyczniejszej ekranowej postaci zapewniają, że każdy los można odmienić, skoro od pierwszych scen wiadomo, iż ta historia dobrze skończyć się nie może?

Fabuły o niekochanych dzieciach i nieczułych rodzicach były drzewiej mocną stroną naszej kinematografii. Żeby wytrzymać porównanie z Januszem Nasfeterem, Wichrowski musiałby więcej wymagać od aktorów i samego siebie. To prawda, że na początku był chaos. Czy jednak musi być on też w środku i na końcu? ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „CZAS MROKU"

Złoty Glob dla Gary'ego Oldmana za rolę Winstona Churchilla, a w fotelu reżysera Joe Wright, twórca „Pokuty", „Dumy i uprzedzenia" oraz intrygującej ekranizacji „Anny Kareniny". „Czas mroku" to opowieść o tym momencie historii, kiedy hitlerowskie Niemcy wydawały się nie do zatrzymania, a Wielka Brytania skłaniała się raczej ku negocjacjom z dyktatorem niż ku wojnie. Od decyzji, którą drogą pójdzie nowy premier, mógł zależeć los wolnego świata. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Czas mroku" („Darkest Hour"), reż. Joe Wright, wyst. Gary Oldman, Lily James, Kristin Scott Thomas, Wielka Brytania 2017***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Wszystkie pieniądze świata", reż. Ridley Scott, USA 2017***
- ***„Więzień labiryntu: Lek na śmierć", reż. Wes Ball, USA 2018***
- ***„Księżyc Jowisza", reż. Kornel Mundruczó, Węgry 2017***
- ***„Podatek od miłości", reż. Bartłomiej Ignaciuk, Polska 2018***

eprasa.pl 13042f9ed2

Pociąg do nonsensu

Liam Neeson z postury przypomina Johna Wayne'a i podobnie jak on gra zwykle tę samą postać: twardziela o miękkim sercu. „The Duke" na starość nie rozmienił się na drobne. Czy irlandzki aktor za kilka lat będzie mógł o sobie powiedzieć to samo?

„Pasażer" nie wnosi do ekranowego wizerunku Neesona niczego nowego. Jest tu agentem ubezpieczeniowym, który odszedł z policji, by mieć czas dla rodziny, za którą dałby się pokroić na plasterki. Z trudem wiąże koniec z końcem, tymczasem pewnego pięknego dnia zostaje wylany z pracy. Gdy załamany wraca do domu podmiejską kolejką, jakaś kobieta składa mu propozycję nie do odrzucenia: za 100 tys. dol. ma namierzyć jednego z podróżnych. Ciąg dalszy łatwo sobie dośpiewać.

Neesonowi wypsnęło się, że „Pasażer" to thriller w stylu Hitchcocka, lecz porównanie z „Nieznajomymi z pociągu" wypada dlań druzgocąco. Dożyliśmy czasów, gdy graficy komputerowi mają decydujący wpływ na kształt filmu. Technologiczna bariera, która podcinała skrzydła specom od efektownego mordobicia i rozwałek, padła. Pokazać można wszystko, trudniej wytłumaczyć, dlaczego organizacja, mająca nieograniczone możliwości wynajmuje amatorów i jakim cudem człowiek u progu emerytury zachował moc Herkulesa oraz odporność Terminatora. Liam, przesadziłeś! ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. JAUME COLLET-SERRA
„PASAŻER" („THE COMMUTER")
FRANCJA/WIELKA BRYTANIA/ USA 2018

wyst. Liam Neeson, Patrick Wilson, Vera Farmiga

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZIMA NADESZŁA

Tylko siedem odcinków – tyle tym razem musiało wystarczyć fanom za cały sezon, ale waga wydarzeń, których byli świadkami, wynagrodziła tę wadę z naddatkiem. Już w pierwszym odcinku dochodzi do długo wyczekiwanego momentu: Daenerys, Matka Smoków, przybywa do Westeros na czele armii Dothraków. Tymczasem na dalekiej północy armia umarłych zbliża się do Muru. Spory między najważniejszymi rodami wymyślonej przez George'a R.R. Martina krainy powinny w obliczu tych zagrożeń stracić na znaczeniu, ale polityka rządzi się swoimi prawami. Akcja serialu już dawno wyszła poza wydarzenia znane z opublikowanych dotąd powieści serii, każdy epizod przynosi więc zaskoczenia i kolejne rewelacje. Bohaterów pożegnamy zaś w momencie, kiedy wielkie starcie lodu i ognia wydaje się już nieuniknione. Sezon ósmy będzie ostatni (tak zapowiadają producenci), oby nieco dłuższy. ©℗

★★★★★☆

SEZON 7
„GRA O TRON" („GAME OF THRONES")
USA 2017, GALAPAGOS

wyst. Kit Harington, Emilia Clarke, Peter Dinklage, Lena Headey

GORZKIE ŚMIESZNE ŻALE

To nie lekka francuska komedyjka, lecz ironiczny dramat z elementami komediowymi. 43-letni aktor słyszy od młodej aktorki, że wypadł z listy gwiazdorów, z którymi jej koleżanki poszłyby do łóżka. To wywołuje w nim bunt, który z początku przejawia się idiotycznie, a potem zaczyna robić się niebezpieczny. Wszystko po to, by przekonać świat, że wciąż jest rockandrollowy. Ponura powieść o kulcie młodości obowiązującym w show-biznesie, a także o kłopotach z akceptacją konsekwencji upływu lat. A jednocześnie zabawa konwencją i kpina środowiskowa, bo aktorzy grają tu samych siebie pod własnymi nazwiskami, a wyrzucony z biura Guillaume Canet (jest reżyserem i scenarzystą oraz gra główną rolę) zabiera pod pachą reklamy własnych filmów sprzed lat. Dostaje się tu wszystkim: kiepskim reżyserom, głupiutkim młodym gwiazdkom, rozkapryszonej laureatce Oscara, a przede wszystkim bohaterowi, sfrustrowanemu panu w średnim wieku. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★★☆☆☆

REŻ. GUILLAUME CANET
„FACET DO WYMIANY" („ROCK'N'ROLL")
FRANCJA 2017, KINO ŚWIAT

wyst. Guillaume Canet, Marion Cotillard, Philippe Lefebvre

GRA TYGODNIA: „CRASH BANDICOOT N. SANE TRILOGY"

★★★★★☆

Chyba każdy gracz, którego dzieciństwo przypadało na lata 90., a pierwszą jego konsolą było PlayStation, pamięta tego zakręconego lisa. Trylogia Crasha Bandicoota urosła w Polsce do miana legendy platformówek. Trudne i zróżnicowane poziomy, poczucie humoru, szaleńcze tempo. Wraz z modą na nostalgiczne powroty idoli dzieciństwa wraca również „Crash". Z całą, zrobioną zupełnie od podstaw i uwspółcześnioną serią w komplecie. Chyba właśnie za to należą się największe pochwały dla studia Vicarious. Nikt tutaj nie idzie na skróty – poziom po poziomie projektując od podstaw, tak aby zachować ducha oryginału. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *TPP*
- ***Platforma:*** *PS4*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Vicarious Visions/CDP*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *7+*

eprasa.pl 13042f9ed2

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zdziwienia Miłosza

Przypomniał mi się Czesław Miłosz, a to za sprawą ciekawego szkicu Marka Kornata pomieszczonego w wydanej przez krakowski Ośrodek Myśli Politycznej pracy zbiorowej „Literatura i polityka po 1989 roku". Autor, znany specjalista od Miłosza, edytor jego listów, zwraca uwagę, że noblista nigdy nie był bezstronny w licznych sporach o publiczne sprawy narodu i państwa. Dominował w nich problem stosunku do PRL, w kontekście którego Kornat przypomina pamiętną opowieść Zbigniewa Herberta o tym, jak w końcu lat 60. w Ameryce autor „Zniewolonego umysłu" miał stwierdzić, że ów PRL należałoby przyłączyć do Związku Sowieckiego.

Herbert napisał potem wiersz „Chodasiewicz". O Miłoszu i nie o Miłoszu. Tak to m.in. szło:

był hybrydą w której wszystko się
telepie
duch i ciało góra z dołem raz marksista
raz katolik
chłop i baba a w dodatku pół Rosjanin
a pół Polak

Na początku i na końcu jego sztuki jest
zdziwienie
że urodził się że zaistniał Chodasiewicz
pod gwiazdami
gorzej było już z innymi zdziwieniami
z tożsamością ze wspólnotą
z korzeniami
sam nie wiedział kim był –
Chodasiewicz
i przez wszechświat od narodzin aż do
zgonu
na wzburzonej fali płynął na kształt
glonu
[...]
Wreszcie umarł Chodasiewicz w jakimś
stanie Oregonie
za górami za lasami całkiem umarł
i ogarnął jego ciało silne wielki
tuman

jego rechot rymowany zza obłoków.

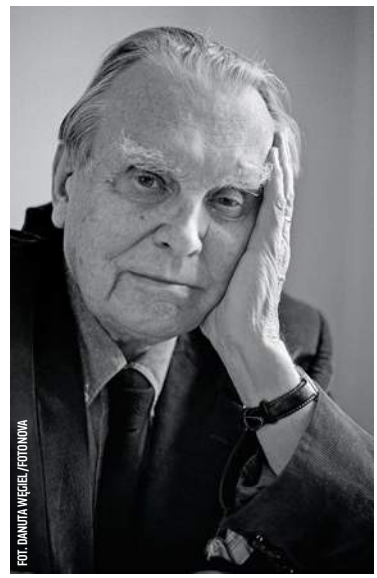

FOT. DANUTA WĘGIEL/FOTONOVA

Ktoś powie: ależ ten złośliwy utwór wcale nie traktował o nobliście z 1980 r.! Pewnie – Miłosz umarł przecież w 2004 r. w Krakowie, nie w amerykańskim Oregonie. No tak, tego Herbert piszący „Chodasiewicza" 12 lat wcześniej nie mógł wiedzieć. Tego i tylko tego.

Jakoś tak po napisaniu przez Miłosza, nagrodzonego niebawem nagrodą Nike, „Pieska przydrożnego" pojechałem w 1997 r. do poety do Krakowa i w przeprowadzonym dla „Rzeczpospolitej" wywiadzie spytałem go o zawartą w tej książce poruszającą historię pisarza, którego kolega przesiedział 16 lat w sowieckich łagrach i kopalniach. Kończyła się ona słowami: „Tylko z pamięci o więźniach Workuty mogła pochodzić nieomylna miara różnicy pomiędzy dobrem i złem, a kto jej się trzymał, groźniejszy był dla państwa-potwora niż pułki i armie". – Czy pisał pan o sobie? – zapytałem.

– Ten tekst pt. „Zadra" jest minipowieścią, jednym z „tematów do odstąpienia" – odpowiedział. – Jak w każdej fikcji mamy tu do czynienia z tworzeniem postaci. To jestem ja i nie ja.

– Ale czuje pan pokrewieństwo z postacią tego pisarza? – drążyłem sprawę.

– No, naturalnie. Ta zadra jest moja.

Tych zadr było znacznie więcej. A dotyczyły m.in. – co wylicza Marek Kornat – rzekomej antypolityczności poety, związku jego Nobla z powstaniem Solidarności, stosunku do Wałęsy. I tak dalej, i tak dalej... W wywiadzie, który wspominam, Miłosz fantazjował również: „Od 1989 roku starałem się ostrzegać przed tymi pomyjami, które idą z Zachodu, i próbowałem znaleźć jakiś opór przeciw tej fali. [...] Od początku chodziło mi o to, że po doświadczeniach ostatniego półwiecza nasza część Europy może mieć wyczucie wagi problemów, stylów, idei. Początkowo byłem optymistą w tej kwestii, ale to, co stało się w Jugosławii, przytarło mi rogów. W każdym razie moim marzeniem byłoby ustalenie pewnej hierarchii wartości, co w sposób naturalny eliminowałoby rozmaite głupstwa, które do nas przenikają, np. jako mody literackie, łącznie z tym okropnym postmodernizmem". Jakoś słabo pamiętam filipiki noblisty skierowane przeciw rodzimym i obcym postmodernistom.

Marek Kornat swój esej „Czesław Miłosz w III Rzeczypospolitej" kończy tak: „Miłosz zmarł latem 2004 r. jako 93-letni starzec, a więc tuż przed pamiętnym rokiem 2005, którego jesień przyniosła poważne zmiany polityczne w Polsce. Postkomunizm został poważnie osłabiony. Rozpoczęła się jednak swoista »wojna polsko-polska«, która nabrała dynamiki w roku 2010 i wciąż trwa. Jak poeta zachowałby się w tych realiach – jest z pewnością frapującym pytaniem".

Co do mnie, to wydaje mi się ono, także w kontekście tego, co napisał Kornat, raczej retoryczne. Niestety. ©℗

★★★☆☆☆

POD REDAKCJĄ RAFAŁA ŁATKI I MACIEJA URBANOWSKIEGO „LITERATURA I POLITYKA PO 1989 ROKU" OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ 2017

eprasa.pl 13042f9ed2

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Osobno lepiej

Rozmowy autobiograficzne o świecie i sztuce" – czytamy w podtytule. A z kim to rozmowy? A z samym sobą, z pamięcią. I polemiki ze światem współczesnej kultury, wobec którego Lech Majewski nie kryje rozczarowania. „Kino przekroczyło możliwości literatury" – zauważa z entuzjazmem, ale zaraz z goryczą dodaje, że robi z tych możliwości niewłaściwy użytek. „Technologia została zaprzęgnięta do powozu pełnego dzieci. Stąd popkultura epatująca montażową sieczką i takim nagromadzeniem efektów specjalnych, że zaczynają pożerać same siebie, stają się wizualną pornografią".

Filmy Majewskiego stoją na przeciwległym biegunie. Kto widział niesamowity, wizjonerski „Młyn i krzyż", ten najlepiej wie, o czym mowa. Ta ostentacyjna osobność zdobywa polskiemu artyście rzesze fanów w wielu krajach świata (któż jeszcze może pochwalić się wystawą w nowojorskim Museum of Modern Art i dystrybucją filmów w ponad 70 krajach), ale nad Wisłą panuje wokół jego dorobku dziwne milczenie. Dla tzw. salonów jest niewygodny, bo zamiast wraz z nimi rozwalać w drzazgi dorobek kultury europejskiej woli być tej kultury kustoszem, admiratorem i ambasadorem i zamiast słowa „dekonstrukcja" używa słowa „sacrum". Jest o tym dużo w książce „Pejzaż intymny".

Prawa strona po okresie wychwalania dorobku Majewskiego jako „swojego" (Nagroda im. Lecha Kaczyńskiego w roku 2012, wręczona podczas kongresu Polska Wielki Projekt) trochę w pochwałach umilkła, jakby miała za złe, że mierząc się z traumą smoleńską, Majewski nakręcił coś tak nietypowego i wymagającego w odbiorze jak „Onirica. Psie Pole", zamiast czegoś tak jednoznacznego jak „Smoleńsk" Antoniego Krauzego. Majewski więc pozostał sam, na uboczu, ale on lubi to miejsce. Po komercyjnym sukcesie „Więźnia Rio" odrzucał propozycje z Hollywood. „Mogę robić jedynie to, co mnie interesuje i co wymaga pokory, małych budżetów i podróży drugą klasą. Ale to mała cena za możliwość realizowania samego siebie. Za bycie wolnym".

Jego nowa książka to także zbiór niezwykłych wspomnień – spotkanie z Antonionim, zadurzenie w Wenecji, opowieść o pewnej filmowej scenie, nad którą praca trwała półtora roku, i osobisty komentarz do napisanych książek oraz niezrealizowanych scenariuszy. Ale przede wszystkim to list z zapomnianej krainy piękna. Bo „ludzie potrzebują dzisiaj piękna jak koła ratunkowego" – rzecze Majewski. ©℗

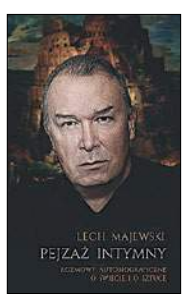

★★★★★★
LECH MAJEWSKI „PEJZAŻ INTYMNY" REBIS 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Bohater książki to generał SS, przyjaciel Himmlera i Hansa Franka, założyciel dywizji SS-Galizien. I koneser sztuki, który zagrabił bezcenne dzieła ze zbiorów muzeów w Krakowie i we Lwowie. Autorka ujawnia, co stało się z jego łupami.

MAGDALENA OGÓREK „LISTA WÄCHTERA" ZONA ZERO

Nie tylko Łysenko i jego teorie, nie tylko esej Stalina o językoznawstwie – relacje tyrana ze światem nauki były dużo szersze i bardziej skomplikowane. Fascynująca historia i o tych, którzy byli ofiarami, i o gorliwych wyznawcach.

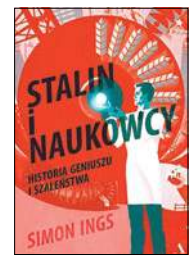

SIMON INGS „STALIN I NAUKOWCY" AGORA

Trzydziesty siódmy tom słynnej serii komiksowej, kontynuowanej po śmierci duetu Uderzo-Goscinny przez nowych autorów. Dzielni Galowie biorą udział w wiodącym przez całą Italię wyścigu rydwanów. U ich boku – m.in. Sarmaci.

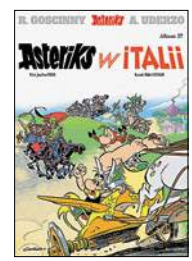

JEAN-YVES FERRI, DIDIER CONRAD „ASTERIX W ITALII" EGMONT

To już 12. tom serii kryminalnej rozpoczętej „Kolekcjonerem kości". Lincoln Rhyme i Amelia Sachs powracają, by zmierzyć się z zamachowcem wykorzystującym w aktach terroru urządzenia codziennego użytku. ©℗

poleca Piotr Gociek

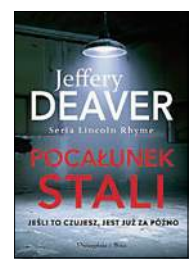

JEFFERY DEAVER „POCAŁUNEK STALI" PRÓSZYŃSKI

NAJLEPSZE KSIĄŻKI HISTORYCZNE DRUGIEJ POŁOWY 2017 R.:

Wybór jury:
Zygmunt Klukowski „Zamojszczyzna 1918–1959" (Ośrodek Karta)
Anthony Everitt „Chwała Aten" (Dom Wydawniczy Rebis)
Edward N. Luttwak „Zamach stanu. Podręcznik" (PWN)

Wybór czytelników:
John A. Kent „Polacy są najlepsi" (Bellona)
Praca zbiorowa „Czas ziemiaństwa" (Ośrodek Karta)
Krzysztof Mital „Powstanie warszawskie. Pierwsze dni" (Meandry)

(Konkurs i plebiscyt na najlepszą książkę historyczną „Historia zebrana" jest od 2011 r. organizowany przez redakcję portalu historycznego Histmag.org oraz wortalu literackiego Granice.pl).

eprasa.pl 13042f9ed2

KAROLINA MARCHLEWSKA-TRZMIEL

ZAKAZANE MELODIE

Muzyczni strażnicy pamięci

Proszę sobie wyobrazić, że słuchają państwo dramatycznych relacji mieszkańców Warszawy z czasów wojny: rozrywający huk nalotów, spadających bomb, ucieczek na zgliszczach miasta, potwornego głodu czy niewoli, a także niegasnącej nadziei o wolnej i dumnej, ukochanej ojczyźnie. A te wszystkie przeżycia bez ani jednego słowa, wypowiedziane samymi dźwiękami, bo choć płyta „39'45" nie jest wypełniona utworami z założenia programowymi, to kompozycje te siłą i duchem samej muzyki odzwierciedlają oraz wyrażają czas, miejsce i okoliczności swojego powstania.

Na pierwszej płycie serii symbolicznie nazwanej „39'45", poświęconej polskiej muzyce wojennej i okołowojennej, nagranej przez orkiestrę Sinfonia Varsovia pod dyrekcją Jerzego Maksymiuka i Renato Rivolty, możemy usłyszeć utwory Witolda Lutosławskiego, Aleksandra Tansmana, Karola Rathausa i Andrzeja Panufnika – naznaczone wojną, ale nie zawsze pisane w samej okupowanej Polsce. Druga zaś część serii to już prawdziwy muzyczny pamiętnik z okupacji. Jak inaczej bowiem nazwać „Uwerturę na orkiestrę symfoniczną" Grażyny Bacewicz, skomponowaną w 1943 r. w okupowanej Warszawie, muzykę pełną gadatliwości, wirującego pędu i woli życia, jeśli wspomni się dramatyczną ucieczkę rodziny Bacewiczów przed nalotem niemieckich bombowców nad Garwolinem, udaną tylko dzięki intuicji młodej kompozytorki? Albo utwór „Pietà. Na zgliszczach Warszawy: fragment dramatyczny na orkiestrę symfoniczną" (1942, 1944) Lubomira Różyckiego w nawiązującej do marsza żałobnego z „Sonaty b-moll op. 35" Fryderyka Chopina w tonacji b-moll? Dwie pozostałe kompozycje – zarówno „Koncert na orkiestrę smyczkową" (1943) Tadeusza Zygfryda Kasserna, ukrywającego swe żydowskie pochodzenie oraz uciekającego przed prześladowaniem, jak i „Koncert na orkiestrę kameralną" (1944) Stefana Kisielewskiego – oddzielonego od rodziny i z trudem utrzymującego się z kawiarnianej gry w okupowanej Warszawie – są same w sobie ucieczką od strasznych przeżyć – muzycznym katharsis.

Siła tej muzyki polega jednak na czymś więcej. Zakazana przez Niemców, komponowana i wykonywana potajemnie, dla Polaków była świadectwem zwycięstwa polskiego ducha nad okupantem. Z tym większym wzruszeniem jako warszawska pianistka gorąco ją państwu polecam. ©℗

★★★★★★
SINFONIA VARSOVIA, RENATO RIVOLTA – DYRYGENT „39'45" VOL. 2 WARNER CLASSICS 2017

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Porywający powrót mistrza Seiferta

Atom String Quartet złożył w ubiegłym roku na albumie „Seifert" hołd genialnemu skrzypkowi. Teraz dostajemy oryginalne nagrania krakowskiego jazzmana.

Pierwsza z płyt zawiera solowy koncert Seiferta dla Radia Bremen z maja 1976 r. Niewiele wcześniej muzyk dowiedział się, że ma nowotwór. Zmarł niecałe trzy lata później. Możliwe, że świadomość choroby wpłynęła na intensywność występu. Gra Seiferta jest nie tylko porywająca, przesycona wielkimi emocjami, lecz także same kompozycje są wysokich lotów. On sam twierdził, że był to jego najlepszy koncert.

Nagrania z drugiego albumu zostały zarejestrowane cztery miesiące wcześniej w Szwajcarii. Skład Variospheres tworzyli: Szwajcar, Niemiec oraz Polacy. W programie koncertu znalazły się utwory utrzymane w coltrane'owskiej tradycji. Dwa z nich trafią na debiutancki album skrzypka „Man of the Light", który utoruje mu drogę do USA. Kwartet gra wyśmienicie. Pianista Michel Herr jest doskonałym partnerem dla lidera, a basista Hans Hartmann wraz z perkusistą Januszem Stefańskim unosi całość kilka stóp nad ziemię. A sam Seifert? To po prostu geniusz. ©℗

★★★★★★
ZBIGNIEW SEIFERT/ VARIOSPHERES „SOLO VIOLIN"/ „LIVE IN SOLOTHURN" ZBIGNIEW SEIFERT FOUNDATION

★★★★★☆
LEONARD COHEN „KSIĘGA MIŁOSIERDZIA" REBIS

Pięćdziesiąt psalmów wydanych oryginalnie w 1984 r. trafia po raz pierwszy na polski rynek. Poetyckich przekładów dokonał Daniel Wyszogrodzki, który wcześniej przetłumaczył „Księgę tęsknoty". ©℗

★★★★☆☆
MAREK AŁASZEWSKI/KLAN „CHMURA NAD MIASTEM" GAD

Zbiór niepublikowanych nagrań solowych i zarejestrowanych z Klanem w latach 1972–1994. Od psychodelicznego rocka, przez urokliwe ballady, do... rapu. Ciekawostką jest „Chwila nadziei", wspólne dzieło Ałaszewskiego i Waglewskiego z 1982 r. ©℗

eprasa.pl 13042f9ed2

NIEZAPOMNIANY
KONCERT
Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...
2018 rokiem Zbigniewa Herberta
16 MARCA
WROCŁAW
NARODOWE
FORUM MUZYKI
PLAC WOLNOŚCI 1
GODZINA 20.00
WYSTĄPIĄ M.IN.
RENATA PRZEMYK
OLA GINTROWSKA
KRZYSZTOF KILJAŃSKI
MATEUSZ ZIÓŁKO
ADAM SZERSZEŃ
RAFAŁ BARTMIŃSKI
KRZYSZTOF NAPIÓRKOWSKI
I INNI
ORAZ
ORKIESTRA NFM
FILHARMONII
WROCŁAWSKIEJ
POD BATUTĄ
JANA STOKŁOSY
BILETY DO NABYCIA | W kasach Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu. Kasa czynna od poniedziałku do piątku w godzinach 11:00–18:00
REZERWACJA BILETÓW | Rezerwacji biletów można dokonać telefonicznie od poniedziałku do piątku w godzinach 9:00–17:00 oraz w soboty w godzinach 15:00–20:30 pod numerem telefonu: +48 71 715 97 00. Rezerwacji można dokonać także e-mailowo pod adresem: rezerwacje@nfm.wroclaw.pl.
REZERWACJA ONLINE
WWW.NFM.WROCLAW.PL | BILETY.NFM.WROCLAW.PL

MECENAT KONCERTU

centrum historii zajezdnia

Ośrodek Pamięć i Przyszłość

WSPÓŁORGANIZATOR

Wrocław the meeting place

PATRONI MEDIALNI

wprost

Do Rzeczy

Gazeta Wrocławska

TVP 1

eprasa.pl 13042f9ed2

Ten najgorszy na świecie kraj

Ewa Polak-Pałkiewicz

Bycie politykiem katolickim, człowiekiem zasad to coś przeciwnego do systemu wartości rządzących UE. Ta różnica zakorzeniona jest w reformacji

Diagnoza polityczno-socjologiczna sytuacji w europarlamencie, której dokonał prof. Zdzisław Krasnodębski („Déjà vu", „Do Rzeczy", 7 stycznia 2018 r.), przekonuje klarownością ocen i przywoływanych kryteriów, ale zarazem tchnie nastrojem z lekka apokaliptycznym. Czytelnik pozostaje po lekturze sam na sam z pytaniem – dlaczego Unia, tak upragniona i wyczekiwana przez nas jeszcze dwadzieścia kilka lat temu, jawi się dzisiaj oczom przeciętnego Polaka jako panopticum. A przecież tak niedawno byliśmy oczarowani perspektywą „dołączenia do Zachodu" – nazywanego także „powrotem" na nasze naturalne, odebrane nam niesprawiedliwie miejsce. Co się wydarzyło? Dlaczego nie dostrzegaliśmy symptomów nadciągającego kryzysu? Czy to, z czym mamy dziś do czynienia – borykając się nie tylko z medialną, lecz także polityczną agresją, z perspektywą sankcji za to, że chcemy mieć normalnie funkcjonujące, bezpieczne, praworządne państwo – to kwestia tylko niewypłukanych z umysłów resztek, a wręcz złogów marksizmu, dobrze zakotwiczonych w liberalnej mentalności pewnej hałaśliwej i ustosunkowanej części zachodniego społeczeństwa?

W tym miejscu należałoby postawić pytanie, z czego wyrasta koncepcja władzy międzynarodowej, przyświecająca trzęsącym dziś naszym kontynentem menedżerom, jego faktycznym gospodarzom. Na czym opierają swój autorytet? Jaka jest filozofia władzy zarządzających Unią, która nawet średnio zorientowanemu obserwatorowi z Polski, który ocalił jednak swój zdrowy rozsądek, przypomina coraz bardziej paradę komiksowych błaznów? Gdzie podziało się zabieganie o dobro wspólne zjednoczonej – chrześcijańskiej przecież – Europy, które przyświecało jej założycielom, żarliwym katolikom, Konradowi Adenauerowi, Alcide de Gasperiemu i Robertowi Schumanowi, połączonym wspólną wizją, nawiązującą do średniowiecznej christianitas? I czy polscy politycy z PiS, którzy próbują wraz z przyjaciółmi z Węgier i kilkoma innymi krajami przywrócić tę równię pochyłą do stanu równowagi, będą mogli stać się w rezultacie także obrońcami fundamentalnych prawd i wolności, na jakich zbudowana została nasza cywilizacja? Czy zostaną współczesnymi Karolami Młotami, Szymonami z Montfort i Janami III Sobieskimi?

Coraz wyraźniej widać, że będzie to możliwe nie tylko przy wyjątkowej zręczności, a wręcz wirtuozerii politycznej, lecz także wtedy, gdy uda im się przywrócić sens i znaczenie podstawowym pojęciom, do jakich odwoływały się kultura i cywilizacja Europy. To historyczny fakt, że europejska wspól-

eprasa.pl 13042f9ed2

FOT. FOTOLIA

nota tożsamości, kultury i cywilizacji rozpadła się za sprawą reformacji, a potem nacjonalizmu, będącego także rodzajem herezji, zrodzonego w epoce oświecenia.

Państwa połączone niegdyś religią chrześcijańską zaczęły występować jedne przeciw drugim w krwawych, wyniszczających wojnach. Z tego punktu widzenia może trudno się dziwić, że wbrew marzeniom „ojców Unii" kategoria dobra wspólnego jest dziś dla urzędnika unijnej administracji czymś kompletnie abstrakcyjnym, a może i niebezpiecznym.

Jeśli dziś byli komuniści i socjaliści stanowią trzon politycznych władz Unii, to przecież nie można zapominać, że jeszcze niedawno ich partie usiłowały na różne sposoby udaremnić wysiłek utworzenia tej wspólnoty, podporządkowane dyrektywom Rosji, która nigdy nie szczędziła wysiłków, by Europę osłabić, czyli rozczłonkować. Dzisiejsi „Europejczycy" we władzach Unii, którzy nie mają słów potępienia wobec polskiego rządu i parlamentu, nie czują żadnego wstydu z powodu brudnej przeszłości swoich partii i ich przybudówek.

NIEZALEŻNOŚĆ, CZYLI NIEWOLA

Romano Amerio, szwajcarski filozof i teolog, ceniony przez Benedykta XVI autor dzieła budzącego w niektórych kręgach kościelnych niemałą konsternację, „Iota unum", przypomina, że kryzys współczesnego świata jest kryzysem podejścia do natur (esencji): „U jego źródła leży szerzące się przekonanie, że człowiek może nadawać rzeczom nie tylko istnienie, lecz również ich istotę". Każde rozwiązanie w porządku publicznym i moralnym kryje w sobie elementarną prawdę lub elementarny fałsz, przypomina Amerio. Założenie, które stoi u podstaw współczesnej myśli historiozoficznej, filozoficznej i w rezultacie także politycznej, że stworzenie samo od siebie bierze niezależność, jest fałszywym założeniem. „Prawdziwym zaś jest założenie, że stworzenie zależy od siebie w takim znaczeniu, że zależy od własnej natury, którą dał mu sam Bóg w sposób nieodwołalny".

Co mają z tym wspólnego ekscesy polityczne w Radzie Europy i Parlamencie Europejskim, które odbywają się w atmosferze obojętności, a wręcz przyzwolenia ze strony społeczności Zachodu, u nas zaś nie przestają budzić zgrozy i obrzydzenia nawet u zwykłych ludzi? Wyrastają one z przeświadczenia, że człowiek swój byt zawdzięcza wyłącznie innym jednostkom, samotnym jak on, oraz kaprysowi nieprzewidywalnego losu. A także że może on ze swoją naturą uczynić, co mu się podoba, jeśli tylko znajdzie w tym odpowiednią dozę przyjemności i zaspokojenia.

Na antypodach tego rozumowania stoi silnie zakorzenione w polskiej mentalności pojęcie obowiązków człowieka wobec Boga i bliskie mu pojęcie obowiązków stanu i racji stanu. Te tradycyjne pojęcia, wywodzące się z obszaru christianitas, zdeptane i odrzucone przez władzę z komunistycznego nadania, w ciągu ostatnich dwóch lat przybrały żywsze barwy. W świetle tych pojęć, zakorzenionych w chrześcijańskiej idei państwa, więź, która łączy ze sobą dwie grupy społeczne: rządzących i rządzonych, jest więzią subtelną, bo opartą nie tylko – jak usiłują przekonywać społeczni darwiniści, także ci ze strony prawicowej – na wypełnianiu przez rządzących ich „psich obowiązków" wobec rządzonych, lecz także właśnie na zaufaniu płynącym z rozumienia źródła pochodzenia tej władzy – a więc zarazem i jej natury.

Rodzaj myślenia, jaki prezentują dziś prominenci UE, zawdzięczamy bez wątpienia rozkładowi chrześcijaństwa na naszym kontynencie – pojmowanego także jako kultura i cywilizacja, myśl filozoficzna i tradycja – i szerzącemu się światopoglądowi, w myśl którego przejęcie władzy przez człowieka nad całą rzeczywistością doczesną jest jego jedynym prawdziwym celem. Celem życia człowieka na ziemi jest dobre życie! Tak wyjałowiony światopogląd tworzy systemy polityczne, które zawsze, w taki czy inny sposób, skierowane są przeciw człowiekowi.

Według jednej z hipotez Romano Amerio, jaką przywołuje w „Iota unum" („Analizie zmian w Kościele katolickim w XX wieku", jak głosi podtytuł tego dzieła) wobec kryzysu, jaki ogarnął po ostatnim soborze Kościół katolicki, „proces rozpuszczania religii katolickiej w substancji świata będzie postępował nadal". W rezultacie rodzaj ludzki będzie zmierzał „ku totalnym przekształceniom

eprasa.pl 13042f9ed2

wierzeń religijnych, struktur gospodarczych, instytucji prawnych, gatunków i pojęć kulturalnych. Wszystko to dokonywałoby się pod znakiem techniki, w imię rozwoju człowieka traktowanego jako samoistny cel, przy pomocy środków czysto ziemskich. Takie królowanie ludzkości [...] stanowiłoby owe katastrofalne »novum«, które zapowiada nie tylko nowatorska teologia, lecz także filozofia marksistowska. A więc również religijne piórka, w które stroi się teologia wyzwolenia, ostatecznie zostałyby zrzucone, odsłaniając wybitnie humanitarne oblicze tej teorii, która jest de facto teorią społeczną". Hipoteza ta implikuje „absolutny historyzm chrześcijaństwa", a za aktywny czynnik rozkładu naszej religii autor uznaje ateistyczny komunizm, choć przy udziale wszystkich poprzedzających go doktryn (także herezji zrodzonych w łonie chrześcijaństwa).

INNI I TRUDNI DO STRAWIENIA

Sprawa pochodzenia władzy (państwowej, politycznej), jej autorytetu oraz zobowiązań jest dla myślicieli typu Amerio i Messoriego rzeczą kluczową. Messori wspomina historię jednoczenia Europy po ostatniej wojnie, szlachetne intencje jej założycieli nawiązujące do średniowiecznej wspólnoty wiary – przypominając zarazem, że zrodziła się ona w epoce, gdy naczelnym hasłem społecznych wizjonerów nie były wcale „prawa człowieka" i troska o ich najpełniejsze zabezpieczenie. „Poprzedni punkt widzenia, oparty na wizji religijnej, wolał mówić o »powinnościach«, obowiązkach. Istotnie, całe judeochrześcijaństwo jest także oparte na pewnej »Deklaracji«, ale obejmującej »obowiązki człowieka«; jest nią Dekalog, prawo powierzone przez Boga Mojżeszowi".

Wizja życia i świata oparta nie na prawach, nie na roszczeniach, ale na obowiązkach stała się dziś dla większości Europejczyków odległą abstrakcją, a jednak jest ona nadal silnie zakorzeniona w systemie wartości Polaków. Obecnym władzom politycznym ogromna część Polaków ufa nie dlatego, że ludzie sprawujący władzę są sympatyczni i „dają pożyć", ale dlatego że przywracają w życiu państwa sens tradycyjnym pojęciom. Zwłaszcza tym dotyczącym wzajemnych powinności i ładu państwowego, który musi być oparty na czytelnej hierarchii, nawet w demokracji. Ktoś jest na górze, ktoś niżej, nie tylko ze względu na przysługujące mu godności, lecz także przede wszystkim z uwagi na kompetencje. Nie przynależą nam w strukturze państwa równe godności, bo nie mamy takich samych kompetencji. Taka jest wizja każdego społeczeństwa zawarta w podstawowym dokumencie konstytuującym naszą cywilizację, czyli w Biblii: dzieci mają obowiązki wobec rodziców, żona wobec męża, wierzący wobec tych, którzy odpowiadają za Kościół, „wszyscy zaś mają obowiązki względem siebie i względem Boga", jak przypomina Messori. Obowiązki, nie prawa. Prawa wynikają z obowiązków.

Messori przypomina także, że w ujęciu chrześcijańskim chodzi raczej o „poszanowanie" praw człowieka, „każdy bowiem jest dzieckiem Bożym i także moim bratem", a nie „upominanie" się o prawa człowieka. Punkt widzenia rewolucji jest odmienny. Ta odmienność pojawia się wraz z przewrotem politycznym po raz pierwszy nie tylko w historii chrześcijaństwa, lecz także w historii całej ludzkości, podkreśla włoski pisarz. Rewolucja zawsze ogłasza, że „pochodzenie i prawomocność władzy należy przypisywać już nie tylko Bogu, lecz ludowi i jego woli wyrażonej większością głosów w wyborach". Warto zauważyć jednak także pozornie drobną, lecz jednak decydującą różnicę między ujęciem „praw" we francuskiej Deklaracji praw człowieka z 1789 r. – i w ślad za nią deklaracji ONZ z 1948 r. – a tym, co zapisano w amerykańskiej Karcie praw (United States Bill of Rights), ogłoszonej w 1776 r. Francuski tekst deklaruje i stwierdza, że „Ludzie rodzą się i pozostają wolni w swoich prawach", amerykański, że „Wszyscy ludzie zostali stworzeni równymi i wyposażeni przez Stwórcę w pewne niezbywalne prawa...". Amerykanie oparli swoje wizję państwa i konstytucję na zamyśle Boga Stwórcy i praw swoich obywateli nie uzależnili od woli ludzi. Warto podkreślić, za Messorim, że „ani proklamacja niepodległości amerykańskiej, ani jej konstytucja nie wzbudziły reakcji ze strony katolików. Patriotyczna lojalność katolików federacji amerykańskiej była zawsze bezdyskusyjna" – i to pomimo ściśle masońskich początków państwowości Stanów Zjednoczonych. Dla Amerykanów – tak jak i dla Polaków – ich wolność i równość jest darem Boga. Francuzi – a w ślad za nimi inne narody Europy – utrzymują, że ową wolność i równość zawdzięczają własnemu rozumowi. Są więc braćmi – bez ojca. Głównym skutkiem obydwu deklaracji – tej z 1789 i tej z 1948 r. – jest nie tyle umocnienie braterstwa między ludźmi, co raczej przyrost hipokryzji, która stała się zmorą w dzisiejszej UE.

Wydaje się, że nasi politycy i europarlamentarzyści z PiS bez trudu rejestrują mielizny, niespójności i sprzeczności, jakie odciskają zasadnicze piętno na polityce władz UE i najsilniejszych państw kontynentu. Lawirowanie wśród nich, tak by zachować godność, nie dać się ośmieszyć, a jednocześnie taktycznie współpracować ze światem płynnych i nieprecyzyjnych pojęć, jakie zdominowały język polityczny Europy, wymaga kaskaderskiego kunsztu. Zbyt rzadko się o tym pamięta, punktując, nie bez złośliwej niekiedy satysfakcji, „brak sukcesu" czy niepowodzenia naszych przedstawicieli w zwarciu z Unią.

Bycie katolickim politykiem, czyli człowiekiem zasad – dziś, tak jak zawsze w dziejach – to przede wszystkim bycie kimś zdolnym do klarownego myślenia, właściwego rozróżniania pojęć, respektowania obowiązków stanu i dostrzegania nadrzędności racji stanu własnego państwa. Umożliwia to wszystko prawidłowo postrzegana celowość swojej działalności i celowość istnienia państwa. Taka postawa jest dziś traktowana w środowiskach najbardziej postępowych już nie tylko jako rodzaj ekstrawagancji, lecz także wręcz szarlatanerii. A w istocie zapewnia ona często faktyczną przewagę przy użyciu skromnych środków, budząc skrywane podziw i zazdrość. Warto czasem w ten sposób spojrzeć na niemały dorobek polityczny obrońców polskiej suwerenności z ostatnich kilku lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Cytaty za: Vittorio Messori: „Przemyśleć historię. Katolicka interpretacja ludzkiego losu", Kraków 1999; Romano Amerio „Iota unum. Analiza zmian w Kościele katolickim w XX wieku", Komorów 2003.

Ewa Polak-Pałkiewicz *– niezależna publicystka, autorka książek, m.in.: „Prosto w oczy" (rozmowa rzeka z premierem Janem Olszewskim), „Patrząc na kobiety", „Rycerze wielkiej sprawy", „Powrót pańskiej Polski" i ostatnio wydanej: „Czego chcą od nas biedni Niemcy".*

eprasa.pl 13042f9ed2

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Zdanie mieć trzeba

Będąc Polakiem oraz człowiekiem, który poza Polską nie mógłby mieszkać (no, może z wyjątkiem króciutkiego okresu listopad–kwiecień), łapię się na tym, że czasem czuję się w naszej ojczyźnie kompletnie wyobcowany.

Nie chodzi o to, że nigdy nie nosiłem wąsów, bo te po prostu mi nie rosną, i gdybym miał bujniejszy zarost, to kto wie. Nie idzie też o to, że nie oglądałem ani jednego odcinka „Korony królów" i raczej nie obejrzę, więc nie będę mógł tego serialu ani zaciekle zwalczać, ani wychwalać pod niebiosa. Ani o to, że od jakiejś dekady nie widziałem żadnego programu informacyjnego, nie wspominając o publicystycznym. Ani dlatego, że nie widzę problemu w tym, gdy ktoś ma w jakiejś sprawie inny pogląd niż ja. A co więcej – nawet zadaję się z takimi ludźmi.

Moje wyobcowanie bierze się z innego powodu (choć „Korona królów" ma z nim pewien związek). Otóż nie widzę potrzeby zajmowania stanowiska w każdej absolutnie sprawie. I staram się nie wypowiadać na tematy, o których nie mam pojęcia. A że jest ich całkiem sporo, to często nic nie mówię.

Taka postawa jest absolutnie nie do przyjęcia dla mojej żony. Ona w swym umiłowaniu spierania się o rzeczy, na których się nie zna, jest po prostu arcypolska (nic dziwnego, chwackie geny z mazowieckiej wsi). I to niby ja jestem publicystą. Ona – podobnie jak 95 proc. rodaków – potrafi na poczekaniu zbudować jakąś teorię, a potem bronić jej do upadłego, nawet gdy okazuje się, że hipoteza jest kompletnie absurdalna, bo i tak się zdarza, acz nie za często. Potrafi też natychmiast sformułować tezę, kontrując to, co ogłosił ktoś inny. I też zawzięcie walczy w jej obronie.

Nie przeszkadza mi to. Lubię tę jej cechę. Uwielbiam zwłaszcza, jak toczy zaciętą dyskusję z jakimś naszym znajomym i oboje nie mają pojęcia o materii, o której rozmawiają. To dla mnie wręcz metaforyczny obraz współczesnej Polski, dlatego zawsze przyglądam mu się z podwójną czułością: do żony i do ojczyzny.

Jednak – jak wspomniałem – ona nie znosi mojej wstrzemięźliwości w wydawaniu sądów. I gdy zasłaniam się niewiedzą, domaga się, bym zajął jakieś stanowisko. Wygląda to mniej więcej tak: – Jak sądzisz, ten sklep w niedzielę jest czynny do 20 czy 21? – ona pyta. – Nie mam zielonego pojęcia – odpowiadam. – No, ale coś musisz myśleć – napiera ona. – Nic nie myślę, po prostu nie wiem, nie chcę zgadywać – wywijam się. – Moim zdaniem do 20, bo… tu następuje rozbudowana argumentacja. – Możliwe – odpowiadam zdawkowo. – Naprawdę, nie masz w tej sprawie żadnego zdania?! – ona dociska. No i zaczynamy się kłócić, bo jej zdaniem zdanie trzeba mieć.

I mam tak nie tylko z żoną, lecz także z całym narodem. Biedny ja. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Nasze szanse

Nie ma recepty na stanie się mocarstwem. To nie bogate, przodujące pod każdym względem Ateny ani bitna Sparta stały się zaczynem greckiego imperium, tylko zapóźniona Macedonia. Nie świetnie rozwijająca się wielka Grecja czy morska potęga – Kartagina, lecz pograniczny gródek etruski, który w pewnym momencie pozbył się swych władców, stał się w parę wieków panem świata.

Tak jak w wyścigu kolarskim – pilnujący się nawzajem mistrzowie lekceważą ucieczkę outsidera

Za ubogą, zimną, wyludnioną i spustoszoną w wyniku wojny Dwóch Róż Anglię nikt nie dałby złamanego pensa, a wystarczył wiek... Podobnie Moskwa, peryferyjne miasteczko podporządkowane Mongołom, w dodatku spełniające na Rusi rolę naczelnego kolaboranta, zlekceważone przez twórców Wielkiego Księstwa Litewskiego potrzebowało dwóch wieków, by stać się imperium. Nie mówiąc już o Prusach, biednym lennie Korony Polskiej, zamienionym w hegemona i czołowego sprawcę największych nieszczęść nowoczesnej Europy.

Chociaż korzeni sukcesu jest wiele – czasem jest to nowy pomysł ustrojowy lub gospodarczy, wyzwalający aktywność ludzką, częściej bezwzględność większa niż u sąsiadów, zawsze szczęście! Osobiście skłaniam się ku teorii przegapienia. Jak w wyścigu kolarskim – pilnujący się nawzajem mistrzowie lekceważą ucieczkę outsidera, a gdy ten już odskoczy, na pościg jest przeważnie za późno.

Oczywiście tak patrząc, nie mamy szans na rolę mocarstwową, którą przepowiadał nam – i to jeszcze w okresie platformianego upadku – George Friedman. Tyle że my nie gramy o rolę hegemona, raczej o liczącego się gracza wśród najważniejszych państw europejskich. Nasze atuty to nie tylko zasoby, położenie kiedyś uważane za przeklęte, ludność, ogromna diaspora emigracyjna i doświadczenie życia w totalitaryzmie, którego łagodną wersję przeżywa, nie zdając sobie z tego sprawy Zachód. Nie do przecenienia jest też wspomnienie dobrowolnej unii paru narodów, o wiele starszej niż obecna Europejska. Sukces to również znalezienie się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu i gotowość wykorzystania tego faktu. Chyba ją mamy. Europa się chwieje, a nam przydarzył się rząd, który ma wizje i ambicję.

Wiele będzie zależało od tego, jak ułoży się współpraca Międzymorza, czy potrafimy zdusić w sobie mrzonki imperialne i zadowolić rolą „pierwszego wśród równych", a ponadto od tego, czy nasi partnerzy od Adriatyku do Morza Czarnego i Bałtyku zrozumieją, że jest coś jeszcze poza byciem kolonią Berlina albo wasalem Moskwy. ©℗

eprasa.pl 13042f9ed2

Łukasz Warzecha

Biali kontra czerwoni

Spór na prawicy między rewolucjonistami a tymi, którzy chcą inaczej naprawiać państwo, jest zdrowy. Lepszy niż spór z tymi, którzy chcą tylko, by było tak, jak było

Po dwóch latach rządów PiS w obozie prawicy (umownie mówiąc) rysują się dwie narracje. Można je nazwać rewolucyjną i konserwatywną. Na potrzeby tego tekstu będziemy mówić, zgodnie z historyczną nomenklaturą, o czerwonych i białych. Widać, że te obozy rozchodzą się ze sobą coraz wyraźniej, i być może nigdy już się nie połączą tak, jak były połączone w okresie ośmiu lat rządów PO.

Przedstawiciele pierwszego sposobu myślenia wydają się bliżsi najważniejszym kręgom obozu władzy. Mają tam też swoje całkiem wymierne interesy. Spróbujmy jednak abstrahować od tych uwarunkowań, bo przecież za obiema narracjami stoją jednak określone racje i sposób widzenia rzeczywistości. Być może jesteśmy świadkami tworzenia się dwóch obozów, które za jakiś czas – jak przewidywał niedawno Rafał A. Ziemkiewicz – w którymś momencie staną się stronami całkiem otwartego konfliktu, skoro totalna opozycja sama się marginalizuje i w ten sposób znika podział wcześniej dominujący.

NIEUSTAJĄCA WALKA

Jak więc obóz czerwonych widzi dzisiejszą Polskę? Otóż kraj pozostaje polem nieustającej walki. Przejęcie przez PiS niemal wszystkich instytucji państwa (poza zasięgiem partii rządzącej pozostał jeszcze tylko urząd rzecznika praw obywatelskich; są już instrumenty pozwalające dosięgnąć sądownictwa) nie jest zakończeniem walki, ale jej początkiem. To zaledwie stworzenie instrumentarium dla dokonania niezbędnych zmian. W tej wizji obóz dobrej zmiany jest nadal osaczony przez złe moce i ludzi, musi zatem wciąż zachowywać rewolucyjną czujność. Z punktu widzenia czerwonych jesteśmy w stanie wewnętrznej zimnej wojny. W ich przekonaniu determinacja starego układu, aby obalić nowy, jest ogromna, a zarazem siły, którymi poprzedni układ dysponuje, wcale nie osłabły – tak jakby PiS nie kontrolował wszystkich mechanizmów państwa. Sytuacja jest więc nadzwyczajna.

A skoro jest wojna, to – po pierwsze – nie ma czasu na zbędne dyskusje, po drugie – nadmierne przywiązanie do procedur może spowolnić działania i przechylić szalę zwycięstwa na stronę wroga. Co więcej, procedury są kojarzone właśnie ze starym układem, który używał ich często jako sposobu maskowania swoich pokrętnych interesów. Po trzecie – przestrzeganie ewentualnie nowo stworzonych procedur, a nawet samo ich tworzenie, również nie jest pożądane, ponieważ będzie to krępować działanie, które musi być niestandardowe, dowolne, często na granicy prawa.

Podejście czerwonych jest wewnętrznie spójne: ze sposobu widzenia rzeczywistości wyprowadzane są logiczne wnioski. W praktyce ten sposób działania skażony jest przez zjawisko uciekającego horyzontu. Czerwoni, owszem, oficjalnie zakładają, że wojna kiedyś się skończy, a państwo wreszcie zostanie ułożone w należyty sposób i oczyszczone ze złych ludzi. Problem w tym, że – po pierwsze – nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy miałoby to nastąpić i ile lat „stanu wyjątkowego" mamy jeszcze przed sobą; po drugie zaś – nikt nie jest w stanie opisać owego docelowego stanu i systemu. Mamy najwyżej do czynienia z rozproszonymi opisami fragmentów rzeczywistości idealnej w wypowiedziach teoretyków dobrej zmiany, takich jak prof. Andrzej Zybertowicz, oraz z egzegezami deklaracji Jarosława Kaczyńskiego, również rozsianymi po różnych mediach i wygłaszanymi na przestrzeni lat. Zarazem czerwoni twierdzą, że proceduralne rozwiązania zawierają w sobie wady, które je w ogóle dyskwalifikują. Przykładem może być podejście do konkursów w różnych dziedzinach, w tym w administracji publicznej, gdzie PiS, zmieniając ustawę, wprowadził dowolność mianowania urzędników. Czerwoni mówią: konkursy były zawsze ustawiane i byłyby nadal, a polityk musi mieć swobodę dobierania sobie współpracowników nawet na niższych szczeblach. A zatem – argumentują – konkursy są w ogóle złym rozwiązaniem.

Podsumowując: czerwoni widzą sytuację trochę jak w „Roku 1984" Orwella. Oceania toczy wojnę z Eurazją i wszystkie teoretycznie istniejące prawa są w związku z tym zawieszone. Nie wiadomo, czy i na jakich warunkach wojna może się skończyć. Jednak gdy wrogiem przestaje być Eurazja, staje się nim Wschódazja, do niedawna sojusznik, i wojna trwa w najlepsze. Wiadomo, że nigdy się nie zakończy, ponieważ wszystkim trzem reżimom zależy na jej kontynuacji, a rządy wszystkich trzech superpaństw mogą dzięki niej łatwiej kontrolować obywateli. W tej analogii rolę pozostałych mocarstw, sprzymierzonych z Oceanią w zamiarze kontynuowania konfliktów, odgrywa totalna opozycja, która

eprasa.pl 13042f9ed2

FOT. FOTOLIA

wie, że wygrać wprawdzie nie może, ale może przegrać całkowicie, a wtedy zniknie, więc bardziej opłaca jej się podsycać konflikt i dostarczać czerwonym argumentów na poparcie ich wersji.

NAPRAWA PROCEDUR

Biali to również zwolennicy przebudowy państwa, ale innymi metodami. Nie podpisują się pod diagnozą stanu zimnej wojny domowej, uznając, że zawieszenie procedur – zwłaszcza bez wyraźnej perspektywy zakończenia „stanu wyjątkowego" – szkodzi państwu. Uznają, że władza, która raz pozwoliła sobie samej na rezygnację z przestrzegania reguł, nie będzie już chciała do niego wrócić, bo żadna władza nie lubi być krępowana. Biali rozumieją, że każda władza jest skażona pierworodnym grzechem nigdy niezaspokajanego apetytu na kolejne kompetencje.

Dlatego naprawy państwa nie upatrują w tymczasowym – ale bez daty zakończenia – zawieszeniu procedur, ale przeciwnie – w ich poprawieniu oraz bezwzględnym przestrzeganiu. Jeśli procedury w starym układzie służyły ukrywaniu przekrętów – argumentują biali – to wyjściem nie jest całkowita z nich rezygnacja, ale sprawienie, żeby działały, jak należy. Wracając do przykładu konkursów – owszem, konkursy były ustawiane i, owszem, nigdy nie będą w stu procentach wiarygodne. Dlatego należy dążyć do tego, aby były jak najbardziej przejrzyste.

Białych niepokoją nieograniczony mandat władzy i nadzwyczajne uprawnienia, jakie z niego wyprowadza, uzasadniane mglistym, odległym w czasie i niesprecyzowanym celem. Uznają, że normalnego państwa nie da się stworzyć, działając rewolucyjnymi metodami, a dobra zmiana może polegać wyłącznie na tym, że od samego początku organizujemy państwo według zasad czasu pokoju, a nie wojny. Państwo istnieje hic et nunc, dążenie zaś do mglistego stanu idealnego kojarzą biali ze szkodliwymi wizjami komunistów, którzy koniecznością dochodzenia do raju na ziemi uzasadniali największe podłości.

W momencie ostatniej rekonstrukcji rządu postawiono, jak się zdaje, bardziej na koncepcję białych, przede wszystkim usuwając z rządu głównego lidera czerwonych, Antoniego Macierewicza. Przede wszystkim zaś sama nominacja Mateusza Morawieckiego może być odczytywana jako ukłon w stronę białych.

Tyle że to w dużej mierze gra pozorów i praca nad formą, nie treścią. Spór bowiem toczy się nie o to, czy któryś z ministrów stosuje bardziej lub mniej wojowniczą retorykę, ale o zasadnicze mechanizmy państwa. A te zostały już potraktowane raczej zgodnie z doktryną czerwonych. Sztandarowym przykładem jest Trybunał Konstytucyjny, wobec którego można było przyjąć dwie strategie. Pierwsza, konserwatywna, polegałaby na działaniu w taki sposób, aby TK zachował status ponadpartyjnego (niepozapolitycznego, bo to nieosiągalne) arbitra, ale znalazł się z czasem pod dominacją sędziów o konserwatywnym sposobie myślenia. To nie gwarantowałoby oczywiście, że TK nigdy nie zakwestionowałby żadnego pomysłu PiS, ale za to zapewniałoby, iż przez długi czas, nawet gdyby rządziła kiedyś w Polsce formacja lewicowa, pozostałby strażnikiem wartości konserwatywnych oraz – co ważne wolności obywatelskich. Takie podejście wymagałoby wstrzemięźliwości na początku konfliktu o TK i spokojnego wyczekania na zakończenie kadencji prof. Rzeplińskiego (na co i tak trzeba było czekać).

Zamiast tego wybrano drogę rewolucyjną. W następstwie tego nikt – nawet prywatnie politycy PiS – nie traktuje już TK jako instytucji mającej jakiekolwiek znaczenie. Wiadomo, że Trybunał „należy" do PiS i w żadnej istotnej sprawie nie sprzeciwi się pomysłom tej partii. Tak samo wiadomo, że gdy władza się kiedyś zmieni, TK zostanie natychmiast uznany za uprawniony łup polityczny. Znalezienie kruczków prawnych, które pozwolą go tak potraktować, nie będzie problemem. TK jako istotny aktor i potencjalny sojusznik konserwatywnego sposobu myślenia o państwie zniknął ze sceny na dobre.

Rozejście się czerwonych z białymi było prawdopodobnie procesem nieuniknionym, jakkolwiek może być bolesne, bo przecież podziały biegną dziś nierzadko w poprzek środowisk kiedyś niemal jednolitych. Jednak napięcie pomiędzy białymi i czerwonymi jest całkowicie uprawnionym sporem o kształt państwa oraz sposób jego zmieniania, znacznie zdrowszym niż spór z tymi, którzy po prostu chcą, żeby było jak dawniej. Tak już bowiem nie będzie na pewno. Warto zatem zadbać, by dyskusja białych z czerwonymi była cywilizowana, bez prób wzajemnej delegitymizacji, oskarżania się o chodzenie na pasku tych czy tamtych. Można odnieść wrażenie, że w tej akurat sprawie piłka jest na ogół po stronie czerwonych. Może jednak warto, aby obie strony zrobiły krok w tył.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13042f9ed2

Armia Czerwona

[W SETNĄ ROCZNICĘ POWOŁANIA]

„Mówił nam z książek i broszur, w świetlicach mówił nam Lenin,
że mamy być iskrą pożaru – słońca czerwonym płomieniem,
że mamy zło świata zburzyć, z niewoli świat wybawić,
na wiecach, mityngach mówił towarzysz Stalin (...)
Więc błogosławcie ludy nasze armaty i czołgi
sunące falą stalową od Dźwiny, Uralu i Wołgi.
Czekajcie nas bracia strudzeni, wpatrzeni w świt przyszłości.
Idziemy ku wam przez ogień – żołnierze Armii Wolności.
I przyniesiemy z sobą, wierni tęsknotom naszym,
wszystkim narodom Ziemi pokój dla ich poddaszy".

[fragment utworu o Armii Czerwonej pt. „Armia Wyzwolicielka", napisanego przez Ignacego Fika, wierszokletę komunistę]

eprasa.pl 13042f9ed2

Waldemar Łysiak

W naszej erze (po narodzinach Chrystusa) świat wokół Morza Śródziemnego zaznał agresji rozmaitych barbarzyńców, przeróżnych *„Hunów”*, i trwa to dalej. Człowiek w moim wieku… Czuję się wciąż młody (i dzięki łaskawości Pana Boga moje ciało temu nie zaprzecza), jednak moja metryka zezwala mi już używać sformułowania: *„człowiek w moim wieku”*. No więc człowiek w moim wieku miał okazję zetknąć się bezpośrednio z trzema wielkimi agresjami współczesnych hunów (nie zabraniam modyfikować pierwszej litery i podmieniać literę n): germańską, ruską i muzułmańską. Spowodowało to u mnie pewną dołującą refleksję. Otóż najstraszliwsze okrucieństwa bieżących czasów popełniają zwyrodnialcy z Boko Haram i Al–Kaidy oraz Państwa Islamskiego, co niektórym daje kojącą pychę wyższości białej rasy nad *„bambusami”*, *„asfaltami”*, *„arabusami”*, itp. Zapomnieli, że w XX wieku władające wielkimi połaciami globu grono wcielonych bestii (klinicznych psychopatów, jak Stalin, Hitler, Mao Zedong, Pol Pot, et consortes) wymordowało okrutnie dziesiątki milionów ludzi nie w Afryce i nie na Bliskim Wschodzie. Grzechy (masowe mordy) cywilizacji europejskiej i cywilizacji azjatyckiej są Armagedonem tego samego rodzaju. Sowiecka Armia Czerwona (etnicznie europejsko–azjatycka, vulgo: rosyjsko–kałmucka) ma w tej ludobójczej konkurencji medalowy dorobek. Poświęcam jej dziś na łamach ***„Tygodnika Lisickiego”*** cały artykuł z dwóch powodów. Rocznicowo (okrągła 100–letnia rocznica powołania) i destatuarycznie (kasacja pomników).

EMOCJE SĄSIADÓW

Kilkadziesiąt lat PRL–u (zwłaszcza okres pierwszy, stalinowski) upstrzyło teren naszego państwa pomnikami krasnoarmiejców niczym roznoszące bakteryjny brud muchy czystą szybę. Te monumenty były zawsze znienawidzone przez nasze społeczeństwo, to znaczy przez patriotów, bo ci mają o Armii Czerwonej opinię taką

Przedwojenna, symbolizująca graficznie złowrogość Armii Czerwonej, okładka powieści o bolszewikach

samą jak o dżumie, jednak rodzimemu lewactwu nie wadziły, a co gorliwsze dupolizy składały im kultowy hołd. Exemplum reżyser Andrzej Wajda dający się fotografować na Cmentarzu Żołnierzy Radzieckich modlitewnie: klęczy tam ze złożonymi dłońmi. Pisarz Antoni Libera ocenił te Wajdowskie demonstracje prokrasnoarmiejskie tyleż słusznie, co surowo: *„To niebywały wprost spektakl serwilizmu i płaszczenia się przed Rosją w imię jakiegoś obłąkanego pojednania. Coś okropnego!”*.

Kontrując płaszczenie się przed Rosją — III RP zmajstrowała *„ustawę dekomunizacyjną”*, a kilka miesięcy temu (2017) wzmocniła ją o poprawki, dzięki którym zaczęto żwawiej demontować pomniki chwały krasnoarmiejców. Co musiało wzbudzić furię Kremla i *„ludzi radzieckich”*, gdyż ci mają święte przekonanie, że Armia Czerwona była dobroczyńcą Polaków. Ruskie media (tradycyjne i *„społecznościowe”*) wściekle się rozjazgotały, literat Eduard Limonow (putinista, wcześniej lider Partii Narodowo–Bolszewickiej) zażądał, by w odwecie *„zburzyć katyński cmentarz wojenny”*, internauci oblali *„pszeków”* (wzgardliwy epitet wobec Polaków) szambem różnych wyzwisk: *„Zaorać Katyń pod kartofle!”*, *„Dawnoście nie wąchali Sybiru!”*, *„Swoją kulturę pokazują!”*, *„Taka wdzięczność za to, że wam Rosja państwo stworzyła?!”*, itp. Nasi dyplomaci — szef MSZ–u, Witold Waszczykowski (wywiad dla **„Kommiersanta”**), i polski ambasador w Moskwie, Włodzimierz Marciniak (oświadczenie upublicznione przez RIA Nowosti oraz inne rosyjskie media) — próbowali tłumaczyć, że pomniki czerwonoarmistów nie są u nas niszczone, tylko relokowane z centrów miast na cmentarze żołnierzy sowieckich, które obejmuje ścisła ochrona, lecz to nic nie dało, jedynie podgrzało ruską złość (Agencja Newsbałt grzmiała: *„Waszczykowski łże!”*). Pierwszorzędny korespondent z Rosji, Wojciech Grzelak: *„Dla Rosjan Armia Czerwona to jedna z wybitniejszych emanacji systemu stworzonego przez bolszewików. Rak komunizmu za-*

eprasa.pl 13042f9ed2

puścił bowiem swoje korzenie tak głęboko w umysły i dusze Rosjan, że wyplenić go już nie można. Dlatego tłumaczenie się polskiego ambasadora było niepotrzebne, bo cała para i tak poszła w gwizdek" (2017).

NARODZINY I „OTRZĘSINY"

Każdy oglądacz popularnego sowieckiego serialu **„17 mgnień wiosny"** dowiadywał się z niego (odcinek 4), że Armia Czerwona powstała 23 lutego 1918 roku. Ja wszelako uważam, że właściwa jest data styczniowa. Rosjanie istotnie obchodzą rocznicę 23 lutego, gdyż tego dnia zaczęto masowy werbunek do tych wojsk, jednak to 28 stycznia 1918 roku dotychczasowe bojówki partyjne bolszewików, zwane Gwardią Czerwoną, zostały dekretem rewolucyjnej Rady Komisarzy Ludowych przemianowane na Robotniczo–Chłopską Armię Czerwoną, inaczej mówiąc: tego dnia została powołana. Jej pierwszym naczelnym dowódcą został (jako ludowy komisarz ds. wojska) Lew Dawidowicz Trocki (Lejb Bronstein), co było wtedy zupełnie normalne, a właściwie rytualne (spośród 43 członków Komisariatu Wojny 35 miało żydowski rodowód, w Komisariacie Spraw Zagranicznych 14 na 16, w Radzie Komisarzy Ludowych 19 na 22, wśród komisarzy terenowych 21 na 23, itp.).

Armie miewają kolorowe nazwy wskutek przyczyn mundurowych (jak choćby nasza Armia Błękitna generała Józefa Hallera — od koloru uniformów) lub polityczno–ideologicznych (jak Armia Biała — białogwardyjskie wojska kontrrewolucjonistów zmagające się z Armią Czerwoną). Czerwień to odwieczny kolor lewicy, dla Lenina i jego hałastry był on świętością. Zaś Armia Czerwona była dla nich oczkiem w głowie dlatego, że stanowiła *„być albo nie być"* — warunkowała ich przeżycie. Stąd pierwotne ochotnicze zaciągi do niej szybko zrobiły się pseudoochotniczymi, Lenin i Trocki (chociaż już skłóceni ze sobą à propos wojny rosyjsko–niemieckiej) byli zgodni, że tu nie można się cackać. Na przełomie lat 1920/1921 liczba mieszkańców będącego kolebką rewolucji Piotrogrodu (dawnego Petersburga, późniejszego Leningradu) zmalała o blisko 720 tysięcy, czyli o prawie jedną trzecią, głównie wskutek zaciągów armijnych. Trzeba je było nieustannie intensyfikować, gdyż dezercje robiły się masowe (między styczniem 1919 a czerwcem 1920 zdezerterowało 2,6 mln czerwonoarmistów!).

Trudno się dziwić tak licznym dezercjom *„ochotników"*. Po wcieleniu przeżywali bowiem szybko swoiste otrzęsiny, wielce krwawe. Na szkolenie było niewiele czasu, gdyż w całym kraju toczyła się wściekła wojna domowa między czerwonym reżimem a białogwardzistami, zakończona dopiero roku 1923 zwycięstwem Armii Czerwonej, okupio-

eprasa.pl 13042f9ed2

nym wszakże mnóstwem strat. Dużą ich liczbę przyniosła także przegrana wojna z Polską (1920). Młodą Bolszewią szarpały też co i raz rozmaite rebelie, jak choćby bunt żołnierzy, marynarzy i robotników Kronsztadu (luty–marzec 1921), stłumiony dużym wysiłkiem i kosztem.

SIŁA, CHWAŁA I WSTYD

Profesjonalną, solidnie wyszkoloną i uzbrojoną Armię Czerwoną zaczęto tworzyć po zwycięskim wygaszeniu konwulsji wojny domowej — w roku 1924. Jako że nastał pokój (i jako że straty wojenne były horrendalne) — można/trzeba ją było zmniejszyć znacząco: w październiku tegoż roku miała 562 tysiące sołdatów. Później systematycznie rosła, lecz choć pancerniała (dywizje zmechanizowane) i fruwała (lotnictwo), jej trzonem zawsze pozostawały strzeleckie dywizje piechoty (roku 1929 było ich 69) rozlokowane w ośmiu wojskowych okręgach (Moskiewskim, Leningradzkim, Nadwołżańskim, Syberyjskim, Północnokaukaskim, Ukraińskim, Białoruskim i Środkowoazjatyckim). Pod koniec roku 1937 liczba tych dywizji wzrosła do 96 i przybyły cztery okręgi wojskowe (Zabajkalski, Zakaukaski, Charkowski, Uralski), a Ukraińskiemu zmieniono nazwę na Kijowski. Równocześnie propaganda kremlowska wychwalała Armię Czerwoną jako najlepsze wojsko globu, jej defilady podgrzewały bolszewicki zapał *„mas ludowych”*, a jej nazwę wlepiano wszędzie, od szkół do miejscowości (exemplum leżąca blisko Stalingradu nadwołżańska wieś Sarepta, której w roku 1924 lub 1925 dano nazwę: Krasnoarmiejsk).

Mobilizacja przed II Wojną Światową (wrzesień–październik 1939) zwiększyła liczbę dywizji piechoty do 173, brygad pancernych do 52, pułków artylerii do 100, zaś liczbę kawalerii (25 dywizji i 2 brygady) utrzymano, ale zwiększając je etatowo znacznie. Mimo tego — próba ogniowa skończyła się dla Sowietów kompromitująco. W październiku 1939 Kreml wysunął wobec Finlandii żądania terytorialne, a gdy zostały one odrzucone, Rosjanie uderzyli 600–tysięcznym zgrupowaniem, które wkrótce podwojono (1200 tys. sołdatów). Finowie mieli siły kilkakrotnie słabsze i zero wojsk pancernych (Rosjanie użyli 2 tysiące czołgów), a mimo to dzięki bohaterskiej walce, geniuszowi militarnemu naczelnego dowódcy (marszałka Carla Gustawa Mannerheima) i fortyfikacjom tak zwanej Linii Mannerheima — zatrzymali ofensywę Armii Czerwonej na Przesmyku Karelskim. Między Jeziorem Ładoga a Morzem Białym całe kolumny sowieckie uległy okrążeniu i zniszczeniu. Rozejm (marzec 1940) przyniósł Finlandii stosunkowo drobne straty terytorialne, lecz generalnie cały świat mógł się już drugi raz (pierwszym były zwycięstwa marszałka Józefa Piłsudskiego) przekonać o lichej wartości sowieckiej kadry dowódczej.

Bogiem a prawdą: podczas wojny z Finami Rosjanie w ogóle nie mieli kadry oficerskiej z prawdziwego zdarzenia, gdyż Stalin, wielbiciel hekatombowych *„czystek”*, roku 1937 zaczął (kwiecień–maj) szaleńczą *„czystkę”* korpusu oficerskiego Armii Czerwonej. Pod idiotycznym zarzutem *„zdrady”* skazano i stracono marszałków Tuchaczewskiego, Blüchera i Jegorowa (*„Soso”* oszczędził tylko dwóch swoich starych kumpli, marszałków Budionnego i Woroszyłowa, który wkrótce *„da ciała”* przeciwko Finom), 13 spośród 15 generałów armii, 57 z 85 generałów dywizji, 110 ze 195 generałów brygady, i 220 spośród 406 brygadierów!

KULE Z PRZODU I Z TYŁU

Wspomniana *„czystka”* o skali mega miała niewątpliwy wpływ na gigan-

eprasa.pl 13042f9ed2

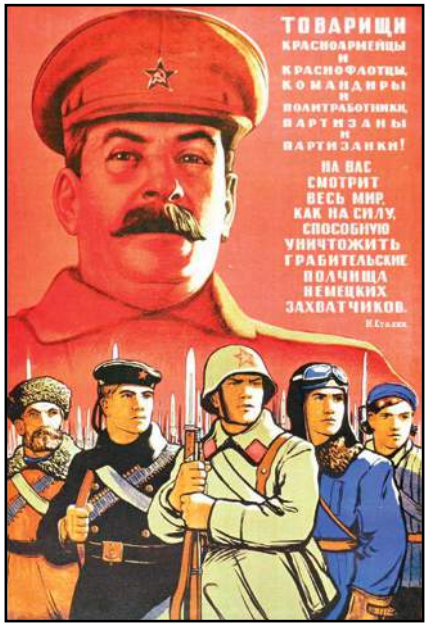

tyczne straty, jakie Armia Czerwona poniosła w roku 1941 z rąk niemieckich, gdy Hitler zaatakował ZSRR (uderzeniowy plan *„Barbarossa"*). Kilka miesięcy temu Centrum Lewady (renomowany moskiewski ośrodek badania opinii publicznej) przeprowadziło sondaż tyczący *„Wojny Ojczyźnianej"* 1941–1945, pytając m.in. o przyczynę początkowych klęsk i koszmarnych wówczas strat Armii Czerwonej. 36% respondentów wyraziło sąd najpopularniejszy wśród historyków: że powodem było kompletne zaskoczenie (Hitler był bowiem dopiero co sojusznikiem Stalina), 24% wskazało niemiecką przewagę techniczną, a tylko 12% nieudolność radzieckich przywódców i dowódców (Stalina, sterującego Armią Czerwoną z Kremla, sondażowymi wynurzeniami oszczędzano). Jeszcze mniejszy procent wskazał nieliczenie się przez sowiecką wierchuszkę polityczną i militarną ze stratami w ludziach.

Armia Czerwona doszła do Berlina (1945) wskutek kilku przyczyn. Bo ZSRR zmobilizował dla tego boju i tego marszu kilkanaście milionów żołnierzy (z czego poległo 7–10 milionów) i rozbudował/ukierunkował cały swój przemysł na produkcję wojskową (co by nie wystarczyło, lecz decydującą rolę grały wysyłane Sowietom przez zachodnich aliantów od października 1941 na mocy *„Lend–Lease Act"* olbrzymie dostawy sprzętu wojskowego, warte 11 mld dolarów! — dzięki temu Zachód osiągnął swój cel, którym było zmuszenie Hitlera do morderczej walki na dwa fronty). Duży wpływ miało też cytowane wyżej z majowego sondażu Lewady *„nieliczenie się ze stratami w ludziach"*. Rosjanom zawsze brakowało kultury obchodzenia się z własnymi wojakami, szafowali bezrozumnie swym *„mięsem armatnim"*, rannych porzucali lub dobijali, stąd podczas wojny francusko–rosyjskiej 1812 roku sztab cara Aleksandra I był zdumiony, gdy mu doniesiono jak cesarz Napoleon zareagował objeżdżając pobojowisko Borodino. Koń pewnego członka cesarskiej świty trącił kopytem rannego i Bonaparte kazał się tym rannym żołnierzem bezzwłocznie zająć. Któryś sztabowiec bąknął, że przecież to Rosjanin, a wówczas monarcha wycedził:

— Po bitwie nie ma wrogów, są tylko ludzie!

Takie normy cywilizowanego świata były zupełnie obce światopoglądowi kacapskiemu. Czerwonoarmijni dowódcy pchali masy swego sołdactwa na rzeź, przeciwko lufom kaemów i czołgów (jak choćby w kretyńskiej strategicznie bitwie pod Lenino), a za prącymi mozolnie ku wrogom szeregami posuwały się zwarte kolumny *„zaporowych oddziałów NKWD"*, których zadaniem było strzelić w łeb każdemu żołnierzowi próbującemu się cofnąć. Strzelali wielokrotnie. Każdy wykazujący jakąś słabość krasnoarmiejec stawał przed trybunałem wojennym specjalnych jednostek frontowych NKWD — podczas *„Wojny Ojczyźnianej"* te trybunały osądziły ponad 994 tysiące żołnierzy Armii Czerwonej, z czego 157 593 ludzi rozstrzelano. Ergo: rozstrzelano dziesięć dywizji czerwonego wojska! Jeńców wziętych przez Wehrmacht automatycznie uznawano za dezerterów i *„zdrajców ZSRR"*.

NAD WISŁĄ

Polska miała nieszczęście trzykrotnego „goszczenia" czerwonoarmistów. Pierwszy raz w roku 1920, gdy chcieli *„wyswobodzić polskie masy ludowe"*, więc na zapleczu swego frontu idącego ku Wiśle (i ku całej zachodniej Europie) organizowali już *„Polską Socjalistyczną Republikę Rad"* i jej komunistyczny rząd białostocki z Unszlichtem, Kohnem, Heltmanem, Zaksem i resztą „Polaków". Dzięki Bogu marszałek Piłsudski skopał im tyłki w dwóch wielkich bitwach (pod Warszawą oraz nad Niemnem) i przepędził, co było właściwą odpowiedzą na pytanie, które niejaki Łukasz Robota postawił wtedy (1920) broszurą **„Bolszewik idzie"**: *„Czy warto do Czerwonej Armii wstąpić, czy też lepiej w łeb dać i przepędzić bolszewickich oszustów?"*.

Polska grafika z r. 1928, ukazująca zagrożenie dla Europy ze strony Armii Czerwonej

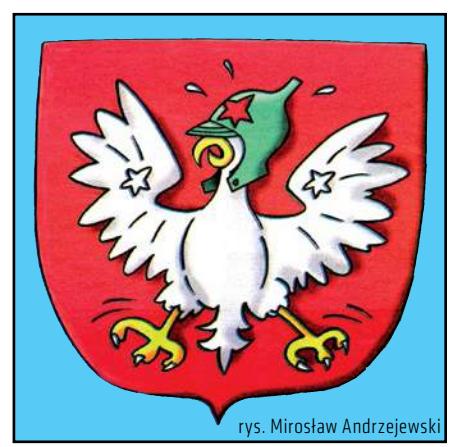

rys. Mirosław Andrzejewski

eprasa.pl 13042f9ed2

Drugi raz to robactwo weszło do Polski 17 września 1939 roku. Dziesięć dni wcześniej (7–IX–1939) komisarz polityczny Nikołaj Osipow wyłożył na łamach czasopisma **„Polituczeba Krasnoarmiejca"** (**„Szkolenie polityczne czerwonoarmisty"**) jakie cele przyświecają Armii Czerwonej: *„Armia Czerwona, wypełniając swoje zadania internacjonalne, będzie walczyła za sprawę całej przodującej, postępowej ludzkości, przeciwko potworom reakcji, eksploatacji i kontrrewolucji, uprzedzając napad agresorów na ojczyznę socjalizmu"*. I zaraz zdradziecko uderzyli w plecy Polskę tłamszoną właśnie przez armie Hitlera, rzucając przeciwko nam dwa fronty liczące 500 tys. sołdatów (w tym 25 dywizji strzeleckich, 16 dywizji kawalerii i 12 brygad pancernych).

Zajmując polskie tereny żołdacy sowieccy rozdawali Polakom ulotkę, której pierwsze zdanie brzmiało tak: *„Obywatele! Wojska Robotniczo–Chłopskiej Armii Czerwonej przybyły do was nie jako zdobywcy, lecz jako wyzwoliciele z jarzma pańskiego, z kabały i ruiny"*. Nikt lepiej od wielkiego emigracyjnego pisarza, Sergiusza Piaseckiego, nie uświadomił rodakom, że napadający nas wówczas krasnoarmiejcy autentycznie sądzili, iż wyzwalają Polskę, niosą jej kulturę, dobrobyt, etc. Bohater/narrator jego fenomenalnego pamfletu **„Zapiski oficera Armii Czerwonej"** (1957), młodszy lejtnant Miszka Zubow, tokuje: *„Przyniosłem do Polski, dla moich uciemiężonych przez panów braci i sióstr, światło nieznanej im wolności i naszą wielką, jedyną na świecie, prawdziwą, sowiecką kulturę. Właśnie o to chodzi, o kulturę, psiakrew! Niech się przekonają, że bez panów i kapitalistów staną się wolnymi, szczęśliwymi ludźmi i budowniczymi wspólnej, socjalistycznej ojczyzny proletariatu. Niech odetchną wolnością! (...) Piszę te zapiski na chwałę naszej potężnej Armii Czerwonej i towarzysza Stalina"*.

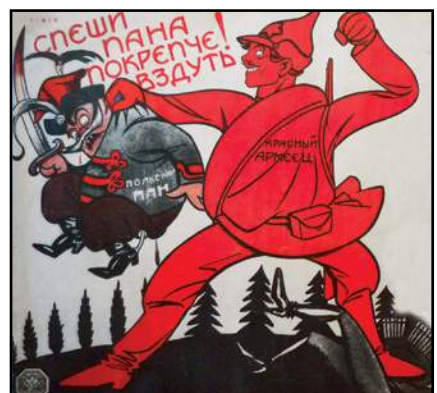

Plakat sowiecki ukazujący rozprawianie się czerwonoarmisty z polskim szlachcicem

Lektura pysznych szyderstw Piaseckiego detonowała u każdego czytelnika fontanny śmiechu, lecz Polakom *„wyzwalanym"* przez Armię Czerwoną dubeltowo (w 1939 i w 1944–1945) do śmiechu nie było. Jeśli chodzi o wrześniową agresję, to ona odbija się w Rosji czkawką jeszcze teraz — czkawką sądową: latem zeszłego roku moskiewski sąd skazał blogera Władimira Luzgina za napisanie prawdy, że A.D. 1939 *„Polskę wspólnie napadli komuniści i naziści"*. Tym bardziej zaprzecza się tam, że idąca przez Polskę od 1944 roku Armia Czerwona była armią *„wyzwolicieli–gwałcicieli"* (© W. Ł.), bo chociaż usuwała hitlerowców, to jednak brutalnie gwałciła miliony kobiet, dziewcząt, małych dziewczynek i staruszek, nie tylko wyłapując je po ulicach, lecz dopadając także w mieszkaniach (wówczas — jak nadmieniał swym memuarem Marek Hłasko — uspokajali małżonka gwałconej: *„ — Ty czewo bezpakoisz sia? Razoczok żonku pierejebiom, i dostatoczno"*). Hałastra ta prócz gwałcenia mordowała też masowo polskich patriotów i grabiła wszystko co chciała (*„ — Dawaj czasy!"*). Nie przez przypadek trzeba było retuszować sławne zdjęcie sołdata zawieszającego sowiecką flagę ponad Berlinem, bo miał na obu przegubach zegarki. Grabiąc

Zawieszanie flagi zwycięstwa (foto przed retuszem i po retuszu)

Polskę sowieccy *„wyzwoliciele"* wywieźli z niej dobra (m.in. setki fabryk) o wartości (dzisiejszej) kilkudziesięciu miliardów dolarów.

SOŁDACKIE ZBYDLĘCENIE

Zanim Armia Czerwona przekroczyła w roku 1944 Bug idąc ku Wiśle — jej specjalnie wyszkoleni dywersanci byli zrzu-

eprasa.pl 13042f9ed2

cani na znajdujące się pod okupacją tereny polskie, by wspierać lub tworzyć czerwony ruch oporu. Ci sowieccy agenci dostawali przed wyruszeniem prostą instrukcję bezpieczeństwa: *„Gdy się zgubisz i będziesz szukał pomocy, rozpoznasz dobrych ludzi bez trudu. Jeśli w chałupie lub w domu wisi Matka Boska i krzyż, trafiłeś prawidłowo”*. Szkoda, że krasnoarmiejcy nie dostawali też instrukcji człowieczeństwa — może wówczas mniejsza ich liczba zachowywałaby się niczym bestie. Dla ludzi, którzy to masowe zezwierzęcenie pamiętają — celebrowany wciąż w Rosji kult Armii Czerwonej jest hołdowaniem umundurowanego barbarzyństwa (tak samo jak kult OUN–UPA na Ukrainie). To zwyczajny atawizm dziczy.

Krasnoarmiejcy (żołdacy i politrucy sowieccy) na broszurowej okładce powieści Jerzego Bandrowskiego (1921)

Komuniści polscy oczywiście witali wkraczających czerwonoarmistów z radością i lansowali *„braterstwo broni”* między sobą a nimi, zaś lewicowi poeci sławili to *„braterstwo”* głupawym rymem, exemplum Jacek Bocheński (**„Piosenka o przyjaźni”**):

„W bitwie z dwóch kaemów bliskich
wyleciały dwa pociski —
jeden Wojtka, drugi Wani,
razem szły jak zakochani”.

Bohdan Urbankowski: *„«Naszą» armią była Armia Czerwona. Podkreślali to wojskowi politrucy, powtarzali to także*

poeci. Symbolicznego wymiaru nabiera wspomnienie Pasternaka, który opowiada, że miał tylko jedno marzenie: by mieć taką samą czerwoną gwiazdę jak idące ze wschodu oddziały Armii Czerwonej. W końcu udało mu się otrzymać od jednego żołnierza taką gwiazdę za kilka papierosów” (1995). Patrioci mieli inne odczucia. Wyrzucony ze Lwowa przez krasnoarmiejców (Stalin przyznał Lwów Ukrainie) pracownik Ossolineum, Roman Aftanazy, wylądował w Breslau i patrząc przy oknie na rzekę oraz panoramę miasta mruknął do późniejszego dyrektora Ossolineum, Adolfa Juzwenki:

— Wrocław twoje miasto, Odra twoja rzeka, kurwa twoja mać!!

Owszem, nie brakowało też *„wyzwolonych”*, którzy wspominali *„Armię Wyzwolicielkę”* jako Armię Zbawienia wielce humanitarną. Roku 1996 Mark Verstanding (Żyd z Mielca, adwokat, który przeżył okupację, bo ukrywali go Polacy, później funkcjonariusz UB) wydał w Australii książkę **„I Rest My Case”**, zapewniając tam (str. 197): *„Sowieccy żołnierze byli na terytorium Polski wysoce zdyscyplinowani. Płacili za wszystko, co kupowali, i byli nadzwyczaj uprzejmi. Nikomu nic nie ukradli i nie skrzywdzili nikogo”* (sic!!!). Zważywszy realia — nawet nie można tego skomentować frazą *„kupa śmiechu”*.

Puentą podrozdziału niechaj będzie wspomnienie Elizy S. (czytelniczki tygodnika **„Angora”**) z wycieczki do Wiednia, gdzie przewodniczka zaprowadziła grupę turystów pod wielki pomnik Armii Czerwonej i wyjaśniła, że powstał on nim okupujący Wiedeń *„wyzwoliciele”* sowieccy opuścili ten gród, bo grozili, że go nie opuszczą jeśli nie zobaczą pomnika. Któryś wycieczkowicz spytał: *„ — No dobrze, ale teraz możecie go zburzyć, czemu tego nie robicie?”*. Przewodniczka odparła, że Wiedeńczycy boją się klątwy, iż krasnoarmijni *„wyzwoliciele”* wrócą jeśli monument ulegnie zburzeniu…

* * * * *

Armia Czerwona przestała istnieć tuż po II Wojnie Światowej, w roku 1946 — zmieniła wówczas nazwę, stała się: Armią Radziecką. Co nie przeszkadza ignorantom używać określenia *„Armia Czerwona”* wobec armii sowieckiej lat 60–ych, 70–ych czy 80–ych XX wieku (robili to m.in. tłumacze dialogów w filmach o Jamesie Bondzie, exemplum: **„Szpieg, który mnie kochał”**, 1977). Zachodni filmowcy lubią też dawać *„kałachy”* walczącym z hitlerowcami sowieckim żołnierzom, co jest ahistoryzmem, bo Michaił T. Kałasznikow skonstruował karabin maszynowy AK–47 przy końcu lat 40–ych (Armia Czerwona miała *„pepesze”*, czyli PPS–41 i PPS–43). Jednak wszelkie takie mity to pestka przy micie głównym, obowiązującym na terenie Federacji Rosyjskiej: że Armia Czerwona była wojskiem szlachetnym, honorowym, etycznie nieskazitelnym. Każdemu, kto jest innego zdania, grozi tam (za *„przeczenie faktom”*) surowa kara na mocy podpisanej w 2014 roku przez Władimira Putina ustawy, która penalizuje *„rozpowszechnianie fałszywych wiadomości o działaniu Związku Radzieckiego podczas II Wojny Światowej”*. ©℗

eprasa.pl 13042f9ed2

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Sawinkow musiał zginąć

Dzisiaj to nazwisko niewiele komukolwiek coś mówi. Jednak kiedyś nie schodziło z pierwszych stron gazet. Borys Sawinkow był bez wątpienia jedną z najbardziej barwnych i nietuzinkowych postaci swojej epoki. A czasy same w sobie były przecież niezwykłe i pełne wielkich indywidualności.

Rosyjski terrorysta-rewolucjonista, organizator zamachów bombowych na czołowych carskich urzędników. Minister w rządzie Kiereńskiego. A potem wielki rywal Lenina. Człowiek, który miał ambicje, aby rządzić Rosją, a skończył w sposób żałosny.

W 1924 r. został zwabiony przez Czeka do Związku Sowieckiego. Wytoczono mu tam proces pokazowy, na którym kajał się przed bolszewikami. Z zawartego z Sawinkowem układu czekiści się nie wywiązali. Nie pozwoli mu włączyć się w „budowę socjalizmu". Gdy już nie był potrzebny, wyrzucili go z okna Łubianki. A według innej wersji skłonili do samobójstwa. Sawinkow roztrzaskał się na moskiewskim bruku.

A tak niewiele brakowało! W 1920 r. wziął udział w wielkiej grze Józefa Piłsudskiego. Rewolucjonista miał zostać przywódcą – wymarzonej przez Naczelnika Państwa – Trzeciej Rosji. Ani bolszewickiej, ani białej. Sawinkow stworzył w Warszawie Rosyjski Komitet Polityczny, u boku Wojska Polskiego powstały rosyjskie, antybolszewickie oddziały…

Niestety, z tych wielkich planów nic nie wyszło. Piłsudski się rozmyślił. A Sawinkow – przykro o tym pisać – na życzenie Moskwy został z Polski przepędzony…

O tych wszystkich fascynujących sprawach przeczytają państwo w świetnej biografii Sawinkowa pióra Andrzeja Stanisława Kowalczyka. Autor nie ma wątpliwości, że Sawinkow nie mógł wyjść z Łubianki żywy.

„Kim miałby zostać? – pyta Kowalczyk. – Konduktorem w Baku? Szatniarzem w teatrze w Irkucku? Nawet gdyby pozostał potulnym obywatelem sowieckim w jakimś Woroneżu czy Władykaukazie, to żyłaby i oddziaływała jego legenda. Władze nie życzyły sobie nawet ujawniania sposobu, w jaki Sawinkow został zwabiony do Sowietów. Najwyraźniej nie chciano dopisywać do legendy Borysa Wiktorowicza nowego rozdziału. Z tego samego powodu egzekucja więźnia nie była wskazana. Wroga należało unieszkodliwić, a sprawę zamknąć, by wszyscy o nim zapomnieli".

Całe szczęście, że są tacy, którzy pamiętają. ©℗

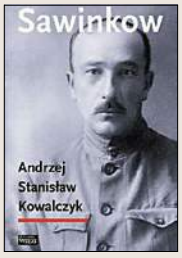

★★★★★★

ANDRZEJ S. KOWALCZYK „SAWINKOW" BIBLIOTEKA WIĘZI

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wajda – mistrz zespołowy

Podstawą sukcesu Andrzeja Wajdy zawsze była umiejętność pracy w grupie. Reżyser chętnie słuchał opinii innych osób na planie i gdy je zaakceptował, natychmiast wprowadzał w życie. Podczas pracy nad „Pokoleniem" (premiera: 26 stycznia 1954 r.) zgromadził wokół siebie znakomitą ekipę. Skorzystał wiele z doświadczenia Tadeusza Łomnickiego. Byli w niej również Jerzy Lipman, Stefan Matyjaszkiewicz, Roman Polański, Tadeusz Janczar, Zbigniew Cybulski, Kazimierz Kutz. I tak miało już pozostać.

> **Nigdy nie brakowało opinii, że reżyser wykorzystuje pomysły innych**

Wajda umiejętnie wciągał „do tworzenia filmu wszystkich współpracowników". Zawsze posiadał dar wzbudzania „emocji całej ekipy" i w mistrzowski sposób to wykorzystywał. Oczywiście brał odpowiedzialność za finalny efekt, sukces czy klęska szły na jego konto. Nigdy jednak nie brakowało opinii, że reżyser wykorzystuje pomysły innych, aby sobie przypisać wyłączną chwałę. Zarzucano mu też wtórność i naśladownictwo, a co dziwniejsze – te zarzuty padały ze strony jego przyjaciół i współpracowników.

„Wajda zapożycza się z rozmysłem u innych – twierdził Tadeusz Konwicki. – Nie robi tego ukradkiem, wstydliwie, zacierając zręcznie swe uczynki. […] Bierze to, co go zachwyciło albo wydało się skuteczne w działaniu. Bierze ostentacyjnie, bierze nawet z pewną celebrą, bo to branie jest dla niego jakby […] odmianą rytuału wypalania fajki pokoju".

Jeszcze dalej poszedł Kazimierz Kutz, który był asystentem Wajdy przy „Pokoleniu" i „Kanale". Początkowo cenił postępowanie przełożonego, z czasem jednak zaczął odczuwać irytację. Zarzucał mu nielojalność wobec współpracowników, twierdząc, że „plagiat, cytat" albo „niedochowanie umowy – nie istnieją u niego. Jest to u niego tak autentyczne, że aż moralne".

„On się zaraz na początku załamał – opowiadał Kutz o kulisach powstawania słynnego »Kanału« – okazało się, że to dla niego za trudne fizycznie. Kręciliśmy w październiku–listopadzie, kanały wybudowano w wytwórni w Łodzi, na podwórzu; codziennie trzeba było w to błoto wchodzić w majtkach. [...] A on się tylko od czasu do czasu pojawiał i montował zrobiony materiał. […] A do tego zmontowany już materiał okazał się »wielkim gównem«. Dopiero Tadeusz Konwicki, kierownik literacki w zespole Kadr, opowiedział Wajdzie jego własny film – tak jak powinien wyglądać. A Wajda pokornie przemontował, po czym spił śmietankę".

Każdy artysta ma własne metody pracy, a liczy się tylko końcowy efekt. A ten u Wajdy z reguły był znakomity. ©℗

eprasa.pl 13042f9ed2

Pamiątka po przyszłości

Piotr Semka

Charków miał być sowieckim miastem przyszłości, przeciwieństwem Kijowa – pełnego cerkwi, monastyrów i tradycji

Przez ponad 15 lat – między rokiem 1917 a 1934 – Charków był stolicą Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Do planów jego rozbudowy ściągano awangardowych architektów i planistów.

Jako centrum Ukrainy stał się ośrodkiem renesansu narodowej sztuki i literatury. Ten futurystyczny sen trwał do chwili, gdy Stalin uznał, że ukraińskiemu odrodzeniu trzeba położyć kres. Stolicą znów stał się Kijów, bardziej kojarzący się dyktatorowi z Kremla z rosyjską ideą imperialną. Świeżo rozkwitłe narodowo-ukraińskie elity przetrzebiono w czystkach, a reszty dokonała II wojna światowa.

Swój status stolicy sowieckiej Ukrainy Charków zawdzięczał dogmatom marksizmu. W czasie burzliwych miesięcy po przewrocie bolszewickim w listopadzie 1917 r. w Kijowie toczyła się gra o zdobycie pełnej władzy między Ukraińską Centralną Radą a Bolszewikami.

„TWIERDZA PROLETARIATU"

W połowie grudnia 1917 r. Lenin zażądał od ukraińskich niepodległościowców podporządkowania się i abdykacji na rzecz miejscowego sowietu żołniersko-chłopsko-robotniczego, który bolszewicy uznawali za swój organ władzy. Jednak wodza rewolucji czekało niemiłe zaskoczenie. Zebrany w Kijowie Zjazd Rad Delegatów Chłopskich, Żołnierskich i Robotniczych poparł UCR. W tej sytuacji mniejszość popierająca bolszewików z kijowskiego sowietu wymknęła się do kontrolowanego przez Lenina Charkowa i tam proklamowała Ukraińską Sowiecką Republikę Ludową. Propaganda bolszewicka zaczęła atakować UCR w Kijowie jako radę zdominowaną przez bogaczy i burżujów.

Dlaczego na stolicę wybrano Charków? Marksiści uznali, że jest to miasto twierdza uświadomionej klasy robotniczej.

„Bastionami walki ludzi pracy" – jak górnolotnie głosili bolszewicy – były wielka fabryka parowozów i wiele fabryk powstałych w trakcie ekonomicznego boomu przełomu wieków XIX i XX.

eprasa.pl 13042f9ed2

Derżprom w Charkowie powstał, bo awangardowi urbaniści i architekci chcieli pokazać, jak mają wyglądać socjalistyczne metropolie przyszłości FOT. FORUM

Wiktor Szkłowski, świadek rewolucji na tych terenach, tłumacząc słabe wpływy bolszewików w kijowskim sowiecie wskazywał: „W Kijowie [...] poza (zbrojeniowymi zakładami) »Arsenał« i Fabryką Gelnera nie było innych większych zakładów".

W kwietniu 1918 r. Charków zajmują Niemcy, ale od stycznia 1919 r. komuniści znów trzymają go mocno w dłoni. Stracili to miasto jeszcze raz – między czerwcem a listopadem 1919 r. kontrolował je wódz „białych", gen. Anton Denikin.

Teoretycznie wraz z końcem wojny domowej i ze zwycięstwem bolszewików stolicą Ukrainy znów mógł stać się Kijów, ale Charków utrzymał stołeczny status.

Budowę Derżpromu propaganda sowiecka nagłaśniała jako przykład wyższości socjalizmu nad kapitalizmem

Metropolię nad Dnieprem uznano za siedlisko reakcji – zbyt dużo było tu cerkwi, monastyrów i przedwojennej inteligencji. Za to Charków miał zostać wzorcowym miastem, nowego, modernistycznego typu.

Jeszcze w 1919 r. powstały pierwsze awangardowe pomysły przebudowy Charkowa, ale realny kształt zaczęły one przyjmować ok. 1924 r.

Swoją szansę w tych planach dostrzegli wtedy młodzi, awangardowi urbaniści i architekci, którzy postanowili pokazać, jak mają wyglądać socjalistyczne metropolie przyszłości.

W czerwcu 1925 r. rozpisano międzynarodowy konkurs na budynek Derżpromu, czyli „Derżawnoj promisłowosti" – gmachu państwowego sektora przemysłowego, mający być siedzibą trustów, czyli zjednoczeń gospodarki Ukrainy. Konkurs wygrał niezwykle nowoczesny – jak na swoje czasy – projekt trójki architektów z Leningradu: Sergieja Serafimowa, Samuiła Krawca i Marka Felgera. Był to kompleks wielu kubistycznych gmachów z najwyższym wówczas nie tylko w ZSRS, lecz także w całej Europie drapaczem chmur. Budynek w najwyższym punkcie liczyć miał sobie 13 pięter o wysokości 68 m i miał być zbudowany z jednolitego żelazobetonu. Władze sowieckie pod patronatem ówczesnego komisarza do spraw kultury Anatolija Łunaczarskiego wspierały awangardę w architekturze.

Budynek zbudowano w trzy lata, stosując z początku głównie prymitywną siłę robotników (2,5 tys. ludzi), ale z czasem szybko mechanizując jego powstawanie.

Do zbudowania gmachu zużyto 1315 wagonów cementu, 9 tys. ton stali, 3,7 tys. wagonów granitu i 4 tys. mkw. szkła. Wszystkie klamki wykonano z miedzi, która – jak wierzono – miała mieć działanie bakteriobójcze.

Ukraiński historyk Ołeksij Musijezdow pisze: „Rozmiary budynku wyjaśniają pojawienie się różnych legend związanych z jego architekturą. Istnieją na przykład legendy, że zgodnie z zamierzeniem architektów Derżprom miał przypominać albo krążownik »Aurora« albo czołg. Sądzono również, że różnice w wysokości różnych części budynku odzwierciedlają wysokość nut pierwszych taktów »Międzynarodówki«".

Pierwsze słowa ówczesnego sowieckiego hymnu wymalowano zresztą na dachu kompleksu budynków, tak aby były widziane z pokładu samolotów lecących nad miastem.

Budowę Derżpromu propaganda sowiecka nagłaśniała jako przykład wyższości socjalizmu nad kapitalizmem. Z racji priorytetowego charakteru budowy, gdy szybko przekroczono przewidywane koszty, z pomocą przyszły władze w Moskwie. W 1926 r. hojną dotacją budowę wsparł

eprasa.pl 13042f9ed2

sam Feliks Dzierżyński, który prócz kierowania GPU był też od 1924 r. przewodniczącym Najwyższej Rady Gospodarczej ZSRS (po śmierci został patronem placu przed Derżpromem).

Przy kopaniu fundamentów doszło do sensacji – odnaleziono szkielet mamuta, który troskliwie wykopano i przeniesiono do muzeum przyrody. Ten incydent skłonił poetę Włodzimierza Majakowskiego do uczczenia budowy Derżpromu osobnym wierszem: „Tam, gdzie wrony biły się, kracząc nad ścierwem, w płótno kolei zawinięty, szumi stolica – ukraiński Charków, żywy, robotniczy, żelazobetonowy".

Budynek chętnie pokazywano architektom i pisarzom z Zachodu w czasie ich wizyt w ZSRS. I faktycznie robił wrażenie. Charkowski „drapacz chmur" opiewał francuski postępowiec Henri Barbusse, a inny „pożyteczny idiota" – amerykański pisarz Theodore Dreiser – pisał o „Cudzie zobaczonym w Charkowie".

MIASTO JUTRA

Derżprom miał być początkiem całego nowego centrum miasta. Centralny plac w myśl futurystycznych fascynacji zyskał kształt silnika z paskiem klinowym.

Jeszcze w czasie powstania Derżpromu zaczęto stawianie dwóch kolejnych nowatorskich gigantycznych gmachów – Domu Projektów (proj. S. Serafimow i Maria Zandberg) oraz gmach Domu Kooperatyw (proj. Aleksander Dmitriew i Oskar Munc).

Kształt placu dopełniła przebudowa dawnego pałacu carskiego gubernatora na nowoczesny gmach KC Partii Komunistów Ukrainy (bolszewików) oraz hotel Internacjonał. Przy dworcu kolejowym powstał z kolei nowoczesny urząd pocztowy projektu A.G. Mordwinowa. Na bazie fabryki lokomotyw zbudowano wielkie zakłady produkcji traktorów, gdzie jednocześnie przy pomocy Niemiec weimarskich budowano pierwsze sowieckie czołgi.

Nie wszystkie pomysły zrealizowano. Nie udała się budowa panoramy bitwy o przesmyk Perekopu z 1920 r. Za to nie zabrakło środków i ekip rozbiórkowych do zburzenia Soboru Nikołajewskiego.

KONIEC SNÓW

Środowisko charkowskich intelektualistów z zapałem podjęło w latach 20. odgórne hasło korienizacji, czyli rozbudowania kultur narodowych w nowo powstałych republikach radzieckich. W Charkowie powstały liczne grupy literackie teatralne i artystyczne, które odrodziły ludowe motywy ukraińskie i nadały rodzimej mowie nowy status.

Centralny plac Charkowa zyskał kształt silnika z paskiem klinowym

FOT. WWW.NGEORGIJ.LIVEJOURNAL.COM

Ten ukraiński renesans zaczął coraz bardziej drażnić Józefa Stalina, który od 1928 r. objął niemal nieograniczoną władzę. Przykręcanie śruby odbywało się powoli, ale systematycznie. W 1930 r. w sfingowanych, pokazowych procesach skazano na kary więzienia czołówkę ukraińskich „odrodzeniowców".

W 1933 r. Stalin usunął ze stanowiska Łunaczarskiego i zaczął zachęcać do krytyki awangardy w architekturze jako „formalizmu".

Nowi nadzorcy kultury początkowo „dobrodusznie" zaczęli przypominać architektom, że „przecież władza sowiecka nie zakazała stosowania w gmachach greckich kolumn". Potem – tak jak w przypadku konstruktywistów braci Aleksandra i Wiktora Wiesninów – oficjalnie polecono im, by „przemyśleli architekturę jako sztukę".

Końcem marzeń o Charkowie jako wzorowym „mieście jutra" była decyzja Stalina o przeniesieniu stolicy Ukraińskiej SSR do Kijowa. Wraz z „rozstrzelanym odrodzeniem" ukraińskim zakończyło to 15 lat Charkowa jako dynamicznego centrum ukraińskiej kultury.

Urzędy w mig odgadywały życzenia Stalina i natychmiast zmniejszono nakłady pieniędzy na dokończenie inwestycji. Do 1941 r. nie ukończono dwóch prestiżowych budów Domu Projektów i Domu Kooperatyw. Projekt budowy metra w Charkowie wprost wyrzucono do kosza. Tylko zbudowany jako pierwszy budynek Derżpromu pełnił nową funkcję siedziby przemysłowych władz regionu.

Wkraczający do Charkowa w październiku 1941 r. żołnierze Wehrmachtu ze zdziwieniem oglądali modernistyczne gmachy zbudowane w kraju krzyczącej nędzy. Do budynku Derżprom wprowadziły się władze okupacyjne, policyjne i wojskowe, a plac przed nim nazwano placem Wehrmachtu. Wojna okazała się bezlitosna dla najważniejszych dzieł charkowskiej moderny z lat 20.

W 1943 r. miasto dwukrotnie przechodziło z rąk do rąk. W lutym zdobyli je Sowieci, ale już w marcu odbili je znów Niemcy. Ku czci oddziałów, które zdobyły miasto, plac przed Derżpromem nazwano „SS-Leibstandarteplatz". W sierpniu 1943 r. Armia Czerwona znów zajęła miasto. Stalin, który Charkowa nie cierpiał, nie zgodził się, by otrzymało ono tytuł Miasta Bohatera ZSRS.

Po wojnie do odbudowy miasta przystąpili architekci spod znaku socrealizmu.

Modernistyczną siedzibę CK UPK zburzono w czasie walk.

Dom Projektów, Dom Kooperatyw i hotel Internacjonał odbudowano w stylu stalinowskiego cukierniczego baroku. Tylko Derżprom – z uwagi na silną żelbetonową konstrukcję – przetrwał wojnę niemal nietknięty. W roku 2004 został wciągnięty na listę zabytków UNESCO. Nadal jest symbolem Charkowa, a ci, którzy znają grę komputerową „World of Tanks", wiedzą, jak ważną rolę odgrywa w symulacji walk niemieckich i sowieckich czołgów z 1943 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13042f9ed2

FOT. GETTY IMAGES

AUSTRALIAN OBCIACH

Australian Open, jeden z najważniejszych tenisowych turniejów, rozpoczął się m.in. od uroczystości losowania zawodników, na którą nagrodę wniosła... Maria Szarapowa. Rosjanka dwa lata temu właśnie w Australii została złapana na dopingu i miała 15-miesięczny zakaz gry. Z kolei Martinie Navrátilovej i Billie Jean King nie spodobało się, że jeden z kortów w Australii nosi imię Margaret Court. Powód? Była mistrzyni tenisa jest religijna i publicznie wyraża opinię, że osoby tej samej płci nie powinny zawierać małżeństw. Trudno powiedzieć, która sytuacja była bardziej żenująca – robienie z dopingowiczki bohaterki czy postulat odbierania honorów ze względu na przekonania.

BO SIĘ PRZEBRAŁ

W świecie sportu w ogóle ostatnio jest dziwacznie. Nie tak dawno temu piłkarski reprezentant Francji przebrał się za koszykarza słynnej drużyny Harlem Globetrotters i wrzucił fotkę na Instagram. W Internecie został od razu okrzyknięty rasistą. Dlaczego? Ponieważ przebranie uzupełnił peruką afro oraz przyciemnił swoją skórę. Nie pomogło tłumaczenie, że chciał złożyć hołd idolom, którzy akurat tak się składa, są ciemnoskórzy. Musiał zdjęcie z Internetu usunąć i publicznie przeprosić wszystkich oburzonych.

ŚWIĘTY JAK LENIN

Jeśli ktoś myśli, że komunizm to zbrodniczy system, który pochłonął więcej ofiar niż nazizm, to głęboko się myli. Rosyjski prezydent, który wypowiadał się dla dokumentalnego filmu, wytłumaczył, że ta ideologia jest po prostu „bardzo bliska chrześcijaństwu". Wskazał także na inne podobieństwa. Stwierdził, że przechowywanie resztek Lenina w mauzoleum to dokładnie taki sam kult, jak pielęgnowanie religii świętych w kościele. „My tutaj też mamy święte relikwie" – dodał.

BEZPIECZEŃSTWO PO TURKMEŃSKU

W poprzednim numerze opisaliśmy przedziwny kierunek polityki w Turkmenistanie, zgodnie z którym zakazano sprowadzania i rejestrowania samochodów w kolorze czarnym, a posiadaczy takich pojazdów zmusza się do ich przemalowania. Okazuje się, że Turkmenistan na tym nie poprzestaje. Ponieważ sporo wypadków w tym kraju powodowały kobiety, minister policji zdecydował się po prostu zabronić im prowadzenia pojazdów. I choć zakazu formalnie nie ogłoszono, to policja zaczęła go realizować w praktyce.

NAGRYWALI, ZAMIAST POMAGAĆ

Na stacji paryskiego metra 22-latek został dźgnięty nożem. Wokół niego szybko zgromadzili się inni pasażerowie i... wyciągnęli swoje smartfony. Zamiast pomóc rannemu, nagrywali, jak się wykrwawia, i udostępniali filmiki w mediach społecznościowych. Można mieć wątpliwości, czy takie portale można nazwać społecznościowymi. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O nauce języków

Jeśli ludzie uwierzyli w komunizm, w charyzmę Mateusza Kijowskiego i w to, że Elvis żyje, to z pewnością też wierzą, iż w dwa tygodnie nauczą się obcego języka. Mającą temu służyć metodę nauki i pomoce naukowe szalbierze za niemałe pieniądze oferują w sieci. I to nawet na stronach internetowych włoskiej agencji prasowej ANSA czy polskich portali informacyjnych.

Niedorzeczność reklamy, podobnie jak głupota nabywców produktu, są powalające. Rewolucyjna metoda nauki nosi skandynawskie nazwisko jej twórcy. Dlatego z reklamowej fotki ciepło uśmiecha się jakiś siwy pan, który rzekomo metodę wymyślił i teraz włada biegle 27 językami. We włoskim Internecie nazywa się Larsson, a w polskim Solberg. Wszystko podlane jest bełkotem o zmasowanym ataku słówek i zwrotów na obie półkule mózgowe, co ma im pozwolić zagnieździć się w naszym organie intelektualnym pięć razy szybciej oraz na zawsze. Najzabawniejsze są jednak zdjęcia, jak można się domyślać, z pobierania nauk. Delikwenci mają łepetyny spowite kabelkami, elektrodami i czujnikami albo ściśnięte obręczą, a często i okular, najpewniej skradziony bestii z filmu „Predator". Można śmiało wnosić, że chodzi o transfer wiedzy drucikami bezpośrednio do mózgu z pominięciem świadomości, czyli de facto o prastarą metodę indukcyjną, w imię której młodzież wkładała podręczniki pod poduszkę. W końcu jednak okazuje się, że inwazyjnego osprzętu ze zdjęcia metoda Larssona-Solberga nie przewiduje.

Nie jest jasne, jaką metodą uczyło się angielskiego dwóch Niemców ze starej anegdoty, ale warto ją ku przestrodze przytoczyć. Weszli do pubu w Londynie. „Martini, please". „Martini dry?" – pyta barman. „Nein, nein, zwei!". ©℗

eprasa.pl 13042f9ed2

Jared Kushner jest nie tylko doradcą prezydenta Donalda Trumpa, lecz także jego zięciem. Może też być jego kłopotem

FOT. CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

Dzieje rodziny Kushnerów

Tomasz Wróblewski

Rodzinna historia doradcy Trumpa i zarazem jego zięcia nadaje się na niezły serial. A jedne z ciekawszych odcinków wciąż przed nami

Każda opowieść o rodzinie Kushnerów zaczyna się i kończy na Nowogródku. W międzywojennej Polsce. W mieście tyleż przepojonym polskością, co kulturą żydowską. Mieszanką języków, obyczajów przeplatanych głęboką religijnością, na której nie tylko Polacy, lecz także rozrzuceni po świecie Żydzi do dziś budują swoją tożsamość.

Jared Kushner jest częścią tej tradycji. Nawet jeżeli czasem jego życie i życie najbliższych zdaje się przeczyć wartościom głoszonym przez przodków, to w trudnych chwilach zawsze do nich wraca. Podkreśla przywiązanie do wiary, a doświadczeniami swoich dziadków tłumaczy nawet najbardziej wstydliwe występki. 10 stycznia Jared skończył zaledwie 37 lat, zaledwie – jak na człowieka zarządzającego imperium wartym blisko 2 mld dol. i rozdającego wizytówki najbliższego doradcy prezydenta Stanów Zjednoczonych.

OD STOLARZA DO DEWELOPERA

Joseph Kushner poznał swoją przyszłą żonę i babkę Jareda, Rae, w czasie II wojny światowej. Oboje pochodzili z ortodoksyjnych rodzin żydowskich. Joseph był stolarzem, synem stolarza. Pierwsze lata wojny spędził w oddziałach partyzanckich. Babka ukrywała się przed Niemcami. Najprawdopodobniej w polsko-ruskim gospodarstwie. Tam też miała spotkać Jareda wędrującego od domu do domu w poszukiwaniu żywności dla swoich towarzyszy broni. Po wojnie razem przedostali się na Zachód, ale wcześniej oboje widzieli śmierć większości swoich bliskich. Imiona pomordowanych ciotek i wujów do dziś nadawane są wszystkim dzieciom w rodzinie, a opowieści o ich śmierci powtarzane są na każdym rodzinnym spotkaniu. Kiedy w czasie kampanii wyborczej Jared Kushner został oskarżony przez żydowskiego publicystę, że stojąc u boku Trumpa, uwiarygadnia populistyczną narrację przyszłego prezydenta, pełną antysemickich aluzji, odpowiedział historią ciotki Esther. Kiedy 7 grudnia 1941 r. Niemcy zgonili wszystkich Żydów na rynek w Nowogródku i dzielili złapanych na grupy, Esther jako jedyna miała odwagę rzucić się do ucieczki, nie czekając na innych. Ostatecznie zginęła rozstrzelana razem z 5,1 tys. innych Żydów, ale spróbowała. „Nie trzeba wielkiej odwagi, żeby stać razem z tłumem. Trudniej jest spojrzeć na historię człowieka i decyzje, które podejmował w chwili próby" – pisał na łamach nowojorskiego „Observera". „Trudniej jest podważać wszystko to, w co przywykliśmy wierzyć".

Sama w sobie przypowieść niewiele pewnie wyjaśniła, ale chodziło o symbol. Budowę legendy rodziny świadomie podążającej własną ścieżką, kierującej się mądrością, której współcześni czasem

eprasa.pl 13042f9ed2

nie są w stanie pojąć. Narracja, która towarzyszy całej rodzinie od lat i najwyraźniej pomaga racjonalizować mocno wątpliwe moralnie postawy.

Czytając dzieje Kushnerów, można założyć, że za rok czy dwa lata Netflix albo HBO nakręcą ich rodzinną sagę – pełną dramatycznych zwrotów, bohaterstwa, a także zdrad, oszustw, zawiści oraz podstępów. Znajdziemy tam przykłady imponującej rodzinnej lojalności, lecz także podłości. Fascynujące opowieści o tym, jak powstawała i jak była trwoniona rodzinna fortuna. Dowodów religijności, ale i wykorzystywania wiary do szemranych interesów. Trudno powiedzieć, kim byłby dziś Jared bez rodzinnych pieniędzy, wsparcia nowojorskiej socjety i żydowskiej finansjery. Jak wyglądałaby fortuna rodu deweloperów nękanego niezliczonymi śledztwami prokuratury, Komisji Papierów Wartościowych, FBI, CIA? Czy to Jared byłby najsławniejszym przedstawicielem rodu, gdyby nie związek z córką Donalda Trumpa, czy raczej jego brat? Josh Kushner trzyma się z dala od rodzinnych biznesów. Bliżej mu do George'a Sorosa, który włożył kilkanaście milionów w jego fundusz inwestycyjny, i Billa Gatesa, którego firma współpracuje z jego platformami pośrednictwa finansowego. Josh też jest dziś miliarderem, ale do pieniędzy doszedł praktycznie sam. Kiedy jego starszy brat zasiadł w Białym Domu, kilka metrów od Owalnego Gabinetu, firma Josha wydała oświadczenie, że ten Kushner nie ma nic wspólnego z tamtym biznesem i nie polega na rządowych kontraktach.

Joseph i Rae Kushnerowie dotarli do New Jersey w 1949 r. To był okres wielkiego boomu. Amerykańscy żołnierze wracali z wojny, dostawali rządowe wsparcie i budowali się na potęgę. Wszędzie brakowało hydraulików, murarzy i oczywiście stolarzy. Joseph zaraz po wyjściu na ląd zaciągnął się do pracy na budowie. Pierwsze oszczędności przeznaczył na zakup ziemi. Zbudował własny dom, w którym jednak nie zamieszkał. Sprzedał go, a to, co zarobił, włożył do spółki z grupą innych żydowskich robotników. W Ameryce do dziś zachował się termin „Holocaust builders". Określa on Żydów ocalałych w II wojnie światowej, którzy otwierali własne przedsiębiorstwa budowlane. W rodzinnych historiach kilku potężnych amerykańskich rodów znajdziemy mnóstwo podobnych opowieści o fortunach wyrosłych na powojennych placach budowy. Firmy takie jak Jacobs Engineering czy firma Mortimera Zuckermana, obecnie również właściciela „US News & World Report" i firm komputerowych, to wszystko pokolenie Josepha Kushnera.

CZEGO NIE KUPISZ, TO CIĘ ZNISZCZY

Joseph postawił łącznie 4 tys. apartamentowców. Synom zostawił całkiem zacną fortunę kilku milionów dolarów. Charles, ojciec Jareda, choć zdecydowanie mniej utalentowany i gorzej wykształcony od młodszego brata Murraya, od początku był namaszczany do prowadzenia biznesu. On jeden w całej rodzinie nie nosi tradycyjnego żydowskiego imienia. Początkowo miał się nazywać Chanan Kushner, dla upamiętnienia zamordowanego w obozie koncentracyjnym brata matki. Ponoć pielęgniarka w szpitalu w New Jersey, słysząc, jakie ma wpisać imię na metryce, wzruszyła ramionami, wpisała Charles i powiedziała, że tak będzie po amerykańsku. Przytaczam tę anegdotę, bo równo 50 lat później, kiedy wnuk Josepha oświadczył, że chce się pobrać z protestantką, córką magnata budowlanego, rodzina postawiła warunek, że Ivanka Trump przyjmie judaizm jako swoją religię, a wszystkie „dzieci będą nosiły szlachetne imiona". Według tygodnika „New Yorker" w ten sposób Wendi Deng, dużo młodsza żona Ruperta Murdocha, przekonywała rodzinę Kushnerów do zgody na małżeństwo Jareda z gojką.

Tak jak Joseph Kushner był uosobieniem amerykańskiego snu biednej żydowskiej rodziny ze wschodniej Polski, tak jego syn Charles z rodziny Kushnerów stworzył coś na podobieństwo żydowskiego syndykatu. W 1985 r., po studiach prawniczych, dołączył do biznesu ojca. Zamiast budować, zaczął kupować apartamentowce, remontować i sprzedawać z jeszcze większym zyskiem. Przez 20 lat Kushner Companies sprzedała ponad 25 tys. mieszkań od Nowego Jorku do Maryland. Jednak Charles kupował nie tylko budynki. Kupował też informacje o planach zagospodarowania, informacje o kłopotach konkurentów, przekupywał lokalnych polityków i płacił miliony prawnikom pomagającym mu w oszustwach podatkowych. Wierzył i publicznie to powtarzał, że wszystko oraz wszystkich można kupić. W głośnej swego czasu w Ameryce książce „Cena za studia" („The Price of Admission") Daniel Golden szczegółowo opisał historię studiów jego syna, Jareda Kushnera. Dla Goldena był to koronny przykład zepsucia i upadku najlepszych amerykańskich uczelni. Jared, słaby uczeń w liceum, był w stanie ukończyć najlepsze uczelnie w Ameryce tylko dzięki pieniądzom ojca. Rok przed rozesłaniem podań Jareda na studia Charles przekazał uczelni Harwarda 2,5 mln dol. Kiedy cztery lata później Jared starał się o przyjęcie na studia prawnicze na New York Univeristy, tata wpłacił uczelni dotację w wysokości 3 mln dol. Według „Forbesa" Jared niczym nie wsławił się podczas studiów, może z wyjątkiem tego, że po kilka razy dziennie dzwonił do ojca i co sezon przyjeżdżał nowym luksusowym samochodem. Jeden z jego sąsiadów na pierwszym roku studiów w rozmowie z „New York" powiedział, że Jared przez cały rok, kiedy mieszkali obok siebie, nie przeczytał ani jednej książki.

Kiedy Jared ukończył studia prawnicze, prokuratura praktycznie nie opuszczała już firmy jego ojca. Liczne śledztwa prowadzone jednocześnie w kilku stanach wyglądały coraz poważniej. Gdy było już jasne, że sprawa skończy się wyrokiem, Charles Kushner przyznał się do zarzutu oszustw podatkowych i nielegalnych datków na kampanie w wyborach stanowych. Dostał dwa lata więzienia. Gwoździem do trumny były donosy szwagra. Wplątany w zupełnie niezwiązaną z Kushnerami aferę mąż młodszej siostry Charlesa zaczął wyjawiać rodzinne tajemnice, żeby ocalić własną skórę. Kiedy Kushner dowiedział się o tym, zatrudnił wysokiej klasy prostytutkę, żeby uwiodła szwagra i nagrała film z ich spotkań w motelu. Taśmę wysłał siostrze. W żyłach Esther najwyraźniej płynie ta sama krew. Zamiast porzucić niewiernego męża, wynajęła detektywów, którzy wykryli otwory w ścianach motelu, gdzie zainstalowano kamery. Z zebranymi dowodami postanowiła iść na policję. Już z więzienia Charles pisał błagalne listy z przeprosinami do siostry, żeby wycofała oskarżenie. Wycofała. Rodzina u Kushnerów zawsze była ponad wszystko.

W 2016 r. tygodnik „New York" opisał te niezwykłe rodzinne relacje. Doroczne spotkania, przemowy, toasty, wieczorne spacery, gdzie Charlie prawił złośliwości swojej wyrodnej siostrze Esther. Z kolei część rodziny od strony wuja Murraya,

eprasa.pl 13042f9ed2

Gdy Jared chciał pobrać się z protestantką Ivanką Trump, rodzina miała postawić warunek – że jego wybranka przejdzie na judaizm FOT. MARK WILSON/GETTY IMAGES

tradycyjnie wspierająca partię demokratyczną, dogryza Jaredowi i Ivance. A Josh współpracujący z Sorosem musi znosić mentorstwo ojca swojej bratowej – obecnie prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Jared nigdy nie zwątpił w ojca. Często odwiedzał go w więzieniu, a kiedy tylko nadarzyła się okazja, mścił się. W czasie dochodzenia przeciwko Charlesowi Kushnerowi prokuratorem stanowym w New Jersey był późniejszy gubernator Chris Christie. Zasłynął jako twardy oskarżyciel, odporny na przekupstwa i próby zastraszania. Kiedy w 2017 r. Donald Trump chciał powołać szefa przejściowego gabinetu, Jared zażądał wyrzucenia Christie z Białego Domu. Sprawę ponoć postawił na ostrzu noża. Trump musiał wybierać między rodziną a swoim przyjacielem.

CUDOWNE 666

Uwięzienie Kushnera było szokiem nie tylko dla rodziny, lecz także dla całej socjety. Nowojorscy deweloperzy słyną z brutalności i działania na granicy prawa, ale rzadko ktoś tak bogaty i tak dobrze ustosunkowany jak Charles Kushner trafiał za kratki. Firma wpadła w tarapaty. Ostatecznie przetrwała i pod rządami Jareda stopniowo odbijała się od dna. Charles oczywiście zachował wpływ na najważniejsze decyzje i więzienie niczego go tak naprawdę nie nauczyło. Najlepszym tego dowodem jest to, że spółka wkrótce zatrudniła dwóch kolegów taty z więzienia – Avrama Lebora i Richarda Goettlicha. Obaj do dziś pracują na kierowniczych stanowiskach. Lebor odsiadywał karę siedmiu lat więzienia za przywłaszczenie 9 mln dol. w zamian za obietnice przyznania kredytów budowlanych. Goettlich odsiedział 10 lat za oszustwa giełdowe.

Pierwszą transakcją Jareda w styczniu 2007 r. było kupno za 1,8 mld dol. jednego z najzacniejszych budynków w Nowym Jorku przy Piątej Alej, nazywanego czasem – z uwagi na adres No. 666 – jaskinią bestii. Kushner sprzedał część rodzinnych nieruchomości w New Jersey. Wyłożył 500 mln własnych pieniędzy, a resztę pożyczył. Pech chciał, że w 2008 r. nadszedł kryzys. Do dziś 30 proc. powierzchni tego obiektu to pustostan.

Adres przy Piątej Alei dla Jareda był czymś więcej niż tylko inwestycją. Kushnerowie, mimo że należeli do najbogatszych rodzin Ameryki, zawsze cierpieli na kompleks prowincjonalności. Teraz ciążył na nich dodatkowo wyrok Charlesa. Dom pod szóstkami był niewątpliwie spektakularną zdobyczą. Branżowy miesięcznik deweloperów „The Real Thing", analizując historię i cały rodzinny portfel nieruchomości, napisał w 2009 r., że decyzja o wyprzedaniu tańszych posesji przez Jareda i skupienie się na drogich lokalizacjach oraz luksusowych apartamentach się opłaciła. Miesięcznik wycenił wartość nieruchomości na 7,5 mld dol. Jared nie jest jedynym właścicielem, ponad 4 mld należą do chińskich inwestorów, a 2,35 mld pozostaje zastawione w bankach, co zostawia rodzinie jakiś 1,1 mld dol.

WEJŚCIE NA SALONY

Zanim Jared stał się deweloperem, zdążył być jeszcze wydawcą. Za 2 mln dol. kupił upadający tygodnik „New York Observer". Wyjątkowe czasopismo, nawet jak na bardzo zróżnicowany nowojorski rynek. Tygodnik był czymś pomiędzy poważnym pismem opinii a tabloidem. Opisywał poważne zjawiska społeczne, ale przez plotki o znanych nowojorczykach. Snobistyczny i aspiracyjny. „Jesteś nikim w tym mieście dopóty, dopóki »Observer« o tobie nie napisze" – tak Murdoch tłumaczył swojej chińskiej żonie, dlaczego nie może ich zabraknąć na rocznicowej imprezie tygodnika.

Kushner był w swoim żywiole. Nie jako wydawca, o tym nie miał pojęcia.

eprasa.pl 13042f9ed2

Imponowało mu, że tygodnik wprowadzał go na nowojorskie salony. „Vannity Fair" pisząc o nowym właścicielu „Observera", napisało: „Trzydziestolatek, który dzięki pieniądzom ojca trafił w świat dorosłych. Dzisiaj może stać w kącie baru i napawać się tym, że znani pisarze, poeci, rysownicy i politycy podchodzą, by uścisnąć mu dłoń".

Jak wielu wydawców nuworyszy, którzy pojawili się na rynkach prasowych w schyłkowym okresie gazet, był pewien, że szybko wyprowadzi pismo na prostą. I tak jak wielu innych sprzedawców dywanów czy nieruchomości wkraczających na rynek tygodników, zamiast zabrać się z miejsca za szukanie sponsorów, zaczął naprawiać produkt. Chciał, żeby teksty były krótsze, bo ludzie nie są w stanie tego wszystkiego czytać – przeraża ich to i odstręcza od kupowania. Kiedy to nie dało efektu, zaczął wymieniać redaktorów naczelnych. Im gorzej szły interesy, tym częściej zmieniał naczelnych. Ostatecznie magazyn padł w 2016 r. Jednak dzięki tygodnikowi Jareda zauważyli Rupert Murdoch i Steve Forbes. Bez „Observera" i adresu przy Piątej Alei nigdy by pewnie nie spotkał Ivanki oraz jej ojca i nigdy nie wprowadziłby się do Białego Domu.

Gdyby w tym miejscu można było zakończyć sagę Kushnerów – od przedmieść Nowogródka do Białego Domu – to i tak starczyłoby na niezły serial. Historia ma jednak swój nowy sezon. Wyższa liga, ale i zagrożenia nieporównanie większe. Większe możliwości, ale wszystko pod okiem mediów i rozmaitych służb.

Jared długo ociągał się z przyjęciem zaproszenia teścia do udziału w kampanii wyborczej. Ponoć wielu bogatych znajomych, z Murdochem na czele (który lubił Jareda, a kpił z Trumpa), przestrzegało go przed tym. Na wiosnę 2017 r. na próbę wyruszył w trasę kampanii. Początkowo jako obserwator. Dzielił się z Trumpem obserwacjami i opiniami o członkach sztabu. Według Michaela Wolffa, autora „Fire and Fury", Jared zasmakował nie tyle w polityce, ile w splendorze i możliwościach, jakie przed nim roztaczała. Zanim stał się sławny, został człowiekiem, którego warto było znać. Kimś, kto mógł dotrzeć do Trumpa i przekazać mu informacje. Jak to napisał Wolff – „nikt nie pytał o jego zdanie, tylko jak szybko może przekazać coś teściowi". Niektóre z tych kontaktów okazały się początkiem nowych problemów. Wolff opisuje spotkania Jareda z rosyjskimi biznesmenami w Trump Tower w Nowym Jorku, którzy wprost oferowali dojścia i kontakty do informacji mogących skompromitować Hillary Clinton. W swoje książce Wolff sugeruje, że Jared doprowadził „emisariuszy Kremla" do Trumpa. Kushner temu zaprzecza, choć oficjalnie dziś znajduje się w kręgu podejrzenia w śledztwie w sprawie niedozwolonych prawem kontaktów polityków z obcymi ośrodkami. FBI naliczyło 100 potencjalnych naruszeń prawa.

Ojciec Jareda – Charles (w środku) – trafił za kraty. Jego brat Josh (z lewej) oświadczał, że firma nie ma nic wspólnego z doradcą Trumpa FOT. PATRICK MCMULLAN/GETTY IMAGES

Świat skoncentrował się na relacjach Trumpa z Putinem, ale kontakty Kushnera zdają się być znacznie bogatsze. I podczas gdy rosyjski wątek wydaje się dziś być wyolbrzymiony, chińskie czy izraelskie biznesy Jareda nie przestają niepokoić amerykańskich służb. Jak choćby to, że jednym z partnerów Kushnera jest izraelski bank, wobec którego toczy się postępowanie w Nowym Jorku i wszelkie operacje banku w Ameryce są zakazane.

Ostateczną decyzję w sprawie śledztwa podejmie rząd – ten sam, którego człowiekiem do specjalnych zadań jest Jared. Samo to powinno już wykluczyć go z polityki i zakazać mu wstępu do Białego Domu. Tymczasem Trump powierza mu rozmowy z Izraelem o Bliskim Wschodzie i współpracy handlowej. Dwa tygodnie po powrocie Jareda z oficjalnej rządowej podróży do Tel Awiwu największy w Izraelu emerytalny fundusz inwestycyjny zainwestował 30 mln dol. w nowy kompleks apartamentowców Kushnera w stanie Maryland. Sprawą ma się zająć specjalna komisja Kongresu. Podobnie zresztą jak biznesami Jareda w Chinach.

Firma Kushnera oferowała chińskim milionerom udziały w projektach deweloperskich w Ameryce, co samo w sobie nie byłoby dziwne, gdyby nie to, że inwestorom obiecywano również wizę EB-5, przyznawaną każdemu, kto zainwestuje w Ameryce we własny biznes co najmniej 500 tys. dol. i stworzy 10 miejsc pracy. Siostra Jareda sprzedała inwestycje 300 chińskim biznesmenom, co amerykańska Komisja Papierów Wartościowych uznała za nadużycie, prokuratura podjęła temat, a Kongres czeka na sposobność. „Śledztwo trwa i nieprędko da Kushnerom usnąć" – w komentarzu odredakcyjnym napisał dziennik „The Hill". Tak, jakby kiedykolwiek mieli spokojny sen. Dziadek Joseph, który stracił rodzinny warsztat stolarski w Nowogródku, odzyskał go w dwójnasób w Ameryce. Charles Kushner potroił miliony dziadka i wszedł na nowojorskie salony tylko po to, żeby niemal wszystko stracić. Jared odbudował rodzinną fortunę i zrobił z niej światowy koncern, żeby… serial trwał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13042f9ed2

Tomasz P. Terlikowski

Ryzykowali życie, żeby zostać chrześcijanami, teraz pytają papieża Franciszka, czy w świetle jego nauczania ich wybór miał jakikolwiek sens

Islam – religia pokoju czy Antychrysta

List osób, które z islamu przeszły na chrześcijaństwo, przyjmując chrzest w Kościele katolickim, to nie kolejna internetowa połajanka, ale tekst, który stawia fundamentalne pytania. I nie chodzi tylko o nauczanie papieża Franciszka na temat migracji i islamu, ale szerzej – o to, jaką postawę wobec tej religii powinien zająć Kościół. Czy drogą chrześcijan ma być budowanie wrażenia (wiele wskazuje na to, że fałszywego), iż islam to religia pokoju i miłości, u której podstaw leży to samo abrahamiczne przesłanie: Czy otwarcie wracać do korzeni i wskazywać, tak jak to robili Ojcowie i Doktorzy Kościoła, że jest to religia Antychrysta, która z chrześcijaństwem (a warto sobie uświadomić, że z judaizmem też) ma niewiele wspólnego? Znaczenia temu dokumentowi dodaje także to, że napisali go ludzie, którym za porzucenie islamu grozi – w każdej chwili – śmierć, i to z ręki najbliższych: braci oraz ojców, wujów i dziadków. Wielu musiało zresztą uciekać ze swoich domów i krajów, zmieniać nazwiska i imiona, a potem przez lata czy miesiące ukrywać się przed nasłanymi przez rodziny płatnymi zabójcami. I to właśnie tacy ludzie, którzy dla Jezusa Chrystusa oraz bycia w Jego Kościele naprawdę wiele wycierpieli zadają teraz Franciszkowi absolutnie fundamentalne pytania i wymuszają, przynajmniej na wiernych – bo jak sami wskazują, papież na ich pytania, listy, prośby o spotkanie nie odpowiada – zmierzenie się z niezmiernie trudnymi kwestiami teologicznymi.

DLACZEGO ISLAM SKAZUJE ICH NA ŚMIERĆ?

Jedna z najmocniej brzmiących wypowiedzi byłych muzułmanów dotyczy powtarzanej nie tylko przez Franciszka opinii, jakoby islam był drogą do Boga, analogiczną do tej, którą idą katolicy. „Jeśli islam jest religią dobrą samą w sobie, jak zdajesz się nauczać, to dlaczego ryzykowaliśmy życie, aby zostać katolikami? Czy twoje słowa nie kwestionują słuszności wyboru, który podjęliśmy, ryzykując własne życie? Czy wiesz, że islam nakazuje śmierć apostatom (Koran 4,89, 8,7–11)? Jak można porównać islamską przemoc z tzw. chrześcijańską przemocą?" – pytają konwertyci. I już tylko w tych słowach widzimy odniesienie do nauczania Soboru Watykańskiego II, a także kolejnych posoborowych papieży i wreszcie do słów samego Franciszka.

Zacznijmy więc od początku. Pierwszy zarzut wymaga skonfrontowania się z tym, czego naucza deklaracja „Nostra aetate", w której zawarte są fundamenty teologii islamu, którą zdaje się formułować Franciszek, gdy np. uznaje, że chrześcijanie i muzułmanie są braćmi albo zmierzają w tym samym kierunku.

„Kościół spogląda z szacunkiem również na mahometan oddających cześć jedynemu Bogu, żywemu i samoistnemu, miłosiernemu i wszechmocnemu, Stwórcy nieba i ziemi, Temu, który przemówił do ludzi; Jego nawet zakrytym postanowieniom całym sercem usiłują się podporządkować, tak jak podporządkował się Bogu Abraham, do którego wiara islamu chętnie nawiązuje. Jezusowi, którego nie uznają wprawdzie za Boga, oddają cześć jako prorokowi i czczą dziewiczą Jego Matkę Maryję, a nieraz pobożnie Ją nawet wzywają. Ponadto oczekują dnia sądu, w którym Bóg będzie wymierzał sprawiedliwość wszystkim ludziom wskrzeszonym z martwych. Z tego powodu cenią życie moralne i oddają Bogu cześć głównie przez modlitwę, jałmużnę i post. Jeżeli więc w ciągu wieków wiele powstawało sporów i wrogości między chrześcijanami i mahometanami, to święty Sobór wzywa wszystkich, aby wymazując z pamięci przeszłość, szczerze pracowali nad zrozumieniem wzajemnym i w interesie całej ludzkości wspólnie strzegli i rozwijali sprawiedliwość społeczną, dobra moralne oraz pokój i wolność" – można przeczytać w deklaracji „Nostra aetate".

Słów tych jednak nie należy absolutyzować, wynikają bowiem ze specyficznego sposobu pisania tego dokumentu. Jego autorzy z góry założyli, że nie będzie w nim żadnych negatywnych opinii czy

eprasa.pl 13042f9ed2

FOT. FOTOLIA

określeń innych religii, i że każda z nich będzie postrzegana z perspektywy jej pozytywów.

CO MAHOMET PRZYNIÓSŁ ŚWIATU?

Problem w tym, że w ten sposób nie da się realnie ocenić żadnej doktryny i żadnej religii. Szczególnie zaś mocno te słowa odnoszą się do islamu, który – choć wykorzystuje część z chrześcijańskich opinii, obrazów, a nawet bohaterów – robi to w sposób całkowicie obcy chrześcijaństwu. I tak wśród Ojców wiary nie ma Izaaka, bo zamiast niego jest tam Izmael, Maryja jest wprawdzie matką Jezusa, ale On sam nie umiera na krzyżu, nie jest Bogiem, a jego Ewangelia to tylko zafałszowana wersja Koranu. Obraz Boga, jaki ma islam, także niewiele ma wspólnego z Bogiem chrześcijan. Allah nie jest i nie może być ojcem, nie wymaga miłości, ale oddania się w niewolnicze posłuszeństwo, a drogą, którą wskazuje wiernym, jest… przemoc i podbój, także w jego imię. Ostrożnie mówił o tym nawet św. Jan Paweł II w „Przekroczyć próg nadziei", a także Benedykt XVI w słynnym przemówieniu w Ratyzbonie. Jednak ani jeden, ani drugi nie zdecydowali się rozwinąć tego nauczania w spójną całość, z odwołaniem do bizantyjskiej czy średniowiecznej teologii islamu. A ta była niezwykle ostra wobec islamu i Mahometa.

Już pierwsi bizantyjscy teolodzy, którzy mieli (nie)przyjemność zetknięcia się z islamem, wskazywali – tak jak św. Jan Damasceński, Teodor Abu Kurra czy Nikita Bizantyjski – że Mahomet jest „łże-prorokiem", albo wręcz Antychrystem. Identyczne opinie znajdziemy u św. Grzegorza Palamasa czy św. Tomasza z Akwinu.

– Mahomet „zwabiał ludy obietnicami rozkoszy zmysłowych, do których pragnienia podnieca pożądliwość ciała" – wskazuje w „Summa contra gentiles" Akwinata. „Mahomet podawał także przykazania odpowiednie do obietnic, popuszczając cugli pożądliwości, a temu ludzie zmysłowi łatwy dają posłuch" – uzupełniał. Najsilniejszą jednak krytykę kieruje Tomasz przeciwko muzułmańskiemu rozumieniu uzasadnienia wiary i jej prawdy. „Jako dowody prawdy zaś podawał tylko takie, które każdy średnio mądry człowiek może poznać rozumem przyrodzonym. Co więcej, prawdy, których nauczał, pomieszał z wieloma bajkami i zupełnie błędnymi naukami. Nie ukazał też żadnych znaków nadprzyrodzonych, które jedynie dają odpowiednie świadectwo natchnieniu Bożemu, gdyż działanie widzialne – takie, jakie może pochodzić tylko od Boga – wykazuje, że nauczyciel prawdy otrzymuje natchnienie niewidzialne. Powiedział zaś, że jest posłany z mocą zbrojną, a takich znaków nie brak także rozbójnikom i tyranom.

Poza tym ci, którzy uwierzyli z początku Mahometowi, nie byli jakimiś uczonymi, wykształconymi w sprawach boskich i ludzkich, lecz byli to ludzie dzicy, przebywający na pustyniach i nieznający żadnej nauki boskiej. Wykorzystując tłum takich ludzi i przemoc zbrojną, zmusił innych do poddania się jego prawu. Żadne też proroctwa Boże poprzedzających go proroków nie dają mu świadectwa – przeciwnie, on raczej spaczył prawie wszystkie nauki Starego i Nowego Testamentu opowiadaniem pełnym bajek, co widzi każdy, kto bada jego prawo. Dlatego też chytrze nie zalecił swym wyznawcom czytania ksiąg Starego i Nowego Testamentu, by mu nie wykazali fałszu. I tak widać, że ci, którzy dają wiarę jego słowom, wierzą lekkomyślnie" – wskazał Akwinata.

I także o tych fundamentalnych różnicach przypominają konwertyci Kościołowi. „Gdy Ewangelia głosi dobrą nowinę o śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa dla zbawienia wszystkich i wypełnieniu przymierza zainicjowanego z Izraelitami, Allah nie ma nic do zaoferowania oprócz wojny i mordu »niewiernych« w zamian za swój raj […]. Jeśli dla ciebie »dialog« oznacza głos pokoju, dla islamu to tylko inny sposób na prowadzenie wojny" – napisali w swoim liście. Warto się w ich słowa wsłuchać, stawiają one bowiem absolutnie fundamentalne kwestie przed chrześcijańską teologią islamu.

CZY PAPIEŻ WIE, CO MÓWI?

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden element wspomnianego listu. Byli muzułmanie zarzucają w nim papieżowi, że – ujmując rzecz najkrócej – kompletnie nie rozumie islamu, gdy zapewniając, iż w islam nie jest wpisana przemoc, zrównuje go z tzw. chrześcijańską przemocą. W ten sposób autorzy listu odnosili się do słynnych słów Franciszka, w których przekonywał on – w samolocie w drodze powrotnej ze Światowych Dni Młodzież w Krakowie – że „w każdej religii znaleźć można małą grupę fundamentalistów". I dodawał, że jeśli mówiłoby się o „islamskiej przemocy", trzeba by mówić także o „katolickiej przemocy". – Gazety codziennie piszą o przemocy we Włoszech – mówił Franciszek. Ktoś morduje swoją narzeczoną, ktoś inny teściową, a przecież sprawcy są ochrzczonymi chrześcijanami – tłumaczył wówczas papież. A konwertyci przypominają Ojcu Świętemu, że te słowa nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Koran nakazuje zabijanie konwertytów, aprobuje przemoc wobec kobiet, nie ma nic przeciwko mordowaniu w imię Allaha. Zestawienie go z przemocą osób, które postępują sprzecznie z nauczaniem Ewangelii, można wyjaśnić wyłącznie kompletnym brakiem znajomości islamu albo… polityczną poprawnością.

Niezależnie od tego, jakie są przyczyny takich, a nie innych wypowiedzi papieskich, jedno nie ulega wątpliwości. Ten list jest poważnym wyzwaniem dla katolickiego rozumienia islamu i nauczania posoborowego. Poważne zmierzenie się z zawartymi w nim zarzutami pozostaje absolutną koniecznością.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13042f9ed2

Z prof. Robertem Frostem, wykładowcą historii na University of Aberdeen
rozmawia Piotr Włoczyk

Jak równi z równymi

PIOTR WŁOCZYK: Jaką radę dałby politykom z Brukseli historyk zajmujący się uniami?

PROF. ROBERT FROST: Uczcie się od Rzeczypospolitej Obojga Narodów! Unia, zawarta między Koroną a Litwą w nowym kształcie w Horodle w 1413 r., była wielkim osiągnięciem na skalę europejską i z uwagą powinni jej się przyglądać nie tylko historycy. Była to unia, której mechanizm działania również dziś może być stawiany jako wzór zdrowych związków między państwami. Powinniście być z niej dumni. Unia polsko-litewska przetrwała 409 lat! Nasza unia angielsko-szkocka (zawarta w 1603 r.) dopiero w 2013 r. pobiła to osiągnięcie.

Dlaczego uważa pan ten polsko-litewski mechanizm unijny za wzorowy?

Przede wszystkim chodzi o równość wszystkich członków. Nie da się zbudować sprawnie działającej unii z perspektywami na przyszłość w oparciu o despotyczną dominację jednej ze stron. Jeżeli nie będzie równości, która będzie zadowalała wszystkie strony, to prędzej czy później musi dojść do rozłamu.

W akcie horodelskim mowa jest jednak o inkorporacji Wielkiego Księstwa Litewskiego do Korony Królestwa Polskiego. Czy to na pewno dobra lekcja dla Brukseli?

Użycie słowa „inkorporacja" było przedmiotem ożywionych dyskusji i rzeczywiście dochodziło na tym tle do napięć. Polacy przez półtora wieku rozumieli to słowo tak, że Wielkie Księstwo zostało częścią Królestwa Polskiego jako prowincja. Litwini oczywiście przeciwstawiali się tej interpretacji. Twierdzili, że ta „inkorporacja" opiera się na zasadzie równości obydwu stron. Wygaszaniu tego sporu na pewno nie pomagał fakt, że znaczna część obywateli Korony patrzyła na Litwinów trochę z góry.

Chce pan powiedzieć, że my sami mieliśmy kiedyś zapędy, które dziś wielu Polaków przypisuje Brukseli?

Właśnie tak. Polacy byli silniejsi w tej unii i chcieli mieć decydujący głos, ale Litwini nie dawali za wygraną oraz bronili swojej interpretacji. Widać, że spory o kompetencje w unii nie są wyłącznie problemem naszych czasów. Wizja unii cały czas ewoluowała, to nie było ustalone raz na wieki. Tak samo jest dziś w UE. Pytanie tylko, czy ten proces, tak jak w przypadku unii horodelskiej, zmierza w dobrym kierunku, czyli równouprawnienia, czy – tak jak w przypadku UE – mamy do czynienia z tendencją do odbierania równości i tworzenia jednego scentralizowanego europaństwa rządzonego przez Paryż oraz Berlin. Obranie takiego kursu nie wróży Europie najlepiej i obawa przed dalszym ograniczaniem praw państw członkowskich była też powodem brexitu.

Co jeszcze daje gwarancję na rozwój i utrzymanie unii między państwami?

Bardzo znana zasada z czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów: liberum veto. Tylko tak da się zbudować sprawną wspólnotę państw.

Tymczasem UE podąża w kwestii jednomyślności raczej w drugą stronę.

Odejście od tej zasady będzie prawdziwym początkiem problemów UE. Oczywiście również wtedy toczono dyskusje na temat zasadności liberum veto, szczególnie wśród Polaków nie brakowało ludzi, którzy chcieli się tego pozbyć. Litwini odpowiadali jednak, że skasowanie zasady liberum veto będzie oznaczać tak naprawdę

eprasa.pl 13042f9ed2

dę koniec unii – będący w mniejszości Litwini zostaliby w takim przypadku zdominowani przez Polaków. Jednomyślność jest podstawą unii i liberum veto miało właśnie służyć do ochrony tego fundamentu.

Czy historia nie pokazała nam przypadkiem, że na dłuższą metę grozi to paraliżem państwa?

W zasadzie jednomyślności chodziło o ucieranie kompromisu. Początkowo przecież wszystko działało, jak należy. Jeżeli ktoś stwierdził, że dane prawo jest z jego punktu widzenia szkodliwe, to blokował je. Była to jednak blokada tymczasowa, po której za kulisami dogadywano się, zawierano sensowny kompromis i wracano do obrad. Tak to wyglądało przez długi czas. Problem zaczął się wtedy, gdy sąsiedzi, pod koniec panowania Jana Kazimierza, zobaczyli, że poprzez veto mogli manipulować politykami w Rzeczypospolitej. A potem, w systemie republikańskim Rzeczypospolitej, przeciwnicy władzy coraz bardziej stanowczo twierdzili, że największym zagrożeniem dla obywateli tej Rzeczypospolitej byli ich właśni królowie. Sąsiedzi chętnie propagowali takie uczucia. I dziś są tu pewne analogie...

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Tyle wystarczy, żeby związek między państwami był udany?

Wymieniłbym tu jeszcze potrzebę współpracy wojskowej. Litwa potrzebowała pomocy przeciwko Krzyżakom; po Grunwaldzie Witold napisał traktat horodelski razem z Jagiełłą. Miał już bowiem wielkie projekty dynastyczne na Wschodzie i wiedział, że nie da się wygrać z Moskwą i Krzyżakami w pojedynkę. Potrzebował polskich żołnierzy i pieniędzy. I dostał je.

Krzyżacy są już dziś raczej spacyfikowani, ale Moskwa wciąż jest Moskwą. Tylko że im dalej na zachód, tym mniej się boją Putina.

Faktycznie, różne państwa UE różnie patrzą na zagrożenie ze Wschodu, więc raczej nie ma co liczyć na ten rodzaj spoiwa. Zagrożenie militarne często pomaga uniom, ale nie zawsze: w przypadku związku polsko-litewskiego po latach doszło do zjawiska, które było ewenementem w ówczesnym świecie. Wytworzyła się u was kultura republikańska, która generalnie niechętnie patrzyła na królewskie plany wojenne służące bardziej królowi niż obywatelom. W 1611 r. zakazano więc królowi wypowiadać wojnę bez zgody Sejmu. To bardzo zdemokratyzowało u was stanowienie o tak fundamentalnych sprawach jak wojna i pokój, i było niespotykane w tamtejszych czasach. Pytanie tylko, czy była to właściwa odpowiedź na coraz większe zagrożenia u granic...

Na ile przełomowy był rok 1569?

Unia Lubelska była wygraną Litwinów. To wtedy unia między oboma narodami została dokończona.

Jak to? Litwini stracili wtedy przecież całą Ukrainę na rzecz Korony.

To prawda, że Litwini przegrali Ukrainę, ale to ich interpretacja słowa „inkorporacja" wygrała. Unia lubelska rozwiała wszelkie wątpliwości na temat stosunków między dwoma składowymi. Byliście równi i ta zasada była w pełni realizowana w praktyce. Myślę, że również z tekstem Unii Lubelskiej powinni się zapoznać brukselscy politycy, jeżeli chcą zabezpieczyć przyszłość europejskiej wspólnoty państw.

Podkreśla pan w swoich pracach, że Rzeczpospolita Obojga Narodów była „unią braterską". Dlaczego?

Jan Długosz pisząc o Horodle, pisał o unii braterskiej między obywatelami. W ten sposób Polacy i Litwini wymyślili receptę na trwałą unię. Rzeczpospolita nie była państwem, lecz dwoma państwami i dwoma narodami. To były narody obywateli. Sukces tego tworu tkwił w tym, że nie była to unia personalna – w osobie wyłącznie króla – takich było wiele w Europie, ale była to ta jedyna w swoim rodzaju unia obywateli oparta na braterskości. Tworzyła nie państwo unitarne, jak unia angielsko-szkocka, ale wspólną rzeczpospolitą. A braterskość to równość – bez zrozumienia tego UE będzie miała problemy w przyszłości.

Pięknie – czyli Szkot zachęca Polaków do dumy z I Rzeczypospolitej.

Tak, ale ja bardzo nie lubię pojęcia „I Rzeczpospolita". Sugeruje to bowiem, że była to I Rzeczpospolita Polska, skoro potem była II RP, a dziś żyjecie w III RP. To była unia dwóch narodów, więc ta numeracja nie ma sensu. To była zupełnie inna kategoria tożsamości, która w dobie państw narodowych jest trudna do wyobrażenia.

Czyli – pańskim zdaniem – żyjemy dziś w II RP. Wydaje mi się, że ta koncepcja może przypaść do gustu wielu Polakom.

(śmiech) Bo taka jest prawda! III RP to tak naprawdę Druga Rzeczpospolita Polska, bo ta „Pierwsza" była tak naprawdę polsko-litewską.

A jak to wszystko wyglądało u pana w praktyce? Dwa lata temu zagłosował pan za brexitem?

Głosowałem zarówno przeciw niepodległości Szkocji, jak i za pozostaniem w UE. Wierzę w unie między państwami, ponieważ tonują nastroje, zapobiegają wojnom i wzmacniają państwa składowe. Mimo wszystko wierzę, że UE nie stanie się jednym wielkim europaństwem. Brytyjczycy – ale nie tylko oni – bardzo tego nie chcą. Chcemy unii państw ze wspólnym rynkiem. Centralizacja i odejście od jednomyślności grozi przecież tym, że najsilniejsi będą sobie kupować swoją większość.

__prof. Robert Frost__ – wykłada historię na University of Aberdeen, specjalizuje się w XVI–XVIII-wiecznej historii Polski i Litwy. ***W styczniu tego roku został laureatem Konkursu Historycznego Ministra Spraw Zagranicznych na najlepszą publikację obcojęzyczną promującą historię Polski wydaną w latach 2015–2016: „The Oxford History of Poland-Lithuania. Volume I: The Making of the Polish-Lithuanian Union, 1385–1569".***

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13042f9ed2

Mord niedoskonały

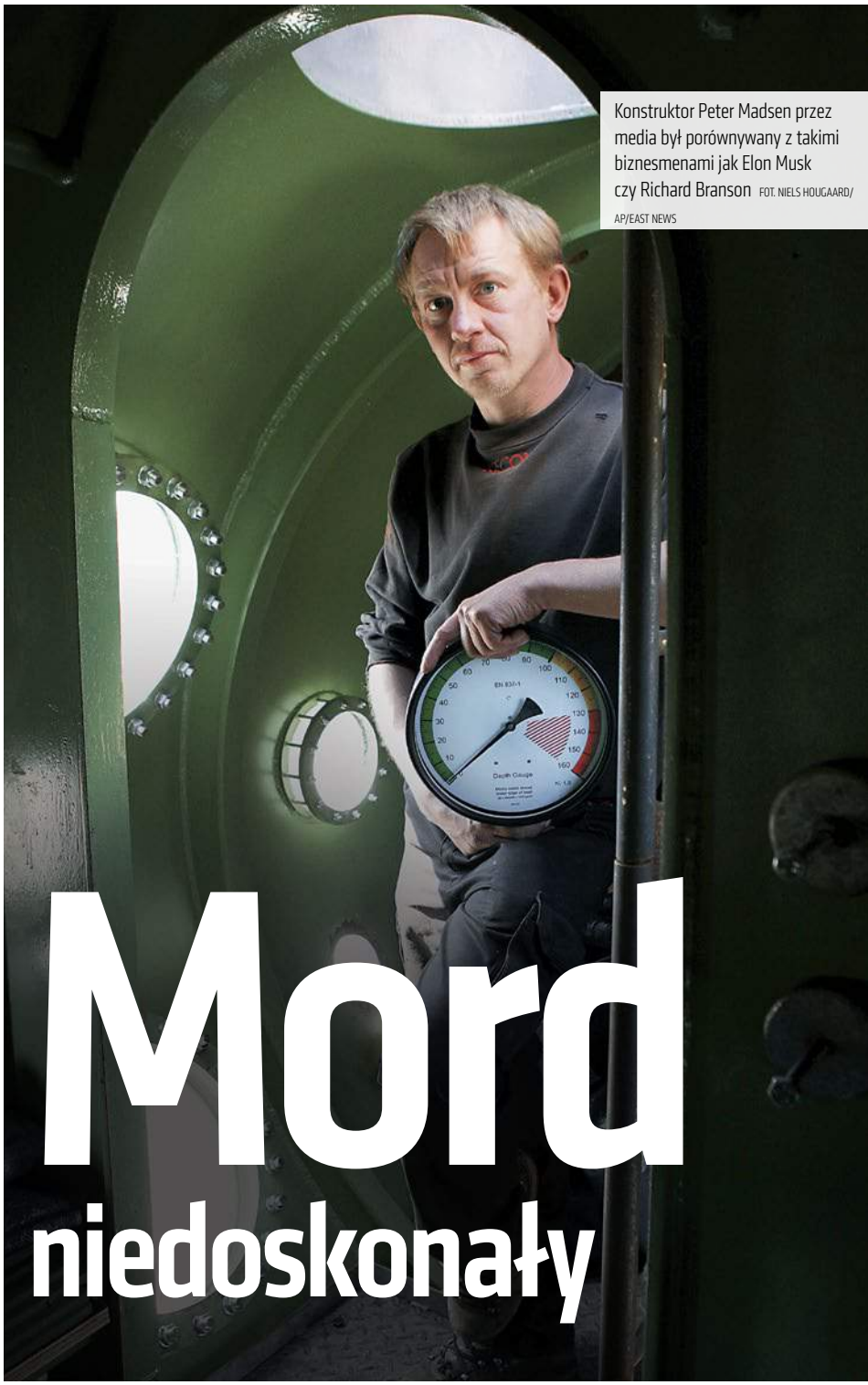

Konstruktor Peter Madsen przez media był porównywany z takimi biznesmenami jak Elon Musk czy Richard Branson FOT. NIELS HOUGAARD/AP/EAST NEWS

Jacek Przybylski

Czy duński biznesmen i wynalazca spędzi resztę życia w więzieniu? Domagają się tego duńscy prokuratorzy, oskarżając Petera Madsena o zabójstwo z premedytacją, bezczeszczenie zwłok oraz wykorzystanie seksualne ofiary

Skandaliczna historia, której nie powstydziłby się niejeden autor kryminałów, zaczyna się 10 sierpnia zeszłego roku. Z ustaleń śledczych wynika, że liczba głównych bohaterów została w tym przypadku mocno ograniczona. Dokładny motyw nie jest jeszcze znany. Szczegóły zbrodni są zaś makabryczne.
– To bardzo nietypowa i brutalna sprawa – oznajmił prokurator Jakob Buch-Jepsen, przekonując, że sprawca mordu powinien zostać skazany na dożywocie lub – jeśli psychiatrzy orzekną, iż to niezbędne – pozostać zamknięty w bezpiecznym ośrodku tak długo, aż przestanie stanowić zagrożenie dla innych.

KAT CZY OFIARA?

Najważniejsza w dramacie, o którym głośno jest nie tylko w Europie, lecz także na całym świecie, jest młoda, ambitna dziennikarka. Drobna reporterka urodziła się w Trelleborgu, szwedzkim miasteczku będącym jednym z głównych portów łączących Skandynawię z Europą Centralną. Kim Wall przeniosła się jednak do Wielkiej Brytanii, a potem do Stanów Zjednoczonych, gdzie zamieszkała po zdobyciu w 2013 r. dyplomu prestiżowego Uniwersytetu Columbia. Była freelancerką. Jej teksty ukazywały się w najbardziej znanych anglojęzycznych tytułach: „Atlantic", „Foreign Policy", „Harper's Magazine", „The Guardian", „Time" czy „The New York Times". Była odważną dziennikarką. Publikowała reportaże o reżimie Korei Północnej, polach minowych w Sri Lance, salach tortur w Ugandzie, o dramatycznej sytuacji na Haiti po trzęsieniu ziemi czy o zatruciu środowiska na Wyspach Marshalla, gdzie ryzyko napromieniowania było na tyle duże, że przed wpuszczeniem z powrotem na teren Stanów Zjednoczonych musiała zostać poddana kwarantannie. Gdy więc latem zdecydowała się na służbowy wyjazd do Danii – jednego z najbezpieczniejszych krajów świata – jej bliscy nie mogli podejrzewać, że już nigdy jej nie zobaczą.

Zdaniem prokuratorów jej mordercą jest 47-letni duński przedsiębiorca, wynalazca i konstruktor. Peter Madsen przez skandynawskie media był porównywany z takimi biznesmenami jak Elon Musk czy Richard Branson. Na początku XXI w. Duńczyk samodzielnie skonstruował pierwszą prywatną łódź podwodną „UC1 Freja". W 2005 r. zbudował także drugą łódź – „UC2 Kraka", a trzy lata później za pieniądze zebrane za pośrednictwem serwisów crowdfundingowych

eprasa.pl 13042f9ed2

skonstruował największą jednostkę – „UC3 Nautilus". W momencie wodowania w 2008 r. był największą prywatną łodzią podwodną na świecie. Przedsiębiorczy wizjoner zaczął więc nowy projekt. Tym razem celem był kosmos. Madsen chciał zbudować tanią rakietę, zdolną wynieść człowieka na wysokość 100 km, czyli na granicę między atmosferą a przestrzenią kosmiczną. Twórca pierwszego na świecie prywatnego centrum kosmicznego, które miało być finansowane z pieniędzy internautów, zyskał szybko przydomek Rakietowy Madsen.

KLĄTWA „NAUTILUSA"

Jest czwartek 10 sierpnia 2017 r. Po południu w porcie w Kopenhadze pojawia się 30-letnia dziennikarka. Wchodzi na pokład „Nautilusa", prywatnej łodzi podwodnej należącej do Petera Madsena, aby zebrać materiały do reportażu o ekstrawaganckim inwestorze, marzącym o własnym statku kosmicznym. To ostatnie momenty, gdy ktokolwiek poza Madsenem widział ją żywą.

11 sierpnia narzeczony dziennikarki zgłasza się na policję, aby złożyć zawiadomienie o jej zaginięciu. Wynalazca zaś – podobnie jak kapitan fikcyjnego „Nautilusa" z powieści Juliusza Verne'a – podejmuje decyzję o zatopieniu swojego okrętu. Śledczym przedstawia jednak zupełnie inną wersję wydarzeń. Początkowo utrzymuje, że Kim Wall opuściła jego łódź kilka godzin po tym, jak na nią wsiadła. Śledczy nie dają jednak wiary tym tłumaczeniom, zwłaszcza że na łodzi podwodnej znaleziono ślady krwi dziennikarki.

Biznesmen został aresztowany pod zarzutem nieumyślnego zabójstwa. Śledczym brakowało jednak głównego dowodu: ciała dziennikarki. – Wciąż mamy nadzieję na jej bezpieczny powrót – oznajmiła matka kobiety w rozmowie z „The Washington Post".

21 sierpnia rowerzysta znalazł na brzegu niedaleko Kopenhagi ciało bez głowy, rąk i nóg. Autopsja wykazała, że korpus był wcześniej obciążony metalowymi elementami. Sprawca próbował go też pozbawić gazów. Na ciele znaleziono aż 15 ran ciętych. Taki sposób „zabezpieczenia" zwłok ewidentnie wskazywał na to, że sprawcy bardzo zależało, aby ciało ofiary nigdy nie wypłynęło na powierzchnię. Zwłoki były w tak fatalnym stanie, że do potwierdzenia tożsamości ofiary konieczne było przeprowadzenie testów DNA. Według Reutersa DNA ofiary znaleziono również m.in. na paznokciach, nosie i karku konstruktora.

Trzydziestoletnia Kim Wall współpracowała z najważniejszymi mediami na świecie

FOT. REX/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Gdy śledczy potwierdzili, że korpus należy do reporterki, Peter Madsen zmienił wersję wydarzeń. Zaczął przekonywać, że na łodzi podwodnej doszło do nieszczęśliwego wypadku. Dziennikarka miała zginąć, gdy ważący 70 kg właz spadł jej na głowę i zmiażdżył jej czaszkę. Wynalazca twierdzi, że tragedia wywołała u niego panikę, w wyniku której podjął decyzję o „pochowaniu" dziennikarki w morzu i zatopieniu własnej łodzi.

W październiku, gdy dochodzenie wykazało, że spadający właz nie mógł być przyczyną śmierci dziennikarki, zaczął przekonywać, iż reporterka zmarła w wyniku zatrucia tlenkiem węgla.

– Nie wierzę w tłumaczenie, że był to nieszczęśliwy wypadek, choć adwokat sprawcy może próbować przedstawiać w sądzie taką wersję. W takich sytuacjach ludzie wzywają jednak policję lub pogotowie, a nie próbują zacierać ślady. Fakt, że ciało ofiary zostało pocięte, świadczy o tym, iż sprawca chciał uniemożliwić identyfikację zwłok – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" prof. Brunon Hołyst, prawnik i kryminolog z Uczelni Łazarskiego.

TORTURY I EGZEKUCJE

W październiku na twardym dysku komputera stojącego w pracowni Petera Madsena śledczy odnaleźli makabryczne filmy, na których kobiety są torturowane, pozbawiane głowy lub palone żywcem. Zdaniem detektywów nie były to nagrania aktorek, lecz ofiar, które rzeczywiście padały ofiarą zbrodni. Według duńskiego magazynu „Politiken" filmy nie zostały nakręcone przez samego konstruktora. Mogą jednak świadczyć o tym, że fetyszem sprawcy mogły być tortury i śmierć. Mogą także stanowić wyjaśnienie, dlaczego na ciele ofiary znaleziono ślady ciosów nożem zadanych w piersi i genitalia. Błyskotliwy biznesmen oznajmił śledczym, że nie ma pojęcia, skąd wzięły się te nagrania, dostęp do jego laboratorium miał nie tylko on, a na znalezionym komputerze mogli pracować też inni.

W zeszłym tygodniu duńscy prokuratorzy zdecydowali się oficjalnie postawić wynalazcy zarzut zabójstwa z premedytacją. Zdaniem śledczych Madsen dokładnie zaplanował zbrodnię. Przed śmiercią torturował dziennikarkę, wykorzystał ją seksualnie i zamordował: najprawdopodobniej dusząc lub podrzynając jej gardło. Następnie – według prokuratury – biznesmen poćwiartował ciało martwej kobiety, a jej szczątki wyrzucił do morza.

Prawniczka wynalazcy, Betina Hald Engmark, wskazuje jednak, że nie ma jednoznacznych dowodów na winę jej klienta, który wciąż zaprzecza, iż dopuścił się zbrodni.

– W tej sprawie możemy mieć do czynienia z chorobą psychiczną związaną z dewiacjami na tle seksualnym. Trzeba pamiętać, że między geniuszem a obłędem jest cienka granica. Społeczeństwo często nie zna drugiej twarzy człowieka, który powszechnie postrzegany jest jako utalentowany konstruktor. W Polsce mieliśmy przykład pisarza, autora „Amoku", który opisał w książce zbrodnię, za którą później został skazany – zauważa w rozmowie z „Do Rzeczy" prof. Brunon Hołyst, dodając, że duński biznesmen mógł zwabić do siebie dziennikarkę, bo zależało mu, aby zamordować kogoś znanego, a nie jakąś przeciętną kobietę. – Mogło też być tak, że sprawca poczuł się urażony, bo reporterka odrzuciła jego propozycję seksualną lub zachowała się w inny sposób, który wynalazca mógł zinterpretować jako naruszenie jego godności. W sądzie może się tłumaczyć, że na łodzi doszło do poważnej kłótni i popełnił zabójstwo w afekcie. Jeśli się bowiem przyzna, to czeka go bardzo surowy wyrok – dodaje prof. Hołyst. Jeden z najbardziej znanych polskich kryminologów zauważa także, że jeżeli zabijanie było dla sprawcy przyjemnością, to w toku śledztwa może się okazać, iż duński wynalazca ma na sumieniu również inne zbrodnie.

Proces ma ruszyć 8 marca. Wyrok spodziewany jest 25 kwietnia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13042f9ed2

Z ekonomistą dr. Pawłem Bukowskim
rozmawia Stefan Sękowski

Stajemy się społeczeństwem rentierów

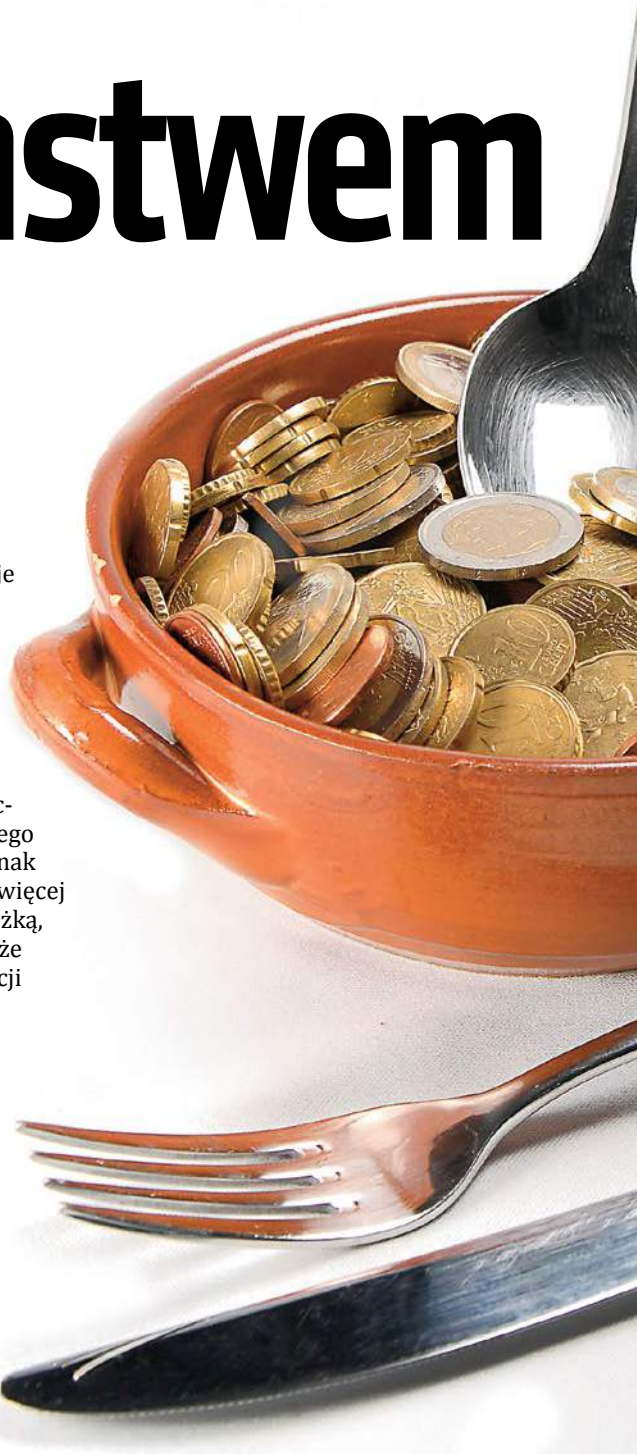

STEFAN SĘKOWSKI: Po co nam wiedzieć, jak dużą część tortu narodowego „zjadają" najbogatsi?

DR PAWEŁ BUKOWSKI: Przede wszystkim po to, żeby wiedzieć, jak bogaci są bogaci. To wyjątkowa grupa w społeczeństwie. To często przedsiębiorcy, którzy mają kapitał i napędzają naszą gospodarkę. Ich siła ekonomiczna ma także wpływ na ich siłę polityczną.

Razem z Filipem Novokmetem z Paris School of Economics badacie, jaki był udział dochodów przed opodatkowaniem najbogatszych osób we wszystkich dochodach osiąganych na terenie Polski od 1892 r. Nierówności dochodowe były największe pod koniec rozbiorów. Wtedy w zaborze pruskim na 1 proc. najbogatszych jego mieszkańców przypadało 20 proc. dochodów, nieco mniej w zaborze austriackim...

... a ile w rosyjskim, tego nie wiemy, bo nie było tam wówczas kompleksowego podatku dochodowego.

Jednak cytujecie szacunki Witolda Załęskiego, z których wynika, że w 1901 r. w zaborze rosyjskim były co prawda mniejsze nierówności dochodowe niż w pruskim, ale za to było więcej osób ubogich.

Szacunki Załęskiego należy traktować z dystansem, ale coś nam jednak mówią. Ten przykład obrazuje nam teorię amerykańskiego ekonomisty Simona Kuznetsa. Wzrost gospodarczy prowadzi do wzrostu nierówności, ponieważ aktywność gospodarcza przenosi się z mniej produktywnego i egalitarnego rolnictwa do bardziej produktywnego i nierównego przemysłu. Jednak w pewnym momencie coraz więcej osób zaczyna podążać tą ścieżką, edukować się i to powoduje, że premia wynikająca z innowacji maleje i maleją nierówności. Świetnie to widać także na przykładzie II RP.

Zanim przyszła jednak II RP, nastąpiła I wojna światowa, po której udział 1 proc. najbogatszych w dochodzie spadł do kilku procent.

A po wojnie zaczęto wprowadzać politykę socjalną. Przy czym już wtedy w najbogatszych powiatach, zwłaszcza w centralnej Polsce, były

eprasa.pl 13042f9ed2

też najmniejsze nierówności, w przeciwieństwie do uboższych rubieży kraju. Wygląda na to, że wtedy byliśmy już na etapie, w którym dalszy wzrost gospodarczy zmniejsza nierówności.

To dlaczego od połowy lat 20. XX w. nierówności znowu rosły, tak że w przededniu II wojny światowej najbogatszy odsetek zarabiał 15 proc. tego, co wszyscy?

Bo teoria Kuznetsa dobrze opisywała rzeczywistość pod koniec rozbiorów, ale nie jest uniwersalna. Na jej podstawie ludzie stwierdzili, że nie należy się martwić nierównościami, bo one w końcu spadną i nie trzeba z tym nic robić. Na przykład zaprzeczył temu nieustający wzrost nierówności, z którym mamy do czynienia na Zachodzie od lat 80. XX w. Wzrost nierówności pod koniec II RP wynikał głównie z szoku, jakim był wielki kryzys, który uderzył znacznie bardziej w dolne warstwy niż w wyższe. Bogaci nie zyskali, to ogół dochodu spadł. Bogatym udało się utrzymać swój stan dochodowy dzięki kartelizacji i konsolidacji przemysłu.

Wielki kryzys to jednak nic w porównaniu z II wojną światową i komunizmem – kiedy udział najbogatszego 1 proc. w dochodzie narodowym spadł do 5 proc.

W komunizmie niweluje się nierówności dochodowe na dwa sposoby. Po pierwsze, znika możliwość pobierania dochodu z kapitału prywatnego, bo ludzie w praktyce nie mogą posiadać prywatnych przedsiębiorstw. Gdzieś na marginesie funkcjonują drobni handlarze czy rolnicy, ale to nie są osoby najbogatsze.

Kto był najbogatszy w PRL?

Prawdopodobnie partyjna nomenklatura, dyrektorzy zakładów. Tutaj dochodzimy do drugiego sposobu niwelowania nierówności: to, jak płace dyrekcji czy zarządzających różnią się od płac pracowników, było decyzją polityczną. Także w ramach PRL nierówności nie były zawsze takie same. Po 1956 r. starano się nieco zmniejszyć te widełki, dano więcej możliwości decydowania pracownikom. W tym systemie były także elementy motywacyjne, ale i one zależały od decyzji administracyjnych. Słaba produktywność to nie wina względnej równości jako takiej, bo można wyobrazić sobie system, w którym nierówności są niskie, a jednocześnie występują skuteczne bodźce do poprawy produktywności.

FOT. FOTOLIA

W okresie, w którym mieliśmy w Polsce realny socjalizm, nierówności u nas i w Szwecji były porównywalne. Trudno nazwać Szwecję państwem komunistycznym i w tym czasie była to gospodarka o wiele bardziej wydajna. Dlaczego zatem im się udało, a komunistom w Polsce się nie powiodło?

W Szwecji udało się połączyć system kapitalistyczny z rozbudowanym państwem opiekuńczym. Z jednej strony silna kompresja płac i pomoc społeczna, z drugiej – dość duża rola kapitału, tradycja potężnych firm rodzinnych (np. należących do rodziny Wallenbergów) czy jeden z najbardziej rynkowych systemów edukacyjnych na świecie. Duże znaczenie mają też normy społeczne, akceptacja takiego stanu rzeczy.

Tymczasem w Polsce po transformacji zmierzającej ku systemowi kapitalistycznemu od lat 90. do najbogatszego 1 proc. należy kilkanaście procent dochodów. Jednak nie tylko u nas. To samo dzieje się w Czechach, na Węgrzech czy w Rosji. Może tak musiało po prostu być?

Tak, przeszliśmy bowiem z systemu, w którym nie mamy dochodów z kapitału, a widełki płacowe są ustalane odgórnie, do systemu zdecentralizowanego, który przewiduje nierówności z założenia. Jednak ciekawsze jest nie to, co działo się tuż po upadku komunizmu, ale to, co działo się później. I tu w tych krajach trajektorie nierówności układają się różnie.

Na Węgrzech i w Czechach nierówności rosły wolniej, w Rosji o wiele szybciej. A w Polsce?

U nas nierówności stabilizują się w połowie lat 90. i zaczynają rosnąć po 2003 r. Osiągają szczyt w 2008 r., łagodnie spadają i znów się stabilizują. Odpowiedzialne za te zmiany są przede wszystkim dochody najbogatszych. Cały dochód rośnie, ale dochód najbogatszych w zdecydowanie większym stopniu. Kolejną ważna cechą polskich nierówności jest duża rola kapitału i jego uzależnienie od wzrostu gospodarczego. O ile na Zachodzie widzimy coraz większą obecność supermenedżerów wśród najbogatszych, tak w Polsce wśród nich dominują nadal przedsiębiorcy. Gdy gospodarka się rozwija, dochód z kapitału rośnie szybciej, niż z pracy i vice versa. Tak więc, koniunktura jest główną siłą napędzającą nierówności w Polsce. Po upadku komunizmu Czechy i Węgry doświadczyły mniejszego wzrostu, stąd tam nierówności rosną wolniej. Rosja jest szczególnym przypadkiem, tam klimat polityczny jest zupełnie inny, a i źródło dochodów – głównie surowce – jest inne. Tutaj Rosja przypomina bardziej kraje Bliskiego Wschodu niż Polskę.

eprasa.pl 13042f9ed2

Oprócz najbogatszych i najbiedniejszych jest jeszcze klasa średnia. Jak wygląda jej sytuacja w tym kontekście?

Gdy spojrzy się na udział statystycznej klasy średniej, czyli bogatszej połowy Polaków bez najbogatszych 10 proc., to jej udział w dochodach systematycznie malał. Można to wiązać z globalizacją. Te gałęzie przemysłu, w których Polska się specjalizowała w latach 90., np. we włókiennictwie, przejęli przez import Chińczycy. Do tego dochodzą inwestycje zagraniczne i wnoszone przez nie innowacje, które były bardziej kapitałochłonne i zastępowały pracę ludzką technologiami. Globalizacja ma więc plusy i minusy.

Jednak rośnie nam dobrobyt kraju. Coraz większą część tortu dostają najbogatsi, ale „średni" i biedni dostają więcej, niż dostawali wcześniej. Czy w tym jest coś złego?

Jako ekonomista staram się patrzeć na to, jak nierówności wpływają na wzrost gospodarczy, nie oceniać ich w kategoriach moralnych. Nierówności są naturalną częścią systemu kapitalistycznego. Są efektem tego, że kapitalizm wynagradza tych, którzy mają większą produktywność. To oczywiście motywuje ludzi do większego wysiłku i zdobywania wykształcenia. Samo bogactwo też może mieć dobre strony. Bogaci fundują uniwersytety czy szpitale, są też bardziej skłonni inwestować w ryzykowne innowacje – np. Elon Musk, który planuje polecieć na Marsa. Jednak bogactwo może mieć także negatywne skutki, np. gdy osoba majętna zamiast fundować uniwersytet, korumpuje polityków, na czym stracą inni. Pytanie też, skąd się bierze to bogactwo – jeżeli bogaci są bogaci przez urodzenie, to zachęca to raczej do strategicznego małżeństwa niż uczenia się.

U nas to się rzadko zdarza.

Na razie. Musimy myśleć też o tym, co się będzie działo za 10 lat czy więcej. Spójrzmy na Wielką Brytanię. Najbogatsi Brytyjczycy urodzeni w tym kraju to przede wszystkim osoby, które odziedziczyły ziemię, np. rodzina królewska. Przedsiębiorcy, tacy jak Richard Branson z Virgin czy wynalazca suszarek do rąk i odkurzaczy James Dyson, zdarzają się rzadziej. Wtedy motywacją do zdobycia majątku nie jest wysiłek, ale to, by się dobrze ożenić czy wyjść za mąż. Innym problemem jest to, jak nierówności wpływają na mobilność społeczną. Najlepiej jest, gdy obok nierówności każdy ma równe szanse, by stać się bogatym. Jednak tak nie jest, jeżeli to, gdzie się człowiek urodzi, determinuje to, gdzie zajdzie. W USA jeśli jesteś bardzo zdolnym dzieckiem meksykańskich imigrantów, to masz znacznie mniejsze szanse zastać innowatorem niż równie zdolne dziecko urodzone w bogatej rodzinie. W ten sposób tracimy potencjalnych Einsteinów.

W Polsce też?

Jeszcze nie. Do tej pory byliśmy prymusem, jeśli chodzi o wyrównywanie szans, które zależy w dużej mierze od systemu edukacyjnego. Gimnazja wyrównywały szanse zwłaszcza na obszarach wiejskich. Uczniowie dłużej byli w systemie ogólnym, z drugiej strony dzieci chodzące do kiepskiej podstawówki miały po sześciu latach szansę wybić się w nowej szkole. To „nowe rozdanie" następowało jeszcze przed podziałem dzieci na te, które idą do liceum, technikum lub zawodówki. Ponadto dziedziczenie majątku nie miało aż tak wielkiego znaczenia.

Na nierówności trzeba patrzeć z dłuższej perspektywy. Mogą one stać się dla Polski w przyszłości dość dużym balastem dla wzrostu

O walce z nierównościami dużo mówi rządzący obecnie PiS. Jak ona mu wychodzi?

Dużym problemem w Polsce jest brak dostępu do danych, np. podatkowych, czy bardziej otwartej polityki Głównego Urzędu Statystycznego. To ułatwiłoby nam odpowiedź na to pytanie. Mogę więc głównie spekulować. Na pewno „500+" pomogło ludziom z marginesu społecznego. Odwrócenie reformy edukacji jest z kolei krokiem w złą stronę. Może wpłynąć na wzrost nierówności szans. Obniżenie wieku emerytalnego pomoże wielu osobom, które mają niski dochód lub które wypadły z rynku pracy. Jednak z drugiej strony w przyszłości zwiększy nierówności, bo osoby, które będą chciały pracować dłużej, będą miały wyższe emerytury. Także zniesienie 30-krotności [przy składkach ZUS – przyp. red.] będzie miało na to wpływ. Spodziewam się więcej po partii, która wypisała walkę z nierównościami na swoich sztandarach.

Na przykład?

Przede wszystkim walki z degresywnością systemu podatkowego, zamykania furtek, dzięki którym najbogatsi płacą de facto niższe podatki niż klasa średnia. Przy czym tu nie ma prostych odpowiedzi, bo każde tego typu działanie może zachęcić najbogatszych do ucieczki z kapitałem za granicę. Najważniejsze jest jednak wyrównywanie szans na poziomie kapitału społecznego, edukacji – i to trwającej całe życie.

Wygląda na to, że dziś nie mamy problemów z nierównościami. Po co to ruszać, skoro można jeszcze coś zepsuć?

Na nierówności trzeba patrzeć z dłuższej perspektywy czasowej. Mogą one stać się dla Polski w przyszłości dość dużym balastem dla wzrostu. Trzeba również pamiętać, że startowaliśmy z niskiego pułapu nierówności. Dzisiaj jesteśmy w tym zakresie na poziomie Niemiec czy Wielkiej Brytanii, gdzie płace realne od lat 90. stoją w miejscu, a na Wyspach od 2008 r. wręcz spadają, mimo że ludzka produktywność rośnie. To już jest problem. U nas w ostatnich 10 latach wzrosty produktywności i płac też zaczynają się rozchodzić.

Nic dziwnego. Coraz większe znaczenie mają nowoczesne technologie. Wkład pracy ludzkiej jest większy, gdy używa się młotka, niż gdy używa się młota pneumatycznego.

Tylko że ludzie, których praca staje się mniej istotna, nie znikną. Podobnie jak ich głosy w wyborach. Mogą natomiast zniknąć wybitni ludzie, którzy nie będą mieli szans i motywacji na rozwinięcie skrzydeł. Nierówności mają swoje złe i dobre strony. Obawiam się, że idziemy w stronę sytuacji, w której te złe będą przeważać nad tymi dobrymi. W stronę społeczeństwa rentierów, w którym nie chodzi o to, co zrobiłeś, tylko gdzie się urodziłeś.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Paweł Bukowski – ekonomista, obecnie pracuje w Centre for Economic Performance oraz London School of Economics and Political Science.

eprasa.pl 13042f9ed2

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wchodzić do Eurolandu!

Bez dwóch zdań: Polska powinna wchodzić do Eurolandu. Wchodzić, wchodzić i jeszcze raz wchodzić. Czyli wchodzić, ale na razie nie wejść, jeśli w ogóle wejść kiedykolwiek (choć przecież niczego wykluczyć się nie da, zważywszy choćby na względy natury geopolitycznej). I powinna prowadzić w tej sprawie grę godną samych szefów Komisji Europejskiej i Rady Europejskiej – królów unijnej polityki. Czyli łgać w żywe oczy: zapewniać o swej najlepszej – w tej sprawie – woli, o nieugiętej chęci przystąpienia – rzecz jasna, w najlepszym momencie – do strefy euro, o dzieleniu przekonania o jej historycznym znaczeniu dla przyszłości Europy. Itepe, itede.

Piszę o tym, bo uważni obserwatorzy życia publicznego pewnie zauważyli, że przez Polskę przetacza się kolejna fala dyskusji w sprawie euro. Ważni niegdyś politycy i ekonomiści ogłaszają zbiorowe listy otwarte i indywidualne akty strzeliste, ostrzegając straszny rząd strasznego PiS, że bezzwłoczne niewstąpienie do Eurolandu oznacza – ni mniej, ni więcej – natychmiastowe wystąpienie z UE.

Albowiem – uwaga, uwaga! – już za chwilę, za chwileczkę Euroland przekształci się, mówiąc w uproszczeniu – w jedno państwo: z jednym rządem, ministrem finansów i budżetem, a my zostaniemy na wschodnioeuropejskim lodzie – sam na sam z Ruskimi (jakbyśmy dziś nie byli).

Oczywiście każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, wie, że może i Niemcy tęsknią za rządzeniem nie tylko Niemcami, lecz także Francuzami, Włochami, Holendrami itd. (i, rzecz jasna, czerpaniem z tego korzyści, a nie łożeniem na ich utrzymanie), ale już Francuzi, Włosi i Holendrzy tej ich tęsknoty nie podzielają. I z tego względu Euroland nigdy dobrowolnie nie przekształci się w żadne jedno państwo. (Co niestety nie oznacza, że z jakichś powodów Niemcy i Francuzi nie zechcą pewnego dnia okroić UE do wygodniejszych dla nich rozmiarów i pozbyć się coraz mniej potulnych partnerów z Europy Środkowej, którzy tracą już ochotę bycia członkami Unii drugiej kategorii – zmuszanymi do udziału w stratach i rzadko dopuszczanymi do udziału w zyskach).

Poza tym nierozważne jest mylenie obecnej, związanej z globalną koniunkturą, poprawy sytuacji gospodarczej w krajach strefy euro z unieważnieniem zasady sformułowanej przez Stiglitza, która mówi, że unia walutowa ma sens tylko na obszarach nieróżniących się znacząco potencjałem i znajdujących się na podobnych etapach cyklu gospodarczego. Czyli nie ma sensu Euroland od Niemiec i Grecji oraz Portugalii i żadne zaklęcia tego nie odmienią.

Wszystko to jednak ani na jotę nie zmienia mego poglądu w kwestii stosunku Polski do strefy euro – dziś opłaca się nam jasno i głośno deklarować chęć wejścia do niej. Niechże więc politycy robią w tej sprawie to, co potrafią najlepiej – nader oszczędnie gospodarują prawdą. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Świat rządzony przez elfy

Trzy klany żyjące na Ziemi – elfy, orkowie i ludzie – do tej pory pozostawały we względnej równowadze. Elfy to intelektualna i finansowa elita świata, kontrolują kapitał, technologie, armię, media, sądy i prawa własności. Większość nagród naukowych trafia do elfów, celebryci i kluczowi politycy to też przeważnie elfy. Żyją w strzeżonych dzielnicach-enklawach, w wolnym czasie oddają się wysublimowanym przyjemnościom, niedostępnym pozostałym dwóm klanom. Ludzie to ziemska klasa średnia, są menedżerami w firmach elfów, zajmują średnie stanowiska w rządzie, ale prawie nigdy nie podejmują ważnych decyzji politycznych lub biznesowych, to jest zarezerwowane dla elfów. Ludzie często zarabiają dość dobrze, ale z zazdrością obserwują elfy mknące w swoich luksusowych autach. Orkowie stoją najniżej w hierarchii, to głównie oni pracują przy prostych zadaniach (sprzątający, kurierzy, kierowcy, kasjerzy, kelnerzy). To oni giną w wojnach prowadzonych przez elfy ze swoich gabinetów.

Od dwóch dekad elfy bajecznie się bogacą, a orkowie i mniej wykształceni ludzie biednieją

Do tej pory była zachowana równowaga między klanami. Jednak elfy ją zburzyły. Po pierwsze, doprowadziły do silnego rozwoju sztucznej inteligencji i robotyki, co pozbawiło miejsc pracy miliony orków i tysiące ludzi. Od dwóch dekad elfy bajecznie się bogacą, a orkowie i mniej wykształceni ludzie biednieją. Sto najbogatszych elfów ma majątek przekraczający sumę dochodów 80 proc. wszystkich orków i ludzi. Po drugie, na skutek wojen prowadzonych przez elfy orkowie i ludzie w wielu regionach świata giną oraz cierpią. Elfy nie przeznaczyły części swojego majątku na pomoc tym istotom, tylko pozwoliły na masowe migracje. Obecne migracje różnią się od poprzednich tym, że migrują głównie orkowie, którzy nie chcą pracować i żyją z pomocy socjalnej od ludzi (elfy dzięki specjalnym wehikułom finansowym nie płacą podatków).

W nielicznych krajach ludzie przeciwstawili się elfom. Pozwalają na imigrację tylko ludziom, tworzą warunki, w których ludzkie firmy mogą zacząć konkurować z elfickimi, zmieniają system prawny tak, aby był sprawiedliwy, a nie bronił interesów elfów. Elfy szykują się do kontrataku, piętnują te kraje w mediach, których są właścicielami, planują pozbawić te kraje dostępu do finansowania.

Pozostaje pytanie: O co chodzi elfom? Dlaczego postanowiły zmienić reguły gry i zaburzyć równowagę klanową? Czy chodzi o wojnę frakcji wśród samych elfów? Czy motywacją jest zachłanność? Czy coś zupełnie innego? Przekonamy się o tym w drugiej części. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 13042f9ed2

TEST „DO RZECZY": LOGITECH M590 SILENT

Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś" – ten cytat z Williama Shakespeare'a dobrze znają zarówno wszyscy freelancerzy, jak i ci etatowcy, którzy mając termin „na wczoraj", muszą pracować, kiedy inni domownicy już smacznie śpią.

To właśnie dla nich Logitech stworzył model M590 Silent. Marketingowcy producenta nie wspominają, że ta mysz – choć rzeczywiście cichsza od innych – nie pozwala na zupełnie bezgłośną pracę. Wprawdzie muszę przyznać, że dźwięk klikania czy przewijania jest bardzo dobrze stłumiony, jednak już w przypadku rolki przy przewijaniu wyraźnie słychać delikatny terkot.

Według Logitecha bezprzewodowy gryzoń w wersji „silent" jest o 90 proc. cichszy od tradycyjnych komputerowych myszy. Urządzenie przyda się np. studentom, którzy mogą teraz do woli klikać w czytelniach, nie narażając się na karcące spojrzenia pań bibliotekarek.

Design jest prosty, a sama mysz mała i lekka (razem z baterią waży 101 g). Narzekać mogą jedynie osoby o większych dłoniach, bo mysz nie będzie stanowiła dla nich wystarczającego oparcia. Obudowa jest jednak solidnie wykonana, a przyciski na tyle szerokie, że mysz zapewnia dobrą ergonomię pracy.

Mysz ma w sumie siedem przycisków, w tym dwa obsługiwane kciukiem (standardowo pozwalają np. na obsługę funkcji „wstecz" i „dalej" podczas surfowania po Internecie, ale za pomocą oprogramowania Logitecha można je dostosować do swoich potrzeb). Jest też kółko do przewijania, które dzięki dużej liczbie rowków ułatwia precyzyjne przewijanie.

Wykorzystanie technologii Logitech FLOW sprawia z kolei, że testowana mysz umożliwia nawigację na dwóch komputerach, także przenoszenie między nimi tekstu, obrazów czy plików.

Gryzoń komunikuje się z komputerem za pośrednictwem Bluetooth lub za pomocą małego adaptera Unifying. Podczas podróży docenimy miejsce obok baterii, w które możemy schować nanonadajnik. Sama bateria powinna według deklaracji producenta wytrzymać mniej więcej na dwa lata.

Głównym minusem tego modelu jest cena urządzenia: 219 zł. ©℗

Jacek Przybylski

TELEFONICZNA HYBRYDA

Kto pamięta jeszcze palmtopy? A telefony z klapką? Łza się w oku kręci. To teraz proszę sobie wyobrazić połączenie palmtopa, telefonu z klapką i nowoczesnego smartfona z wyższej warstwy średniej półki. Tak właśnie najkrócej można scharakteryzować Gemini PDA: jest to „osobisty asystent cyfrowy", czyli interesujący, całkiem przydatny, ale nie niezbędny gadżecik, zabaweczka dla ludzi, którzy nie mają problemu z kasą, ale mają problem z pisaniem na wirtualnej klawiaturze – potrafią jednak poruszać się po Internecie, używając dotykowego ekranu, i lubią elektroniczne cudeńka. Generalnie Gemini PDA to telefonik z dotykowym ekranem, ale klasyczną (palmową) klawiaturą qwerty i niektórymi możliwościami mikrokomputera, pracujący zarówno pod Androidem, jak i Linuxem, w pełni wyposażony w 4G, Wi-Fi & Bluetooth, umożliwiający zarówno transmisję danych, jak i połączenia telefoniczne. Trochę danych technicznych: bateria pracuje dwa tygodnie w trybie czuwania i 12 godzin w trybie stałej pracy. Wielkość: 17,14 cm x 7,93 cm x 1,51 cm, ekran 5,99 cala o wysokiej rozdzielczości, podwójne boczne głośniki, WLAN i Wi-Fi + 4G oraz 4 GB RAM i aparatem o rozdzielczości niestety zaledwie 5 mpx.

Za Gemini PDA w najprostszej wersji (tylko z Wi-Fi) trzeba zapłacić na Indiegogo ok. 1,2 tys. zł, model z Wi-Fi i 4G to cena już ok. 1,5 tys. zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

SZYBCY I NAŁADOWANI

Ten powerbank jest naprawdę szybki. W dodatku energię można „przelewać" z niego (np. do naszego telefonu) bezprzewodowo, nie plącząc się o kable i nie martwiąc się, że któryś z przewodów został w domu. Producent zachwala IDMIX jako najszybszy obecnie bank energii na rynku i wygląda na to, że wcale nie przesadza, a wszystko dzięki najwyższej – 10 W – mocy wyjściowej zasilania i i standardowi WPC Qi. Średni czas przewodowego ładowania telefonu o standardowej baterii, funkcjonującego w systemie Android to około godziny. Wystarczy położyć IDMIX na smartfonie i ładowanie skraca ten czas o 30 minut. Gadżet posiada dwie różne wersje pojemności – 8000 mAh i 18000 mAh – i od nich też zależy cena. W pierwszej wersji to ok. 200 zł, w wersji „monster" – ok. 360 zł. Zamawiać można na portalu Indiegogo, a dostawa w kwietniu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 13042f9ed2

TECHNOLOGICZNE NOWOŚCI 2018

CES 2018 to największe i najważniejsze targi elektroniki na świecie. 170 tys. gości, ponad 6 tys. dziennikarzy i najświeższe nowinki z branży. Wybieramy tylko kilka projektów, które stworzono w Las Vegas, a które w niedalekiej przyszłości mogą zmienić również nasz świat.

ZWIJANY TELEWIZOR

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (5)

Firma LG pokazała 65-calowy, elastyczny panel OLED UHD, który za pomocą przycisku na pilocie można zwinąć w rolkę niczym papierową gazetę. Taki telewizor będzie nie tylko łatwiejszy w transporcie. Ta technologia ma zapoczątkować rewolucję w projektowaniu wnętrz. Ekran można zwinąć lub np. rozwinąć tylko trochę, aby przypominał cyfrową ramkę do zdjęć – wówczas można na nim zobaczyć np. godzinę, najnowsze wiadomości ze świata czy prognozę pogody. Panel OLED można też rozwinąć do formatu 21:9, który jest idealny do oglądania filmów, lub jeszcze bardziej, aby na telewizorze oglądać programy nagrane w innym formacie.

SMARTFON ZE SKŁADANYM EKRANEM

Samsung Galaxy X – tak według niepotwierdzonych informacji ma się nazywać najnowszy smartfon południowokoreańskiego producenta, który będzie wyposażony w składany ekran OLED o przekątnej po rozłożeniu wynoszącej aż 7,3 cala. Nowoczesny smartfon – którego nazwa stanowi zapewne odpowiedź na rękawicę rzuconą Koreańczykom przez iPhone'a X – ponoć jest w stanie wytrzymać ok. 200 tys. zwinięć i rozwinięć ekranu, tak cienkiego, że składając go, użytkownik będzie miał wrażenie, iż składa kartkę papieru.

Według branżowych portali Koreańczycy prototypem tego urządzenia chwalili się tylko na zamkniętych pokazach podczas targów w Las Vegas. Nieoficjalnie spekuluje się jednak, że składany smartfon wyglądający niczym z filmów science fiction trafi do sprzedaży w 2019 r.

OPASKA NA SEN

Firma Philips zaprezentowała gadżet dla niewyspanych. Szara opaska na głowę SmartSleep jest wyposażona w sensory określające, w której fazie snu się znajdujemy. W fazie głębokiej opaska zaczyna emitować tzw. biały szum, który poprawia jakość snu i ułatwia regenerację organizmu. Gadżet ma zadebiutować jeszcze w tym roku. Cena – ok. 1,8 tys. zł – może jednak spędzać sen z powiek mniej zamożnym osobom cierpiącym na bezsenność.

ZEGAREK HYBRYDOWY

MyKronoz ZeTime był w zeszłym roku jednym z największych hitów Kickstartera. Konstruktorzy chcieli zebrać wśród internautów 50 tys. dol., ale projekt cieszył się takim zainteresowaniem, że zainkasowali... 6 mln dol. Zegarek hybrydowy to połączenie klasycznego zegarka z mechanicznymi wskazówkami (który potrafi chodzić bez ładowania nawet 30 dni) z dotykowym, kolorowym wyświetlaczem o przekątnej 1,22 cala. Hybrydowy smartwatch pozwala m.in. na odbieranie połączeń, wyświetla powiadomienia, a także mierzy tętno, podlicza liczbę spalonych kalorii oraz kontroluje czas i jakość snu. Produkt jest już dostępny w Polsce. Cena: 899 zł.

KWANTOWY PROCESOR

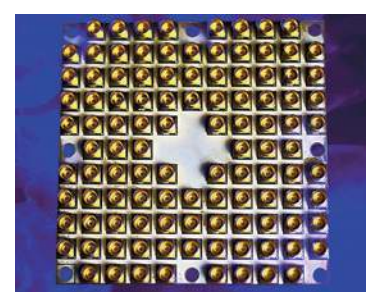

Targi w Las Vegas pokazują, że nadchodzą dobre czasy dla komputerów kwantowych. Pokazało je kilku różnych producentów (m.in. IBM), a firma Intel zaprezentowała 49-kubitowy procesor kwantowy o nazwie Tangle Lake, który ma ogromny potencjał obliczeniowy.

©℗ *oprac. jap*

eprasa.pl 13042f9ed2

W cieniu priorytetów

Katarzyna Pinkosz

Niedoinwestowanie służby zdrowia powoduje, że miesiącami czekamy na wizytę do specjalisty. Brakuje lekarzy, pielęgniarek, nowoczesnych leków, a często też kompetencji i empatii. Za tym wszystkim kryją się ludzkie dramaty

Agnieszka Murawa-Klaczyńska zachorowała na raka piersi w 2009 r. Miała 39 lat i mimo tego, że regularnie się badała, już w momencie diagnozy nowotwór obejmował okoliczne węzły chłonne. Przeszła chemioterapię, mastektomię, radioterapię, potem terapię uzupełniającą. W 2011 r. wydawało się, że po raku nie ma śladu. Niestety, po trzech latach doszło do wznowy, pojawiły się też przerzuty w płucach.

– Choroba była dla mnie pierwszym szokiem. Drugim było to, że od początku musiałam walczyć nie tylko z nią, lecz także z całym systemem o leczenie zgodne z wiedzą medyczną. Wcześniej wydawało mi się, że jeśli jestem pod opieką lekarza, to będę dobrze leczona. Niestety, to iluzja – opowiada.

Już pierwsza terapia uzupełniająca okazała się w jej przypadku nierefundowana. Wtedy jeszcze udało się jej ją przeprowadzić w innym ośrodku w Polsce – lekarze obeszli przepisy i podali lek. Gdy w 2014 r. choroba wróciła, Agnieszka już wiedziała, że lek celowany, wskazany w jej przypadku, jest nierefundowany. Przez trzy lata udało się jej go przyjmować dzięki pomocy fundacji i producenta. Niestety, po tym czasie przestał działać. Deską ratunku jest teraz terapia stosowana w kolejnej linii leczenia – znów nierefundowana. Żeby móc ją dostawać w szpitalu, musi wpłacić 16 tys. zł co trzy tygodnie. – Na razie zbieram na roczną terapię: to prawie 300 tys. zł. Nawet gdybym sprzedała dom, i tak nie starczyłoby mi pieniędzy, zwłaszcza że przez lata chorowania dawno skończyły mi się oszczędności – opowiada.

Czasem trudno jej mówić, rozmowę przerywa kaszel: dają o sobie znać zmiany w płucach. Lek trzeba zacząć przyjmować jak najszybciej. Na razie udało się zebrać pieniądze na dwie dawki, czyli na półtora miesiąca. Kropla w morzu, ale walczyć trzeba – choćby dla dzieci: starsza córka jest na studiach, młodsza w gimnazjum, syn w liceum. – Mama czeka na mnie, kiedy wracam ze szkoły, robi mi pyszne obiady. Ale potem musi położyć się na kanapie i poleżeć, bo słabo się czuje. Mówi się, że najważniejszych rzeczy nie da się kupić za pieniądze, ale my wiemy, że to nieprawda. Każda chwila życia mamy kosztuje, każde

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 13042f9ed2

zwiększenie szansy na przezwyciężenie choroby kosztuje – opowiada 15-letnia Michalina. – Moment, w którym usłyszałam, że mama nie może dostać leku, który mógłby ją uratować, bo w Polsce nie jest on refundowany, był najgorszym w moim życiu – dodaje 24-letnia Maja.

PUSTY SKARBIEC?

Wojciech Wiśniewski z fundacji onkologicznej Alivia mówi, że coraz więcej osób zwraca się o pomoc w zdobyciu pieniędzy na nierefundowane w Polsce terapie. Leki są coraz bardziej skuteczne, ale i coraz droższe: roczny koszt rzędu 300–400 tys. zł nie jest rzadkością. – Co roku w Polsce umiera 20 tys. chorych na raka, którzy mogliby żyć, gdyby byli leczeni zgodnie z najnowszą wiedzą onkologiczną – oburza się dr Leszek Borkowski, farmakolog kliniczny, a jednocześnie pacjent onkologiczny. On też żyje dzięki temu, że udało mu się leczyć terapią nierefundowaną w Polsce. Podobnie Agata Polińska, która wraz z bratem założyła Alivię. Nie ma wątpliwości, że gdyby stosowała tylko terapie refundowane w Polsce, już od kilku lat nie byłoby jej na świecie. To dlatego fundacja nie tylko pomaga chorym zbierać pieniądze na leki, lecz także szukać informacji o terapiach na świecie.

– Minister nie jest kierownikiem skarbca królewskiego, w którym znajdują się nieograniczone środki. Będziemy negocjować z firmami ceny leków i refundować najbardziej efektywne terapie dla najciężej poszkodowanych chorych – obiecywał kilka dni temu podczas konferencji „Priorytety w ochronie zdrowia" wiceminister zdrowia Marcin Czech. Wiadomo jednak, że za środki, które znalazły się w budżecie na 2018 r., wielu przełomowych leków zrefundować się nie da. Ekonomiści zwracają uwagę, że tak naprawdę wszyscy tracimy na tym, że nie mamy dostępu do nowoczesnych, skutecznych terapii. Przy podejmowaniu decyzji refundacyjnych rzadko bierze się jednak pod uwagę koszty społeczne choroby: koszty zwolnień lekarskich, rent, konieczności sprawowania opieki nad chorym czy jego wcześniejszej śmierci.

O ile brak nowoczesnych leków można po części tłumaczyć tym, że na ochronę zdrowia w Polsce przeznacza się 4,7 proc. PKB – zamiast 6 proc. i więcej, tak jak w innych krajach UE – o tyle trudniej wytłumaczyć mur obojętności, jaki napotykają pacjenci. – Po pierwsze, często zbudowany przez samych lekarzy, którzy nie informują w prosty sposób: „W Polsce może pani dostać lek X, ale optymalny byłby w pani przypadku lek Y" – mówi Agnieszka Murawa-Klaczyńska. Po drugie – mur obojętności urzędników.

Przykładem może być traktowanie chorób rzadkich, które trudniej nagłośnić, np. hemofilii. To choroba krwi, w której brak jednego z czynników krzepnięcia powoduje wolniejsze jej krzepnięcie. W wyniku nawet niewielkiego urazu pojawiają się wewnętrzne wylewy, które niszczą stawy, co prowadzi do niepełnosprawności i kalectwa. Niektóre wylewy mogą wręcz zagrażać życiu, dlatego trzeba jak najszybciej podać czynnik krzepnięcia, a w krajach zachodnich już od wielu lat standardem jest podawanie go profilaktycznie wszystkim pacjentom z ciężką postacią choroby. W Polsce od 2005 r. dzięki staraniom pacjentów i lekarzy funkcjonuje Narodowy Program Leczenia Chorych na Hemofilię, który gwarantuje organizację leczenia chorych. Kończy się on jednak w 2018 r.

Na ochronę zdrowia w Polsce przeznacza się 4,7 proc. PKB – zamiast 6 proc. i więcej, tak jak w innych krajach Unii Europejskiej

Od prawie roku w Ministerstwie Zdrowia odbywają się spotkania zespołu przygotowującego kontynuację narodowego programu. Na spotkania przychodzą pacjenci, lekarze, brakuje jednak… urzędników Ministerstwa Zdrowia z departamentu odpowiedzialnego za program, których aktywność ogranicza się do przekazywania kolejnych uwag na temat tego, jakie widzą w nim błędy. W efekcie program jest tworzony kolejny raz od początku. Pacjenci boją się, że nie uda się go zaakceptować i od 2019 r. pozostaną bez gwarancji leczenia. Tak zdarzało się w przeszłości, kiedy w ostatniej chwili rozpisywano przetarg na leki, przez co ich cena była zawyżona. Leków kupowano za mało, stąd tak wielu dorosłych chorych to dziś osoby niepełnosprawne ruchowo. – Narodowy program zbliżał leczenie w Polsce do standardów europejskich: gwarantował, ile leków zostanie zakupionych w kolejnych latach, przewidywał utworzenie ośrodków, które miały koordynować leczenie – mówi Bogdan Gajewski, prezes Polskiego Stowarzyszenia Chorych na Hemofilię.

Stowarzyszenie wysyłało pisma do ministerstwa z prośbą, by na spotkania zespołu przychodził dyrektor departamentu polityki zdrowotnej i wiceminister odpowiedzialny za hemofilię. Bez efektu – jak dotąd urzędnicy nie przychodzą, a stowarzyszenie nie doczekało się nawet odpowiedzi na swoje prośby.

– Pacjenci i lekarze, którzy uczestniczą w pracach zespołu, nie wiedzą, jak taki program powinien wyglądać od strony prawnej. Jest bałagan wynikający z tego, że urzędnicy departamentu odpowiedzialnego za program nie wywiązują się ze swoich obowiązków, nie współdziałają. Wielokrotnie wysyłają nam uwagi i pytania, na które sami powinni znać odpowiedzi. Ten brak współpracy i nadzoru jest lekceważeniem osób, które tej pomocy potrzebują! – oburza się Bogdan Gajewski.

Stowarzyszenie nie może się też doprosić o utworzenie ośrodków leczenia, które miały powstać już kilka lat temu, a także o to, by Karta Chorego na Hemofilię, którą chorzy mają przy sobie, została uznana za oficjalny dokument medyczny. W karcie jest napisane, że w przypadku podejrzenia krwawienia choremu trzeba jak najszybciej podać czynnik krzepnięcia. Wydawałoby się – prosta sprawa. Stowarzyszenie wiele razy alarmowało o przypadkach, gdy na izbach przyjęć, w przychodniach chorzy byli przetrzymywani bez podania leków. Zdarzały się przypadki zagrożenia życia, kilka osób zmarło. Kolejnym ekipom ministerstwa nie udaje się rozwiązać problemu, choć nie trzeba do tego wielu pieniędzy, a raczej dobrej woli i empatii. One powinny być priorytetem w ochronie zdrowia – nie tylko na 2018 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Darowizny na rzecz leczenia pani Agnieszki można przekazywać za pomocą strony internetowejhttps://skarbonka.alivia.org.pl/agnieszka-murawa-klaczynska.

eprasa.pl 13042f9ed2

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Rozstrzelany hetman

Wincenty Aleksander Gosiewski był jedynym wyższym dowódcą wojskowym, który w XVII w. zginął z rąk własnych żołnierzy.

Wykształcony w Akademii Wileńskiej, w Wiedniu, Rzymie i Padwie, karierę rozpoczął w 1648 r. jako pułkownik w armii litewskiej pod komendą hetm. Janusza Radziwiłła. Zasłużył się w bitwie pod Łojowem, a już w 1651 r. został generałem artylerii litewskiej.

Gosiewski związany był z dworem króla Jana Kazimierza, który popierał go jako przeciwwagę dla Radziwiłła. W 1654 r. otrzymał buławę polną, co doprowadziło faktycznie do podziału wojska litewskiego na dwie części i miało fatalny wpływ na obronę Litwy przed Moskwą w 1654 r. Gosiewski, mając poparcie króla, nie zawsze słuchał rozkazów hetmana wielkiego, choć walczyli wspólnie w tragicznej bitwie pod Szepielewiczami.

Kiedy rok później na Rzeczpospolitą uderzyli Szwedzi, hetman polny podpisał wspólnie z Januszem Radziwiłłem ugodę kiejdańską poddającą Wielkie Księstwo pod protekcję Karola Gustawa. Jednocześnie jednak, jak podaje autor jego biogramu Adam Przyboś, realizował własną, niebezpieczną grę polityczną. Postanowił bowiem doprowadzić do konfliktu pomiędzy Moskwą okupującą ponad połowę Litwy a Szwecją, chociaż został uwięziony w Królewcu.

Gosiewski wszelkimi sposobami namawiał Szwedów do ataku na Moskwę, a plany te zdradzał carowi. Wreszcie uciekł w przebraniu na Litwę, gdzie za własne pieniądze rozpoczął powstanie. W 1656 r. brał udział w bitwie pod Warszawą, pobił wojska szwedzko-pruskie pod Prostkami i chociaż został pokonany pod Filipowem, to jednak jego chorągwie wsparte czambułami tatarskimi najechały Prusy.

FOT. WIKIPEDIA

Gosiewski był typowym przedstawicielem magnaterii litewskiej, pilnie baczącej na korzyści dla swego rodu. Kiedy Jan Kazimierz mianował hetmanem wielkim litewskim Pawła Sapiehę, który tym samym „przeskoczył" w awansach Wincentego Aleksandra, dzierżącego ciągle tylko polną buławę, próbował paktować z carem, obiecując poddanie mu Litwy, w zamian za dostojeństwa. Nie zerwał jednak z królem. Wziął wkrótce udział w wojnie ze Szwedami, zdobył wiele twierdz – Birże, Wolmar, Felin, obległ Parnawę. Jednak nieporozumienia z Janem Pawłem Sapiehą doprowadziły do przegrania przez niego bitwy pod Werkami – 21 października 1658 r., po odnowieniu wojny polsko-moskiewskiej, gdzie dostał się do niewoli.

Hetman uwolniony został w 1662 r., gdy wymieniono go na kilku wojewodów wziętych do niewoli pod Połonką. Natychmiast zaczął popierać królewskie plany elekcji vivente rege, to znaczy za życia poprzedniego władcy, a przy okazji otrzymał od francuskiego ambasadora 10 tys. liwrów, co jednak nie było zbyt dużą sumą. Gosiewski nie podejrzewał jednak, że skończy się to tragicznie. W tym czasie bowiem nieopłacone wojsko litewskie zawiązało konfederację, zwaną Związkiem Braterskim. Hetman z polecenia króla dążył do jego rozwiązania, a kiedy żołnierze przejęli jego szyfrowane listy, w których zapowiadał wykorzystanie Tatarów do rozprawienia się z buntem, wpadli w gniew. Wicemarszałek związku Konstanty Kotowski rozkazał schwytać i zamordować zarówno przywódcę konfederatów – Kazimierza Żeromskiego, jak i Wincentego Gosiewskiego.

Jan Władysław Poczobut-Odlanicki opisuje w szczegółach dramatyczną śmierć hetmana. Otóż żołnierze dowodzeni przez Bohdana Chlewińskiego aresztowali chorego Gosiewskiego i pod Ostryną kazali wyprowadzić go z wozu, oznajmiając, iż: „Całego wojska jest wola taka, abyś już więcej Waszmość Pan nie żył". Scena, która się rozegrała, jest jak z najlepszego filmu historycznego. „Chcecie mnie prowadzić do wojska, niechaj mnie sądzą" – odparł Gosiewski. „Gdyż ja, będąc hetmanem tak wiele lat, najmniejszego pacholika Waszmościów bez sądu nie tracił, a mnie, hetmana, tak chcecie zabijać?". Nic jednak nie przekonało rozwścieczonych konfederatów. Wezwali księdza, kazali się spowiadać, wtedy Gosiewski obróciwszy się do sług, powiedział: „Bądźcie łaskawi bracia, widzicie, jako hetman umiera". Ukląkł więc i zaczął się dysponować na śmierć, wkrótce jednak odpędzili księdza. Gdy odmawiał modlitwę gniewu Pańskiego – „Dies irae" – strzelili mu prosto w głowę, a kiedy upadł – dobili drugim strzałem z pistoletu. I tak w ponurym majestacie śmierci hetmańskiej zakończył życie hetman polny litewski, podskarbi i pisarz Wielkiego Księstwa, a także stolnik wileński. Jego zabójcy niedługo cieszyli się wolnością. Zarówno Kotowski, jak i Chlewiński dali głowy pod katowski miecz po rozwiązaniu konfederacji żołnierskiej na Litwie. ©℗

eprasa.pl 13042f9ed2

PATRYK VEGA I SUROWA WOŁOWINA

Moja ulubiona potrawa to tatar wołowy. Tatar jest dla mnie daniem, po którym najłatwiej rozpoznać poziom restauracji. W mojej ocenie jeden z sekretów kryje się w idealnych proporcjach mięsa, cebuli, ogórków i grzybów. Na jego smak wpływa odpowiednie przygotowanie każdego ze składników.

Klasyczny tatar wołowy

Składniki:

- 300 g polędwicy wołowej
- 3 żółtka jaj
- 2 ogórki kiszone
- 1 mała cebula
- kilka marynowanych grzybów
- 1 łyżka oliwy z oliwek
- 1 łyżeczka sosu worcestershire
- pół łyżeczki ostrej musztardy
- sól, świeżo mielony pieprz

Przygotowanie:

Kupując mięso i jaja do tatara, korzystajmy ze sprawdzonego źródła, by były świeże. Wołowinę (najlepsza będzie polędwica, ale można też użyć np. mięsa z udźca) siekamy bardzo drobno lub mielimy. Mieszamy z oliwą, sosem worcestershire oraz musztardą. Przyprawiamy solą i świeżo mielonym pieprzem. Siekamy ogórki, grzyby i cebulę. Możemy je wymieszać z mięsem, ale lepiej będą się prezentować ułożone na talerzu obok wołowiny. Mięso wykładamy na talerz, formując okrągły kształt, na środku robimy miejsce na żółtko. Podajemy z grzankami lub ze świeżym chlebem. ©℗

oprac. raw

Patryk Vega jest reżyserem, scenarzystą i pisarzem.

FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Talerz jadalny

W sprawie torebek plastikowych pierwszy krok został zrobiony – trzeba za nie płacić. Grosze, bo grosze, ale zawsze coś. Jednak i tak najtańsze foliówki będą za darmo i nadal będą sobie spokojnie fruwały we wszechświecie. Obliczono, że w roku 2050 plastik w morzach będzie ważył tyle samo co ryby. Każdego roku wyrzucamy 168 tys. ton plastiku. Butelki, słoiki i razem z nimi także te niewinne talerzyki, których użyliśmy, urządzając piknik. Jako praworządni obywatele grzecznie wrzuciliśmy je do odpadów plastikowych. Kwestia, co potem się z nimi stanie, pozostaje poza zasięgiem naszych zainteresowań...

FOT. LYSPACKAGING

Może jednak mogłoby być inaczej? Tak twierdzi Francuz Nicolas Moufflet, wynalazca opakowań samodegradujących się w środowisku. Naukowiec już na początku nowego millennium doszedł do pewnych rezultatów, ale wtedy zainteresowanie sprawą było jeszcze zbyt małe. Dzisiaj, gdy dane wskazujące na degradację planety stały się alarmujące, podejście się zmieniło. Firma Mouffleta ma już pierwszych klientów. Są nimi producenci zdrowej żywności, którzy chcą, aby ich produkty odpowiadały ekologicznym wymaganiom.

Organiczne butelki, słoiki, talerze, sztućce rozkładają się jak obierki kartofli, pod wpływem ciepła, wilgoci i bakterii, bo można je kompostować. Proces może trwać w zależności od warunków kilka tygodni, miesięcy lub lat.

Butelka wegańska – proszę się nie śmiać – jest w całości zrobiona z odpadów trzciny cukrowej i nadaje się do przechowywania napojów słodzonych, a nawet oliwy. Do wina jeszcze nie, ale prace nad rozszerzeniem możliwości trwają. Szklanki wyprodukowane z krochmalu kukurydzianego są sztywne, przezroczyste, ale nadają się tylko do zimnych napojów.

Do napojów gorących Nicolas Moufflet proponuje szklanki wykonane z celulozy drewnianej. Serwis byłby niekompletny bez talerzy – płaskie, głębokie i miseczki zrobione są z pochwy liściowej palmy adaka. Odporne termicznie, sztywne, nienasiąkające tłuszczem. Rozkładają się w ciągu kilku tygodni. No i wreszcie sztućce. W całości produkt roślinny, jadalny, bez chemii i konserwantów. Produkuje je indyjska firma Bakeys Fodd z mąki sorgo zmieszanej w wysokiej temperaturze z ryżem i ze zbożem. Rozkładają się w trzy miesiące.

Może za 20 lat zamiast szpanować serwisem Rosenthala, nasze dzieci będą podawać do stołu na talerzach, które goście na deser zjedzą ze smakiem. ©℗

eprasa.pl 13042f9ed2

NASZ TEST: VOLKSWAGEN TIGUAN 2.0 TDI

Ma sportową sylwetkę, efektowne felgi, spory zapas mocy oraz napęd 4 x 4, który pozwala pewnie czuć się nie tylko na autostradzie, lecz także podczas jazdy zaśnieżonymi drogami podczas podróży na narty.

W KABINIE

Wnętrze zostało wykonane z materiałów niezłej jakości. Plastikowe elementy w górnej części kabiny są przyjemne w dotyku i dobrze spasowane. Świetne wrażenie robi również główny element deski rozdzielczej, czyli ekran dotykowy: jest czytelny, intuicyjny w obsłudze i wyposażony w świetną nawigację satelitarną.

Kabina jest przestronna. Rodziny z dziećmi ucieszy wiadomość, że bagażnik jest naprawdę spory (po przesunięciu do przodu tylnej kanapy jego pojemność wynosi aż 615 l).

JAZDA

Do testów wzięliśmy najmocniejszą odmianę Tiguana. Silnik Diesla o mocy 240 KM potrafi rozpędzić to auto od zera do pierwszej setki w niecałe 6,5 s. Świetny wynik, zwłaszcza jak na SUV-a ważącego 1,7 t. Prędkość maksymalna wynosi 230 km/godz.

Dynamiczną jazdę ułatwia napęd 4MOTION. To dzięki niemu Tiguan nie ma żadnych problemów z trakcją zarówno na suchej, jak i na mokrej nawierzchni. Samochód prowadzi się pewnie. I chociaż na zakrętach czuć, że siedzimy za kierownicą SUV-a, a nie rasowego hot hatcha z nisko umieszczonym środkiem ciężkości, to można liczyć na całkiem przyzwoitą dawkę sportowych emocji.

W zależności od potrzeb i nastroju kierowca może sterować napędem. Mamy więc tryb ekonomiczny, normalny, komfortowy oraz indywidualny. Można też dostosować napęd do nawierzchni: do wyboru mamy warunki zimowe, drogę utwardzoną, off-road oraz tryb off-road individual. Dzięki tym dwóm ostatnim Tiguanem śmiało można zjechać z asfaltu. W szaleństwach offroadowych przeszkodą może być choćby świadomość tego, ile w razie bliższego kontaktu z konarem kosztowałaby wymiana efektownie wyglądających, 20-calowych felg.

Auto na trasie pali średnio ok. 6,5 l/100 km, a w mieście – 9,5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP VW Tiguan zdobył komplet pięciu gwiazdek. Auto jest też wyposażone w technologie, które pozwalają zredukować ryzyko wypadków. Komputer pokładowy przestrzega kierowcę przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu. Opcjonalny asystent jazdy w korkach może też samodzielnie przyspieszać i hamować, co pozwala uniknąć drobnych stłuczek podczas monotonnych powrotów z pracy zakorkowanymi ulicami. SUV Volkswagena potrafi też samodzielnie parkować. Ci, którzy wolą zrobić to sami, docenią zaś system kamer z widokiem 360 stopni.

CENA

Najtańszego Tiguana w pięcioosobowej wersji z silnikiem Diesla o pojemności 2.0, napędem na cztery łapy i mocy 150 KM można kupić za 148 tys. zł. SUV z silnikiem Diesla o pojemności 2.0 i mocy 240 KM, napędem 4 x 4 oraz automatyczną skrzynią to wydatek co najmniej 178 tys. zł.

Co najmniej, ponieważ po doliczeniu takich opcji jak skórzana tapicerka, przeszklony dach czy pakiet sportowy ostateczna cena na fakturze łatwo może przekroczyć poziom 200 tys. zł.

KONKURENCI

BMW X3, Ford Kuga, Mazda CX-5, Peugeot 3008, Seat Ateca ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 13042f9ed2

TYGODNIK LISCKIEGO DO RZECZY

Zacznij zdrowo Nowy Rok!

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

EASY SMOOTHIE BLENDER MANTA 350W SBL920

Cena: 149 zł
Oszczędność: 135 zł

MANTA
Polska firma rodzinna

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9303
KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, LICZNIK SPALONYCH KALORII, WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI, LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

Cena: 239 zł
Oszczędność: 289 zł

MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 13042f9ed2

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Odesłać Parysa do Paryża

MARCIN MAKOWSKI: Premier Morawiecki poleciał niedawno na kolację do Brukseli. Lampką wina podejmował go przewodniczący Jean-Claude Juncker. Kolacja przeciągnęła się prawie do północy. Ma być jeszcze więcej dialogu. Zadowolony?

MATTHEW TYRMAND: Juncker to unijny ideolog, ale widać, jaka jest różnica, jeśli jedzie do niego człowiek, który potrafi ominąć barierę tłumaczy. Morawiecki zna świat, który zamieszkują ci ludzie, potrafi grać w ich grę i wzbudzić zaufanie doświadczeniem. Wielokrotnie to powtarzałem, ale może poza prezydentem Dudą nie znajduję w polskiej polityce ludzi o podobnych właściwościach. Najważniejszym testem skuteczności Morawieckiego będą jednak nie rozmowy, lecz to, czy uda się w ogóle nie dopuścić do głosowania nad uruchomieniem art. 7 wobec Polski. Aby ta sprawa nie weszła pod obrady, potrzeba sześciu głosów państw unijnych. Gdyby do Węgier, Czech, Słowacji i Austrii udało się jeszcze dołożyć Rumunię i Bułgarię albo państwa bałtyckie – byłby pełen sukces. I jasny przekaz, że Europa Środkowo-Wschodnia nie chce się poddać unijnemu politycznemu imperializmowi.

Pozostając w temacie premiera, 12 stycznia odbył on rozmowę telefoniczną z wiceprezydentem USA Mikiem Pence'em. Zwykła kurtuazja czy jednak coś więcej?

Treść rozmowy znam tylko pośrednio – poinformowano, że dotyczyła spraw energetyki i bezpieczeństwa, Pence przyjął również zaproszenie na obchody 100-lecia niepodległości Polski, ale ważniejsze było moim zdaniem co innego. Chodzi o sam styl dialogu. W kontaktach z amerykańskimi dyplomatami wysokiego szczebla obowiązuje sztywny protokół, a z tego, co wiem, Mateusz Morawiecki specjalnie się nim nie przejmował i po prostu przeszedł do rzeczy. Do załatwiania interesów i bezpośredniej, szczerej rozmowy. Tutaj wychodzi jego doświadczenie z sektora bankowego. Jeśli chcesz coś zrobić, to nie gadasz o tym, tylko działasz.

Nie mieliśmy jeszcze okazji skomentować rekonstrukcji rządu. Jakieś zaskoczenia?

Mimo wszystko zdziwiła mnie dymisja Antoniego Macierewicza. Byłem przekonany, że będzie mógł dokończyć misję smoleńską w fotelu szefa MON, ale tak się nie stało. Myślę, że na tę decyzję złożyły się kwestie kadrowe i problemy z zarządzaniem – upieranie się przy utrzymaniu na stanowisku Bartłomieja Misiewicza i promowanie Bartosza Kownackiego, który nie sprawdził się podczas negocjacji zbrojeniowych z Amerykanami. Jeśli jednak ktoś musiał zastąpić Macierewicza, to dobrze, że jest to jeden z lepszych menedżerów w rządzie – Mariusz Błaszczak. Z kolei Joachim Brudziński to świetny kandydat do zastąpienia go w MSWiA. Ma doskonałe kontakty w terenie z działaczami PiS i brak zadeklarowanych wrogów. Cieszę się, że pożegnano się z Janem Szyszką i Konstantym Radziwiłłem. Ten pierwszy wizerunkowo ciągnął rząd na dno, drugi podpisał szkodliwą ustawę „Apteka dla aptekarzy". Dobrze, że na miejsce Szyszki przyszedł Henryk Kowalczyk. Na pewno będzie mniej przeszkadzał niż za rządów premier Szydło. Pozytywnie przyjmuję awans utalentowanej Jadwigi Emilewicz i Jerzego Kwiecińskiego.

To na koniec twój ulubiony resort – MSZ.

Minister Jacek Czaputowicz wydaje się bardzo rozsądnym akademikiem. Niespodziewana mogła się jednak wydać decyzja Krzysztofa Szczerskiego, który w ostatniej chwili zrezygnował z fotela ministra. Szkoda, bo bliższe relacje między KPRM a KPRP przyczyniłyby się do spójniejszej polityki zagranicznej. Jedyne, czego się obawiam, to tego, że Czaputowicz nie jest wpływowym politykiem i nie będzie miał siły do przeprowadzenia koniecznych zmian personalnych. Pierwszą i najważniejszą z nich powinno być usunięcie Jana Parysa – szefa gabinetu politycznego ministra. To człowiek związany w przeszłości z Radosławem Sikorskim, który utrudnia prace MSZ, nie umie się dogadać ze współpracownikami i przejawia apetyt na kierowanie resortem z tylnego siedzenia. Parys powinien podzielić los Dariusza Wiśniewskiego, który nie umiał zwolnić w MSZ resortowych dzieci i polecał na placówkę do Paryża. Niech on też leci. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 13042f9ed2

superoferta w empiku

Tess Gerritsen
Sekret, którego nie zdradzę
Wydawnictwo Albatros

~~34,00~~
19,99*
oprawa miękka

*Oferta ważna do 28.01.2018 lub do wyczerpania zapasu.

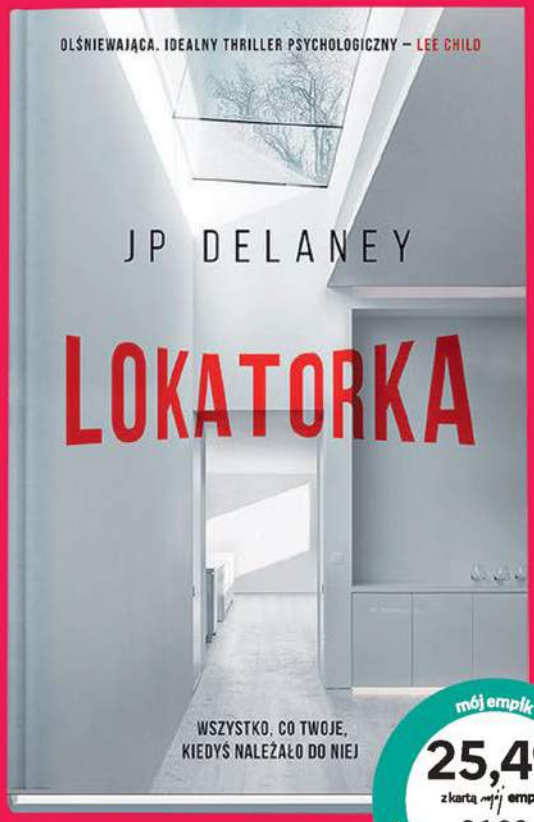

JP Delaney
Lokatorka
Wydawnictwo Otwarte

mój empik
25,49
z kartą mój empik
36,90
cena regularna
30%
oszczędzasz

super oferta

empik

eprasa.pl 13042f9ed2

OKIEM BLOGERKI

Goniąc króliczka

KATARYNA

PATRYK JAKI: *Mam dla Pana propozycję – proszę mnie i grupę obywateli wpuścić do rozliczeń faktur z wszystkich pańskich spółek, zbiórek etc. Proponuję – jeśli się okaże, że jest wszystko OK, tak jak Pan mówi – przeproszę Pana publicznie za pytanie o rozliczenie i z Panem będę zbierał do puszek za rok. Zgoda? Też przez wiele lat Pana wspierałem – więc mam prawo zapytać o rozliczenie.*

Taką propozycję złożył Jerzemu Owsiakowi – jak przystało na poważnego polityka w randze wiceministra na Facebooku – Patryk Jaki, przedawkowawszy najwyraźniej pisaninę pewnego blogera i powtarzających za nim internetowych wyznawców. Bloger ów – taka ciekawostka – przekonywał swego czasu, że koledzy z redakcji „Do Rzeczy" nie krytykują mnie, bo… zarabiają u mnie. Tak, tak. „Wystarczy zadać pytania w trybie ustawy o usługi obce fundacji Kataryny i dowiecie się, dlaczego redaktorzy »Do Rzeczy« siedzą cicho. Dla fundacji Kataryny każdy mógł robić cokolwiek. Tak zwany »wykład« i »wypłata«" – przekonywał swoich wyznawców, udając przed nimi, że wie nawet, ile swoim kolegom z redakcji płaciłam, co miało być powodem ich wstrzemięźliwości w przyłączeniu się do wymierzonej w organizacje pozarządowe kampanii oszczerstw, którą pod koniec 2016 r. rozpętały „Wiadomości". Blogerowi udało się nawet sprzedać co słabszym intelektualnie pelikanom, że umowa była prosta. PO przelewała Katarynie kasę do „fundacji", a ta tyrała dzień i noc na odcinku „obiektywizm", a w ogóle to: „Mówiąc krótko, pani Kataryna była umocowana w »salonie« i to na wyższej półce. Od lat robi kasę tylko na powiązaniach politycznych" – snuł swoje spiskowe teorie, a pelikany – jak to pelikany, łykały każdy ochłap. Gdy wreszcie dostał wgląd w pełną listę kontrahentów, jedyne znane nazwisko, jakie na niej znalazł, to… Edward Lutczyn, który kiedyś robił ilustracje do wydawanej przeze mnie książki. Blogerowi i pelikanom musiało wystarczyć, że wśród kontrahentów znalazł Agorę. Nic to, że znalazła się na niej dlatego, że kiedyś wykupiłam nekrolog w „GW".

Wspominam tę szarżę na mnie niepełnosprytnego blogera, żeby uświadomić, komu minister Jaki powierzył swoją wiarygodność, przyłączając się do jego rytualnych corocznych ataków, których wiele znalazło już swój finał w sądzie, raczej nie po myśli blogera. I owszem, jest świętym prawem każdego polityka wybrać sobie sposób, w jaki się skompromituje, minister Jaki postawił na przyłączenie się do nagonki na WOŚP, w której w tym roku z liczących się polityków udział wziął tylko on i próbująca utrzymać poparcie w betonowym elektoracie Beata Szydło. Dobrze by jednak było, gdyby ktoś panu ministrowi uświadomił, że od dwóch lat jest już władzą i to w resorcie odpowiedzialnym za wymiar sprawiedliwości, ma więc w ręku wszystkie narzędzia do zweryfikowania wiarygodności WOŚP, jeśli podejrzewa jakieś finansowe przekręty. Ktoś mógłby nawet zarzucić mu, że podejrzewając nieprawidłowości i nie wykonując żadnego ruchu, pan minister po prostu nie dopełnił obowiązków służbowych poinformowania o podejrzeniach odpowiednich organów. A może to wszystko to tylko cyniczna zabawa w gonienie króliczka, a nie chęć wyjaśnienia czegokolwiek? Nieeee, to by przecież ośmieszało urząd, który pan minister sprawuje. ©℗

PODSŁUCHANE

Lekarza?!

Grzesiu, nie możesz tak wyrzucać ludzi na lewo i prawo.
Mogę, Ewa, mogę – i będę!

Ale oni się tak do nas teraz za bardzo nie garną. Raczej odwrotnie, powiedziałabym.
Nie rozumiesz! Ty zresztą w ogóle mało co rozumiałaś kiedykolwiek. My musimy znaleźć naszą nową tożsamość! Inaczej nas nie będzie w kolejnych wyborach! Donald wyjechał, ty utopiłaś partię, ja to teraz muszę składać do kupy!

Nie gorączkuj się tak…
Ja dużo teraz czytam, szukam idei, rozumiesz, bez idei nic się nie uda, ale najpierw trzeba mieć bezwzględne posłuszeństwo i ja je będę miał! Będę usuwał, zakuwał w dyby, biczował i kastrował!!!

Grzesiu, usiądź może, chyba ci ciśnienie skoczyło…
Jeden jest ideowy polityk dzisiaj w Polsce, Zandberg, ja mu się od dawna przyglądam, musimy być jak Razem, zero wątpliwości, ostry kurs…

Razem ma trzy procent…
…i wtedy wyjdziemy z dołka, wolność aborcji, śluby homo, wpuścimy uchodźców, Kościół zdelegalizujemy, zrobimy republikę ludową, więzienia dla pisiorów, będziemy jeszcze bardziej na lewo, ja czytam Lenina teraz… o… och… Duszno mi, lekarza zawołaj!

Ja jestem lekarzem. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Zaczynam mieć przekonanie, że A. Duda nie czuje koszmarnej groteski, gdy mówi, że »świat powinien być oparty na sile prawa, a nie na prawie siły«".

TOMASZ LIS,
publicysta, na Twitterze

eprasa.pl 13042f9ed2

fot. Jerzy Gumowski

Unia szalbierzy

Strofowania i groźby miotane z Brukseli przeciwko pisowskiej Polsce (wcześniej też przeciw fideszowskim Węgrom) są spowodowane nie tylko donosami renegatów/europarlamentarzystów na własną ojczyznę, gdyż ci popaprańcy, sfrustrowani wyborczą klęską Salonu (2015) i w Brukseli *„pełniący obowiązki”* Polaków tak, jak w rosyjskich mediach gdaczą antypolsko rzekomi *„polscy publicyści”*, będący dla każdego mieszkańca RP zupełną enigmą, a dla znawców wrażą karykaturą — nie mieliby tam wystarczającej siły gdyby Unia Europejska była zdrowa. Wszelako jest to federacja chora, i to ciężko, o czym świadczy niszczenie przez nią cywilizacji chrześcijańskiej tudzież suwerenności i tożsamości kulturowej/narodowej państw skonfederowanych. Trawi ją kryzys etyczny, prowadzący do degrengolady wychowania młodzieży i do gangrenowania prawodawstwa. Ta erozja wartości skutkuje m. in. akceptacją przez partie postkonserwatywne (konserwatywne tylko z nazwy, pseudoprawicowe) idei, postulatów oraz nawet języka skrajnej lewicy, czyli nadtolerancją dla wszelkich zboczeń i bluźnierstw, dla degradacji tradycyjnej rodziny i praw naturalnych, wreszcie (ogólnie rzecz ujmując) dla samego zdrowego rozsądku. Kamienie milowe gnicia UE to problemy dziedzictwa kultowego i kulturowego, a także ekonomia i demografia. Zacznijmy analizę od najmniej groźnego problemu — od gospodarki:

EKONOMIA. Gospodarka światowa już w ubiegłym stuleciu (lata 90–e) przestała być prawdziwie wolnym rynkiem międzynarodowym (międzypaństwowym), stając się intensywnie manipulowanym rynkiem międzykorporacyjnym, tłamszącym (czasami zabijającym) wolną przedsiębiorczość. Europa również tkwi w tym jarzmie, a na dodatek ma okresowe/cykliczne problemy ze strefą euro, które już przynosiły kłopoty i będą przynosiły kolejne, bo są potencjalnym zarzewiem turbulencji (być może turbulencji jeszcze większego kalibru). Gdy przed laty planowano wspólny obszar walutowy dla UE, zakładano/prognozowano, że będzie on funkcjonował optymalnie (lub przynajmniej bezturbulencyjnie) pod warunkiem, iż wszystkie sprzymierzone państwa będą miały gospodarki zbliżone poziomem rozwoju (technologia, produkcja, logistyka, wynalazczość wdrożeniowa, podaż, popyt, etc.). Tak nie jest, stąd rozmaite kryzysy strefy euro prokurowane podziałem na biedniejsze Południe (*„dłużnicy z Południa”*) i bogatszą Północ (*„wierzyciele z Północy”*). Kryzys grecki był rekordowy rozmiarami i długofalowością, lecz ciężkie tarapaty Portugalii, Hiszpanii czy Włoch też budzą niepokój premierów, bankierów, ekonomistów i spekulantów.

KULTURA. Już w pierwszej połowie XX wieku czerwoni (włoski komunista Antonio Gramsci i lewacka Szkoła Frankfurcka) przewidzieli celnie, że kultura będzie dla tresowania społeczeństw i dla odtożsamiania Europy ważniejsza aniżeli polityka i gospodarka, trzeba więc opanować media szerzące kulturę. Co się totalnie (czytaj: totalitarnie) udało, dlatego dzisiaj kulturowe narracje (a co za tym idzie reakcje opinii publicznej, nie tylko europejskiej) są przytłaczająco zgoszyzowane. Elegancka nazwa: *„liberalizm kulturowy”* — rzeczywista to: deprawacjonizm kulturowy vel kosmopolityczny nihilizm kontrkulturowy. Bruksela aktywnie patronuje tym dewiacjom, chociaż powinna walczyć przeciwko nim nawet zbrojnie, gdyż tworzące ją państwa są członkami NATO, a każde z nich, wstępując do Paktu, podpisywało akcesyjny traktat, którym zobowiązywało się m. in. *„ochraniać dziedzictwo i cywilizację swojego narodu”*. Unia bezwzględnie niszczy europejskie cywilizacyjne dziedzictwo.

∞

„Quo usque?...”

∞

RELIGIA. Leitmotivem tej niszczycielskiej działalności wykrzywiającej tradycyjną europejską tożsamość jest dławienie/rugowanie chrześcijaństwa. Lewackie elity sterujące dziś z Brukseli i Strasburga Europą wyznają wobec chrystianizmu (zwłaszcza wobec katolicyzmu) iście wolteriańską wrogość. Niejeden z unijnych bonzów mógłby się podpisywać *„antyklerykalną”* sygnaturą Woltera: *„Christmoque”* (Obśmiewacz Chrystusa). *„W Europie coraz bardziej dominuje ostatnio tożsamość antychrześcijańska”* — konstatował A. D. 2017 ksiądz Maciej Zięba (filozof i teolog), ubolewając, że tę tożsamość kultywują/propagują coraz szerzej tzw. *„wyższe”* (kulturowo wyższe) kręgi: *„Dla sporej części niezwiązanych z Kościołem twórców i odbiorców kultury (od kręgów akademickich i artystycznych elit, po uczniów) wizja Kościoła i świata jest głęboko naznaczona przez postoświeceniowe stereotypy. Wiara jawi się im jako antyintelektualny i niebezpieczny społecznie anachronizm, a Kościół jako instytucja totalitarna i dehumanizująca człowieka”*. Co innego islam, perła multikulturalizmu.

ISLAM. Będący dzisiaj bardziej ideologią/doktryną podboju niż religią. Czego nie chce rozumieć Bruksela. Nikt inny tylko Unia Europejska jest winna temu, że biała Europa umiera, powoli, lecz nieuchronnie (żadne utyskiwania na *„rasistowskie”* transparenty *„narodowców”* vel *„nacjonalistów”* nie zmienią tego oczywistego faktu). Albowiem jej dzietność regularnie mocno spada, zaś dzietność napływających tu masowo muzułmanów, beneficjentów *„Willkommenpolitik”*, gwałtownie rośnie. Rzymianin Cycero swą sławną krytyczną przemowę zaczął od: *„ — Quo usque?...”* (Jak długo jeszcze?...). Nie sądzę, by wymuszona/wyindoktrynowana *„polityczną poprawnością”* cierpliwość społeczeństw tych państw Unii, które szczodrze przyjmują muzułmańskich imigrantów — trwała w nieskończoność. Jak długo jeszcze te społeczeństwa, zaciskając zęby lub też skrycie zgrzytając nimi, tolerować będą stawianie na głowie elementarnych norm/wymogów/kanonów/reguł równości mieszkańców każdego z tych państw? Wszystko to, za co ich autochtoniczni obywatele muszą bardzo słono płacić (od lokum do ubezpieczenia zdrowotnego) — muzułmańscy *„uchodźcy”* (nachodźcy) otrzymują za darmo, za nic (plus furę bonów, zasiłków, itp.). Nawet salonowcom zachodnioeuropejskim coraz trudniej przechodzi przez gardło apologia owych hord szczwanych darmozjadów, które nie chcą się uczyć, pracować, integrować, asymilować, wolą podnosić statystykę przestępstw (również najgroźniejszych), uprawiać terror, wyklinać chrześcijaństwo, obiecywać Europie zagładę i dominację islamu. Jak długo ten złowrogi cyrk będzie jeszcze na Starym Kontynencie trwał?!

KONTRA. Coraz częściej obserwujemy antyunijny *„strike back”*. Kontrrewolucję wszczęły społeczeństwa. Orbán, PiS, Brexit (a w Stanach prezydent Trump) są widomym znakiem, towarzyszu Gramsci, że wasze zwycięstwo nie musi być definitywne — *„la lotta continua”* (walka trwa). Szerokie badania naukowo–sondażowe wskazały niezbicie, iż tak w przypadku wyboru Trumpa, jak i w przypadku Brexitu, wyborcy, kontrując establishment, podjęli decyzję nie z przyczyn ekonomicznych, tylko kulturowo–tożsamościowych. W Polsce i na Węgrzech sytuacja ekonomiczna rodzin grała trochę większą rolę, jednak kontrelitowy sprzeciw o zabarwieniu kulturowo–tożsamościowym też nie był bez znaczenia. Nawet w Skandynawii gniew rośnie. Prof. Michał Kleiber (eksminister nauki, eksprezes PAN): *„ — Bywam często za granicą i ostatnio mam nieodparte wrażenie, że ludność w wielu unijnych krajach jest coraz bardziej krytycznie nastawiona do praktyki funkcjonowania Unii (...) Nawet w Szwecji krytyczne stają się nastroje dotyczące polityki imigracyjnej”* (2017).

Czy Polexit jest możliwy? Nie sądzę, przynajmniej na razie nie. Nikt w Polsce nie korzysta bardziej z brukselskich dotacji aniżeli chłopstwo (jemu *„Unia non olet”*), a chłopstwo jest elektoratem o zabójczo kluczowym znaczeniu. Paniatno?... ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 13042f9ed2

PGE
Zapewniamy energię
PRĄD
JEST LEPSZY
Z DODATKAMI
Prąd, jak wszystko w życiu,
może być lepszy z dodatkami.
Wybierz energię od PGE w stałej
cenie i dowolną usługę dodatkową.
Świeć przykładem
i wybierz nawet
10 żarówek LED
Poznaj receptę
na brak zdrowia
i energii.
Wykonaj dobry ruch
i ubezpiecz własność
Jeśli nie lubisz zmian,
wybierz niezmienną
Koniec napięcia
z powodu przepięcia,
wybierz pomoc
Zadzwoń
422 222 222
lub wejdź na
www.zapewniamyenergie.pl

eprasa.pl 13042f9ed2